

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/265

1969



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Cz MIŁOSZ :

PRYWATNE OBOWIĄZKI WOBEC LITERATURY

K. SKARBEK :

WYJAZD

D. I. BIEŃKOWSKA :

ROSJA 1969 - WRAŻENIA TURYSTY

WARSZAWIANIN :

WAKACJE W PRADZE

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Prywatne obowiązki wobec polskiej literatury</i>	3
Kajetan Skarbek:	<i>Wyjazd</i>	29
Czesław Dobek:	<i>Noc w Apeninach</i>	40
Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Rosja 1969 — wrażenia turysty</i>	54

WIERSZE

Andrzej Biały:	<i>Nocą</i>	67
„ „	<i>Słowo o W.</i>	68
„ „	<i>List z zaścianka I</i>	76

OBSERWATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Ostatni rozdział</i>	71
„ „ „	<i>Kuzniecowa i Lisiecka</i>	73
—	<i>Aresztowania</i>	76

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Refleksje emigracyjne</i>	79
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	87

SĄSIEDZI

Warszawianin:	<i>Wakacje w Pradze</i>	93
—	<i>Protest pisarzy — „10 punktów”</i>	98
XYZ:	<i>Czechosłowacka normalizacja dobiega końca</i>	100
—	<i>Nowa emigracja polityczna</i>	104

K R A J

Peter Horsky:	<i>Smutna parafia</i>	107
Sindbad Żeglarz:	<i>Hawana — czyli traktat o kontrabandzie</i>	112
—	<i>Czarna lista</i>	122
—	<i>Popierajcie dywersję!</i>	123

SPRAWY I TROSKI

Benedykt Heydenkorn:	<i>Problemy słowiańskie w Kanadzie</i>	125
PH:	<i>Chlestadkow w Warszawie</i>	130

KSIĄŻKI

Czesław Miłosz:	<i>Lepsze zabawy</i>	132
Hanna Chorażyna:	<i>Na marginesie książki Wygodzkiego</i> ..	134
Jan Morelowski:	<i>Powieść o zaginionym świecie</i>	139
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	140
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	147



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	149
---	----------------------------------	-----



—	<i>Komunikaty</i>	155
	a) <i>Two Przyjaciół paryskiej „Kultury” w Melbourne</i>	
	b) <i>Praca o gen. Tokarzewskim</i>	
	c) <i>Nagroda im. Anny Godlewskiej</i>	



Cz. Ciechoński, K. Eichler, J. G. Görlich, Z. Marek, J. Wepięć:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
—	<i>Od Redakcji</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Październik-October

1969

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Hanna CHORAŻYNA, ur. 13 września 1914 roku, ukończyła wyższe studia rolnicze ze specjalizacją socjologii wsi. Przed wojną działaczka Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”. Podczas okupacji kierownicza Ludowego Związku Kobiet. Po wojnie poseł do Krajowej Rady Narodowej a później Sejmu Ustawodawczego z ramienia Polskiego Stronnictwa Ludowego. W latach 1949/50 przebywała jedenaście miesięcy w więzieniu śledczym na Mokotowie. Po uwolnieniu pracuje naukowo i zrobiła doktorat nauk przyrodniczych. Od 1965 roku jest pracownikiem Uniwersytetu w Brukseli.

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Bezimiennie, Francja	F.2.500,00
Bezimiennie, New York, po raz drugi	F. 44,00
Bezimiennie dla uczczenia pamięci Witolda Gombrowicza, Philadelphia, Pa. (USA)	F. 110,00
Andrzej Brzeski, Davis, Call. (USA), po raz piąty	F. 110,00
Wiliam Caruso, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 25,00
Hanna Gutkowska, Arleta, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 16,50
H.M.B., Boston, Mass. (USA), po raz drugi	F. 275,00
Jan Jaworowski, Bloomington, Ind. (USA), po raz trzeci „W rocznicę inwazji Czechosłowacji, dla wyrażenia szacunku dla narodu Czechów i Słowaków oraz uznania za wszystko co na ten temat pisze <i>Kultura</i>	F. 110,00
Lech Krysiwicz, Montreal, po raz siódmy	F. 35,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż	F. 100,00
Bolesław T. Łaszewski, New York, po raz drugi	F. 44,00
M. P. Nitosławska, Montreal, po raz czwarty	F. 25,00
Zygmunt Nowicki, Sutton, P.Q. (Kanada)	F. 24,00
Michał Rybikowski, Montreal, po raz drugi	F. 25,00
Wacław Sułek, Fairview, Mass. (USA), po raz drugi	F. 27,50
F. Szuba, Rawdon, Que. (Kanada)	F. 25,00
Leopold Tyrmand, New York	F. 200,00
Two Przyjaciół paryskiej <i>Kultury</i> w Melbourne na wieczorne dyskusyjnym pt. „Protesty młodzieżowe w obecnych czasach nie mają ideologicznego podłoża” zebrało na Fundusz <i>Kultury</i> (po opłaceniu sali i ogłoszeń) \$A. 18,60. Prócz tego dary złożyli pp. A. Kuester, Rosanna, Vic. — \$A. 10,00; p. X.Y., Elwood, Vic. — \$A. 5,00 i p. J. Miętus, Yarrambat, Vic. — \$A. 2,50; razem przekazano	F. 221,00

DZIĘKUJEMY!

Prywatne obowiązki wobec polskiej literatury

Ни звуков здесь, ни красок, ни движенья —
Жизнь отошла, - и. покорясь судьбе,
В каком-то забытии изнеможенья,
здесь человек лишь снитя сам себе.

*(Ni dźwięków tutaj, ni barw ani ruchu —
Życie odeszło i korząc się przed losem
W jakiejś drętwocie zniemożenia
Człowiek tu tylko śni się samemu sobie.)*

Tiutczew

Tiutczew czuł się dobrze tylko w krajach Europy zachodniej, Bawarii, Szwajcarii, Italii, w których spędził znaczną część życia. Za każdym razem kiedy jechał do domu popadał w przygnębienie i przytoczona strofa utrwala jeden z takich melancholijnych stanów przy wjeździe w granice Cesarstwa, w r. 1859. Smutek ogarniający Tiutczewa na widok wschodnich równin nie miał politycznych przyczyn. Wierzył on w misję dziejową samodzierżawnej Rosji. To właśnie piękna, ruchliwa, wielobarwna zachodnia Europa przygotowywała swoją zgubę pozwalając swobodnie działać wszelkiego rodzaju liberałom, postępowcom i rewolucjonistom. Misją Rosji było uratować, siłą swego oręża, Europę od rewolucji, tak jak raz już uratowała ją od Napoleona.

Kładę na początku tę cytate, bo Tiutczew zdaje się wyrażać ogólnosłowiańską, nie tylko rosyjską, podwójność przywiązania — odrazy, dumy — wstydu, miłości — nienawiści. Podwójność ta występuje w wielu wariantach zawsze zawierających jakąś nierozwiązalną wewnętrzną sprzeczność i, chociaż losy Polski i Rosji były bardzo różne, wspólna jest mieszkańcom obu tych krajów. Warianty te polegają na układaniu w coraz to nowe kombinacje dwóch skrajnych postaw, rzadko dostrzegalnych w ich postaci

czyste: lubi się naprawdę tylko swój kraj, ale wierzy się tylko w Zachód; lubi się naprawdę tylko Zachód, ale wierzy się tylko w swój kraj.

Szkic niniejszy jest próbą spojrzenia „nowymi oczami” na spory, w których zużyto wiele atramentu. Zamierzam mówić w nim możliwie prosto o sprawach zawiłych, możliwie beznamiętnie o sprawach gorzkich i zawstydzających.

Czemu literatura?

Literatura są to głosy ludzi przemawiających w jednym z ziemskich języków, utrwalone przy pomocy znaczków na papierze. Język składa się ze słów-symbolów, znaczki na papierze są więc symbolami symbolów. Spróbujmy wnikać w umysł człowieka sześćioletniego i odtworzyć groźne zagadki z jakimi boryka się ten umysł kiedy musi znowu przetłumaczyć na głos rząd znaczków zawiadamiających, że „Ala ma kota”. Daszek połączony kreseczką oznacza dźwięk „a”, ale czy tylko tutaj, raz, czy też zawsze? Czy „k” należy tylko i wyłącznie do kota, czy też buja sobie gdzieś, niezależne, i pojawi się kiedyś później w innych rządach znaczków? Ala? Kto to jest Ala? Skąd wiemy, że dziewczynka na obrazku nazywa się Ala? I czy każda Ala ma kota, czy tylko ta jedna Ala ma kota? Trudności tego rodzaju, właściwe posługiwaniu się symbolami symbolów, powtarzają się na różnych poziomach i usprawiedliwiają zaliczenie do literatury wszystkiego co zapisano w danym języku, od elementarzy, podręczników, do kodeksów i utworów poetyckich. Polska literatura oznaczałaby więc po prostu wszystkie książki jakie może czytać ktoś znający polski. No tak, czyż jednak nie istnieje pojęcie literatury pięknej? Owszem, w kilka lat po walce z elementarzem młodociany umysł, poddawany indoktrynacji przez starszych, dowiaduje się, że coś takiego istnieje. Pokolenia zajmowały się porządkowaniem, dzieleniem, nazywaniem, i nowym przybyciem do społeczności nie wolno obywać się bez drogowskazów. Dzieńdziczą oni tzw. kulturę czyli zespół kanonów ułożonych przed ich urodzeniem, ale ułożonych nie według żelaznych, obowiązujących raz na zawsze wzorców, bo tych nie ma. Czy „Bogurodzica” jest zabytkiem lingwistycznym czy „literaturą piękną”? Jakie kazania, jaka publicystyka, jakie pamiętniki dostępują zaszczytu włączenia do tzw. historii literatury? Kanon dość świeżej daty zgrabnie dzieli „literaturę piękną” na poezję, dramat i powieść, nie obowiązywał jednak niegdyś i brak danych aby przypuścić, że będzie obowiązywał jutro. Wiemy, że wielu głosom ludzi, którzy chcieli tylko przekonywać albo informować przyznaje się zalety „artystyczne” (czyż Stendhal nie uważał Kodeksu Napoleona za wzór prozy?) i, na odwrót, co sami autorzy ogłaszali za Sztukę okazuje się często nie bardziej ważne niż przestarzały kalendarz.

Historia literatury przekazuje legendy i mity narastające do-

koła pewnych postaci, dzieł, miast, regionów. Im bardziej dana literatura jest splątana z historią, tym większa rola literackich legend i mitów, dlatego też tak wyspecjalizowały się w nich literatury słowiańskie. Puszkina to nie tylko jego poezja, to także osoby, które wywiódł ze swojej wyobraźni, bardziej nawet może realne niż ludzie co naprawdę żyli, ale także jego biografia, do tego stopnia zmieniona we wspólną własność Rosjan, że mają mnóstwo uczuciowych skojarzeń na samą wzmiankę o zesłaniu do Besarabii, jesieni w Michajłowskim, pojedynku z D'Anthesem. A Petersburg to nie tylko ulice i domy, to przede wszystkim złowrogo-eteryczne miasto-fantom Puszkina, Gogola, Dostojewskiego, Anińskiego, Biełogo. Co do literatury polskiej, to wystarczyłoby wyliczać same słowa dziedzicznie, by tak rzec, obciążone, ale jest ich tak dużo, że zapełnić nimi można by wiele stronic. Takie jak: Czarnolas, Wawel, Wilno, Filomaci, Soplicowo, liryki lozańskie, Dom Świętego Kazimierza, Noc Listopadowa.

Kto czyta po polsku, obcuje z głosami wielu epok i wielu pokoleń równocześnie, ale nie może być tylko strażnikiem mitów jakich go nauczono, choć to, czym nasiąkł w młodości działa na niego silnie, tkwi głębiej niż świadomość. Nie może dlatego, że jest w ruchu, a przeszłość zmienia się zależnie od punktu w czasie z którego na nią patrzymy. Tak podróżny, jadąc wzdłuż górskiego pasma, widzi co raz to inaczej te same szczyty. Żyjąc w tym a nie innym momencie, mamy swoje, niepowtarzalne w ich szczególnej barwie, kłopoty i zainteresowania, szukamy więc w przeszłości tego, co dla nas użyteczne, żywe, silne, jako myśl i forma.

Sądy o słowie pisanym nie muszą być zresztą zdane wyłącznie na zmianę perspektywy jaką wprowadza wpływ czasu, ani na prywatne widzimi się. Możliwe jest ustalenie pewnych zasadniczych wymagań powszechnie obowiązujących, choć na to potrzeba już wysiłku a także, dzisiaj, odwagi, bo normy pożytku, służby, mocno się skompromitowały. Ale przecież słowo pisane zwraca się nie do żadnych abstrakcyjnych tworów, takich jak naród, społeczeństwo czy masa, ktoś przemawia do kogoś i po coś, a istnieją pomimo wszystko normy ludzkiego współżycia. Kiedy człowiek, który uczył się odczytywać „Ala ma kota” zapoznaje się z literaturą, może go ona albo duchowo kurczyć, zacieśniać, albo pomagać mu w jego swobodnym rozwoju, czyli, że wyrazimy się po staroświecku, pomagać mu w dążeniu do doczesnej i wiecznej szczęśliwości. Jeżeli tym będziemy się kierować, całkiem dozwolony będzie podział literatur na lepsze i gorsze. Lepszymi byłyby takie, które komuś, kto zna tylko jeden, swój rodzinny, język, dostarczają wtajemniczeń najwyższego gatunku, gorszymi takie, które nie są w tym względzie dostateczne, czyli że szukając wyższych wtajemniczeń trzeba się uczyć innego języka. Nie zapominajmy, że większość mieszkańców Europy to barbarzyńcy, których słowo pisane zaczyna się od przekładu Ewangelii czyli Dobrej Nowiny przychodzącej do nich z zewnątrz, i że odtąd niemal regułą będzie zapożyczenie i twórcza przeróbka. Przez wiele

stuleci drugim, wyższym językiem była łacina, dzisiaj natomiast można obserwować w różnych krajach współistnienie języków nowoczesnych. Niestety jest za późno, żeby w południowej Francji powstała literatura w zamierającym języku D'Oc, a młody Bretończyk, który by chciał czytać tylko to, co napisano po bretońsku, skazywałby się na umysłową podrzędność.

Można też postawić inne wymagania. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby do dziedziczonych legend i mitów zastosować prawdy, jakie bardzo polski pisarz — Witold Gombrowicz — borykając się z tymi legendami i mitami, pomógł nam uświadomić: że ludzie są w ludzi wczepieni, przez ludzi schwytani, i że tak spiętrzają się w „kościół międzyludzki”, nie wiedząc jak mało każdy z nich jest sobą, jak mocno jest od innych zależny. Podlegają temu całe cywilizacje, nieraz po prostu w piętkę goniąc, ale tłumaczyć zanurzonym w nich uczestnikom, że ten żywioł w jakim się poruszają z nich się począł, że nie jest czymś „naturalnym”, byłoby równie bezcelowe jak rybom wyklądać o zaletach podróży samochodem. Otóż wolno przypuścić, że w niektórych fazach społeczność ludzka wydziela i narzuca formy wyjątkowo pokraczne, chorowite, tak spotworniałe, że odgaduje się w nich jakąś żądzę śmierci, jak u lemingów, które popełniają samobójstwo tysiącami skacząc do morza. Słowo pisane jest głównym środkiem wzajemnego zarażania się i dobrem i złem, skoro więc założymy, że człowiek uczący się „Ala ma kota” zasługuje na niejaką ochronę, trudno odnosić się życzliwie do wtrącania go przemocą w obrządki, które przyczynią się do jego kalectwa. Literatura polska dziewiętnastego wieku dostarcza niejednego przykładu zbiorowo wielbionej pokraczności, a niektóre utwory drukowane dzisiaj w Warszawie świadczą o zaburzeniach, na które nie ma nazwy w podręcznikach psychiatrii tylko dlatego, że te zajmują się przypadkami indywidualnymi. Granica pomiędzy zdrowiem i chorobą nie jest być może wyraźna, ale na widok dwugłowego cielęcia albo ptaka o trzech nogach doznajemy tzw. mieszanych uczuć.

Z obszaru do worka

W dzieciństwie nie wiedziałem, że polszczyzna jest mową bitych, poniżanych, cierpiących na kompleksy męczeńskie i niewolnicze. Językiem tym mówili panowie i ludzie z waszecia, a więc szlachcic, rzemieślnik, wykwalifikowany robotnik. Z waszecia, choćby dlatego, że zwracali się do siebie per „waspan”. Fakt, że pamiętam to ja, mieszkaniec drugiej połowy dwudziestego wieku, wygląda dość dziwnie. Jednakże cały wiek dziewiętnasty, który, zdawałoby się, powinien był odsunąć daleko w przeszłość świat „Pana Tadeusza” nie był na ziemiach W. Księstwa Litewskiego wiekiem szybkich przemian. Nie tylko w „Nad Niemnem” Orzeszkowej dwór i zaścianek wyglądają niemal tak jak tamte z 1811 roku, również w powieści Floriana Czarnyszewicza „Nad-

berezyńcy", wydanej w 1942 roku w Argentynie, uczestnicy wydarzeń na Białorusi u schyłku pierwszej wojny światowej mówią i poruszają się dokładnie jak ich pobratymcy sprzed górą stu lat. Kiedy dowiadują się, że tam, daleko, powstała niepodległa Polska, chcą wiedzieć kto jest królem i są rozczarowani słysząc, że króla nie ma. Język polski w tych warunkach zachowywał prestiż, jaki uzyskał przed rozbiorem. Był to język w tej mniej więcej sytuacji co niemiecki czy francuski: kto mówi po niemiecku, niekoniecznie musi być Niemcem, może być Austriakiem, Saksonem z Siedmiogrodu, Szwajcarem z Zurichu, kto mówi po francusku, niekoniecznie jest Francuzem, może być Belgiem, Kanadyjczykiem, Szwajcarem z Genewy. Nie jest nieprawdopodobne, że taki, jakby bardziej luźny, stosunek do języka, nie zamykanego w geograficznych czy etnicznych przegrodach, pozostaje gdzieś u tła świadomości i pozwala później zamieszkiwać wielką republikę cieni, szerszą, poważniejszą niż Księstwo Warszawskie w jego kolejnych metamorfozach.

Literatura polska przypomina kaftan z jednym rękawem dla karzełka, z drugim dla olbrzyma. Ten większy rękaw jest na miarę spokojnego, zwyczajnego osadzenia w nie tak znowu niewygodnym miejscu Europy, jak to później, po przegranej, zaczęto utrzymywać. Mniejszy rękaw natomiast odpowiada pojęciu „narodu polskiego” jako grupy etnicznej uciskanej i walczącej o tzw. polskość. Era romantyczna jest jeszcze niezdecydowana, choć wtedy właśnie odbywa się to zmniejszanie skali do rozmiarów obowiązujących i dzisiaj. Wyjątkowa waga polskiego romantyzmu na tym, między innymi, polega, że tam pojawiają się równocześnie dwa zasadnicze wymiary, i to, jak np. u Mickiewicza, współistniejące w jednym człowieku. „Ballady i romanse”, „Sonety krymskie”, liryki rzymskie i lozańskie są pisane przez kogoś, kto przegranej historycznej nie musi jeszcze niejako przyjmować do wiadomości, za to np. „Konrad Wallenrod” jest poematem o plemieniu podbijanym i spychanym do rezerwatów, przy czym jego bohater nie zachowuje się inaczej niż w amerykańskich powieściach ochrzczeni Indianie, którzy zwracają się przeciwko swoim opiekunom, bo słyszą „zew krwi”. A i w „Panu Tadeuszu” można dopatrzeć się pewnych rysów, które zbliżają ten utwór do niesłychanych projektów Słowackiego. Istotą tych projektów było uznanie przegranej ale zarazem zaprzeczenie jej poetyckie tzn. kreowanie obszaru w wyobraźni, tak żeby rzeczywista nędra została przepychem słów zażegnana. Jednak takie pokrętne operacje nie obywają się bez kosztów, nawet jeżeli pominiemy utwory tak koślawe i nieudane jak „Lilla Veneda”.

Wszystkich bodaj polskich literatów dwudziestego wieku dręczyło pytanie: czy można być wielkim pisarzem pisząc po polsku? Nie jest to równoznaczne z pytaniem, czy można być wielkim pisarzem pisząc po norwesku, bo nie chodzi tu o liczbę norweskich czy polskich czytelników ale o przeszkodę, jaką przy wszelkim rozmyślaniu o świecie i człowieku stanowi nieszczęsna „sprawa polska”. Pytanie niebezpieczne, bo jeżeli nie ma powodu

wątpić, że wielkie dzieła literatury mogą powstać np. w krajach afrykańskich, niezbyt prawdopodobne jest, żeby stworzyli je Murzyni w Ameryce, opętani jednym problemem: czarności-białości. Książki polskich profesorów poświęcone szerzeniu wieści wśród cudzoziemców o polskich geniuszach zawsze spotykały się z niedowierzaniem, o tyle uzasadnionym, że ucho czytelnika rozróżniało ton urażonej dumy, ton chełpliwy biedaka nadrabiającego miną, że niby nie byle kto go rodzi.

Geniusz Wyspiański... Jeżeli przedstawia się go jako artystę teatru, umieszczając go na tle ogólnego przewrotu teatralnego w Europie, nie trudno dowiedzieć, że był wielkim odkrywcą. Natomiast jako pisarz był prowincjonalny. Nie to że lokalny — to nie może stanowić zarzutu, wręcz przeciwnie; rzecz w tym, że ta lokalność nie została dostatecznie przetworzona. Wyspiański chyba to wiedział. Jego osobistą tragedią był z góry skazany na porażkę bunt przeciwko miastu grobów królewskich, wyzwolenie bez wyzwolenia. Z Wyspiańskiego ostatecznie wywodzi się krzyk młodego Lechonia-Herostratesa: „A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę, zobaczę”.

Nękami ambicjami pisarze znajdowali dla siebie nadzieję: Zachód. Kluczem do wielkości miało być: pisać jak Francuzi, Niemcy, Anglicy. Pomagały tu dawne przyzwyczajenia, skoro cała polska literatura zaczyna się od adaptacji tekstów łacińskich, zapożyczając się później u Włochów i Francuzów. Pomagał snobizm, dźwignia wszelkiej kultury towarzyskiej, a kultura polska jest po dziś dzień kulturą najściślej towarzyską. Jednak zapatrzenie się na Zachód spełnia w naszym stuleciu, poczynając gdzieś od Moderny Przybyszewskiego, szczególną funkcję, dość złożoną: pomaga wyzwać się i równocześnie zaślepia, bo zmusza do przejścia do porządku nad zagadkami, nad którymi trudno przejść do porządku. Niektórzy poeci Skamandra naprawdę uwierzyli po 1918 roku, że Polska jest krajem „normalnym”, takim jak Francja. Zresztą widomym znakiem tej wiary w latach 1918-1939 było ufundowanie Polskiej Akademii Literatury, na wzór francuskiej. Upadek złudzeń zmusił do powrotu wstecz, do schronienia się, raz jeszcze, w romantyzmie. Lechoń był beznadziejnie zakochany w Polsce ale wierzył tylko w Zachód. I w tym, że został bardem „polskości” i w jego samobójstwie — niezależnie od osobistych powikłań — można dopatrzyć się pewnej paradoksalnej logiki.

Wynurzenia

Patrząc na mapę Europy muszę zdobyć się na kilka elementarnych stwierdzeń. Nie urodziłem się w Polsce, nie wychowałem się w Polsce, nie mieszkam w Polsce, ale piszę po polsku. Nie jest to może tak niezwykłe, skoro się zważy, że największy polski twórca nigdy nie był w Warszawie ani w Krakowie i że Litwę obrał za swoją Muzę. Jednakże czasy się zmieniły, jest tu zagmatwanie, które prosi o jakąś nową diagnozę. Być może litera-

tury mają swoje stałe przeznaczenia i, tak jak przeznaczeniem rosyjskiej jest zsyłka (do Besarabii, na Kaukaz, na prowincję, do łagrów), przeznaczeniem polskiej jest emigracja. Być może prawdą jest, że „przemycą w Litwę Żyd tomiki moich dzieł”. Ale wieszczowanie na użytek PRL, która nawet nie jest krajem rodzinnym, byłoby martwe, jak wszelkie historyczne powtórki, poza tym Żydów mało, dużo za to „strażników cel” z listami książek zabronionych. Tyle, że gorycze emigracji są mniej więcej te same co dawniej, z lekką zmianą na gorsze. Zamiast ogłaszać książki po polsku, z równym powodzeniem można by było umieszczać rękopisy w dziuplach drzew.

Czy można być wiernym literaturze polskiej, ją lubić, jej służyć, a zarazem okazywać narodową jakby obojętność, która wyraża się choćby w tym, że każdy Lechita jest dla mnie odrobinę podejrzany? Niech nikt mnie nie posądza o hodowanie litewskiej snobistycznej mitologii, nadal zresztą u wielu całkiem żywotnej. Jeżeli powołuję się tutaj na Litwę, to dlatego, że jest ona metaforą „przyjścia spoza”, a więc jakiejś inności i dystansu, na który pozwala inność. Nie dostanę drugiego życia i próbując pokazać sprzeczność będącą samym moim losem, nie myślę dla żartu przebierać się w kostiumy z innej epoki.

Publiczność jest na Zachodzie, ale żeby ją osiągnąć, trzeba pisać w innym języku. Jeżeli czyjeś utwory tkwią naprawdę głęboko w samej materii polszczyzny, co w nich jest najlepszego, jest nieprzetłumaczalne. Najprościej byłoby przyznać się, że w innym języku po prostu pisać nie umiem. Owszem, jeżeli jestem przyciśnięty do muru, piszę po angielsku, ale niechętnie. I w tym „niechętnie” zawiera się wszystko. Bo nieprawda, że jeżeli ktoś zechce, nie potrafi przyswoić sobie innego języka znakomicie, nawet jeżeli nie ma wrodzonych talentów Władimira Nabokowa, który i w rosyjskim był majstrem pastiszu, podrabiania wszelkich stylów. Tylko czy, składając stosowny hołd olśniewającemu kunsztowi Nabokowa, w prozie i w wierszu (cały długi poemat w „Pale-Fire”) chciałbym być autorem książek jakie napisał Nabokow? Nie. I być może to niebywałe osiągnięcie emigranta, który jak nikt inny z przybyszów, poza Conradem, angielski ujarzmił, było możliwe wskutek jakiejś sekretnej skazy.

W moim „niechętnie” da się wyróżnić kilka składników. Jednym z nich jest rodzaj niewiary w literacki Zachód, w dzisiejszy Zachód, choć nie jestem w sytuacji Tiutczewa, który mógł przeciwstawić Zachodowi Rosję samodzierżawną. Nic nie zbliża mnie do nadwiślań pielgrzymujących po nowalijki artystyczne do Paryżewa. Owszem, że francuski jeszcze w pierwszych dekadach stulecia zachowywał pozycję nowej łaciny, to niewątpliwe. Gdybym dość wcześnie, w szkole, nie nauczył się czytać po francusku, pewnie inaczej ułożyłyby się moje koleje. Choć „lepszość” francuskiego nie polegała chyba na tym, że pozwalała zapoznać się z wybitnymi dziełami literatury pięknej, skoro tłumaczono na polski dużo, żeby wspomnieć tylko całą bibliotekę przekładów Boya. Czego nie było natomiast niemal zupełnie po polsku, to

literatury religijno-filozoficznej i w tym względzie dużo Francuzom zawdzięczam, również autorom mało znanym, jak Louis Lavelle. W tej dziedzinie francuski zachował coś z dawnej precyzji i w tej dziedzinie z Paryżewa korzystałem. Ale dzisiejsza francuska poezja? Nie mogę też przejmować się nadwiślańskimi gadkami o poezji anglosaskiej. Nie ma się ona lepiej niż jakakolwiek inna. Jeden z najzdolniejszych młodych poetów w rejonie San Francisco pisze pod wpływem, co sam głośno przyznaje, poetów polskich, czeskich i jugosłowiańskich. Mniejsza zresztą o te uroki odległych krain. Jak powiada angielskie przysłowie, trawa po drugiej stronie płotu jest zawsze zieleńsza. Gdybym nie mieszkał na Zachodzie, byłbym pewnie mniej wobec niego nieufny. Ponieważ mieszkam, co raz to popadam w stan zgorzenia. Jest to zgorzenie człowieka ubogiego, który znalazł się w domu gdzie nikt nie szanuje chleba, a psom i kotom podaje się frykasy na złotych talerzach. Co dziwniejsza, mieszkańców tego domu najbardziej wzruszają pieśni o dobrodziejstwach ubóstwa i przymusowo przyjętej dyscypliny. Jakimż to psom i kotom, na jakich talerzach, tak bardzo chciałbym przyrządzać frykasy?

Pycha? Możliwe. Albo inaczej, świadomość, że jeżeli przemawia się do ludzi, trzeba mieć dużo do powiedzenia. Otóż ma się dużo do powiedzenia tylko jeżeli słowa wymusza na nas jakiś nasz demonizm, jakaś wewnętrzna udręka, jeżeli niosą one ze sobą cały brud naszych lęków i wstydów. Mocą indywidualnych, geograficznych, historycznych zrzążeń, cały mój demonizm ogniskuje się w oporze przeciwko polskiemu zacieśnieniu, w oporze, nie w ucieczce, a tym samym batalia może toczyć się w obrębie tylko jednej, polskiej, mowy. Cudzoziemscy krytycy analizując dzieło Gombrowicza obywają się na ogół bez tego zwornika piramidy jakim jest „Trans-Atlantyk”. Wątpliwy to proceder, bo tylko „Trans-Atlantyk”, ze względu na swoje językowe odniesienia nieprzetłumaczalny, wprowadza w sedno gombrowiczowskiego przedsięwzięcia, w zmaganie się z polską niemożnością. Gombrowicz, broniąc się przed naciskiem Formy, wskazał wzór jak wznieść się ponad oba bieguny — zamiast wybierać pisanie „jak na Zachodzie” albo pogrążyć się w prowincji. Jego zasadą było własną sarmackość przemienić (czy przeanielić?) w siłę. Zupełnie innymi drogami przedzierałem się do nieco podobnych co u Gombrowicza rozwiązań, rozmyślając zresztą nad przeznaczeniem. Polska literatura zdaje się być skazana na piekielnie trudne operacje, podczas kiedy „naród” (zwłaszcza emigracyjny) niewiele z tego chwyta.

Przyznaję się, na „polskość” jestem alergiczny. Zarazem rozumiem, że każda cywilizacja ma swój własny *kitsch* i *schmalz*, za dużo wiem np. o Rosjanach i Niemcach żeby im zazdrościć. Nie jest wykluczone, że tak ujawniający się konflikt stanowi tylko przerzut jakiegoś zasadniczego konfliktu z istnieniem, że jestem zwolennikiem poza-świata. Stosunki moje z obcymi są zbyt płytkie, zbyt powierzchowne, żeby został ugodzony żywy nerw i żeby odezwał się ten niepokój, do jakiego daje powód nasza przyna-

leżność do ludzkiego gatunku. Natomiast u Polaków wystarczy mi drobny znak, a już odtwarzam wszystko co w nich siedzi, bo to nie jest tylko w nich, poza mną, ale także we mnie, jako część mojego *le moi haïssable*. Ich zachowanie się mnie drażni, ponieważ demaskuje skłonności, jakie w sobie samym staram się rozumem i wolą ujarzmić.

Buntowałem się nieraz przeciwko romantyzmowi, ale na Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, czytanych w bardzo młodym wieku, nie ma żadnego antidotum, to zostaje. Stąd ograniczona możliwość wyboru, sprowadzająca się do mniej albo bardziej inteligentnych odmian romantycznego, w gruncie rzeczy, poglądu na poezję. Według tego poglądu, poeta jest to człowiek wezwany, który może próbować umknąć od wyznaczonego z góry losu, ale to mu się nie uda — jak nie udało się prorokowi Jonaszowi, choć opierał się i kłócił się z Panem Bogiem. Poeta jest więc wezwany do, zobowiązany wobec, pracujący dla. Pogląd nie tylko polskich poetów romantycznych, również Brzozowskiego („Życie nasze, ja nasze to jest posterunek, gdy my go opuścim — utraci go już cała ludzkość na zawsze”). W ostatnich dziesięcioleciach było dużo przeróżnych szkół literackich, programów, awangard, ale pora już chyba zostawić na boku te kawiarniane dywersje i szukać głównego nurtu polskiej literatury, który istnieje, tak jak istnieje jeden główny nurt literatury rosyjskiej.

Zobowiązany wobec kogo? Pracujący dla kogo? Nie wobec i dla „polskości”, nie dla nacjonalistycznego upiora. Gdyby się uwierzyło w jakąś tajemniczą etniczną więź, należałoby kolejne polskie przegrane tłumaczyć gorszym gatunkiem genów. Prawdopodobnie jednak człowiek, który uczy się w tej chwili „Ala ma kota” nie jest genetycznie obciążony. To przez wychowanie w krzywiących gorsetach uzyska kształt niezbyt uroczy. Jeżeli książka napisana po polsku w jakimś stopniu będzie temu zapobiegać, zaliczę ją do dobrej literatury.

Na stypie?

Polska literatura zna wiele utworów rozpaczliwych, od porobiorowych „Żalów Sarmaty”, poprzez „Do matki-Polki”, po „Z dymem pożarów” i na przykład Żeromskiego „Różę”. Znacznie jednak bardziej ponury od nich wszystkich jest wiersz, który zacytuję. Ukazał się on w r. 1968, w lipcowym numerze warszawskiego miesięcznika „Poezja”. Jest to napis nagrobny, i jeżeli jest omijany obojętnie, dzieje się tak chyba dlatego, że szanse całej ludzkości nie są najlepsze i dekadencja jakiejś jej części, choćby liczącej bez mała czterdzieści milionów, dziury w niebie nie zrobi. Autorem jest Ernest Bryll, tytuł „Mtacminda”, z objaśnieniem, że tak nazywa się święta góra w Gruzji. A oto wiersz:

*Tam właśnie — pijąc wino — zobaczyłem
śmierć mej ojczyzny:*

Wszystko co najlepsze

skwaśniej z nagła w tak bardzo banalne
takie skarłate i prowincjonalne
że nie utrzyma się na wielkim wietrze
jaki przez ziemię chlusta...

Gdzieś tam w etnografii
pozostaniemy, gdzieś tam po słownikach
zasuszą listek naszego języka

— Jakiś tam znawca na pewno potrafi
wygrzebać potem spośród kłębówiska
— Krew oskrobując uczonym pazurem —
na wpół umarte tętno

Może wesz naiska
— jedną z tych co oblaży naszą Świętą górę
I to już będzie wszystko...

Zauważmy, że obraz ojczyzny jako miazgi, jako nie więcej niż sennego, biernego terytorium nad którym przechodzi „wielki wiatr”, odpowiada dzisiejszym opiniom za granicą o Polsce: słyszy się często, że kraj przed wojną reakcyjny wrócił do swojej reakcyjnej normy. W przepowiedniach Witkacego Polska też ukazywała się jako wieczne ni to ni owo, jako rozlazłość i nieokreśloność, ni z pierza ni z mięsa. Coś niby ciągle odnawiająca się epoka saska, kiedy to ziemię między Wisłą i Dnieprem liczyły się tylko dlatego, że maszerowały po nich tam i z powrotem obce wojska, jakie tylko chciały. Albo grany ciągle na nowo „Król Ubu” Alfreda Jarry, którego akcja jest umieszczona „w Polsce czyli nigdzie”.

„Gdzieś tam w etnografii pozostaniemy”. To znaczy, że miara jest zewnętrzna, ten kraj nie będzie zdolny wydać dzieł za które by go podziwiano („Polacy nie gęsi bo swój język mają”, „Zastaw się a postaw się”, „Jak cię widzą tak cię piszą” — i nic z tego). Chępliwy Polak ubolewa nie tyle nad tym, że „skarłate i prowincjonalne” oznacza ubytek ludzkich możliwości, obietnic, potencji, ile nad tym, że zamyka mu ono drogę do międzynarodowego uznania i rozgłosu.

„Jakiś tam znawca” — a więc historyk czy historyk literatury z szerokiego świata, który jeżeli coś naiska to „wesz”. Czyli uraza niemrawego, skazanego na podrzędność plemienia do bardziej umysłowo rozbudzonych, bardziej energicznych „wszy co oblaży naszą Świętą górę”, uraza o to, że one tylko mogą być zauważone. Rosjanie załatwiali to prościej, bez powoływania się na Świętą górę. Kiedy Borys Pasternak dostał nagrodę Nobla, napisano o nim w Moskwie, że jest „świnia co je rosyjski chleb”.

Osobliwość utworu polega na tym, że jest zarazem zapowiedzią i dokonaniem. Zapowiada śmierć ojczyzny przez skwaśnienie i skarlenie a równocześnie sam jest objawem najzupełniejszego mizeractwa. Dość ponury monument na dwudziesto-czterolecie — czy na tysiąclecie. Jak do tego doszło? Naturalnie łatwo jest podać przyczyny polityczne. Ale nie jest dla mnie pewne, że cenzura i policyjne rządy ponoszą tutaj wyłączną odpowiedzialność. Jeżeli chciałbym „wytoczyć proces” to raczej ludziom pióra. Wolno stawiać im pewne żądania i wtedy może się okazać, że trochę

zbyt skwapliwie tłumaczą się okolicznościami. W Polsce po roku 1956 było dużo swobody, trudno jednak uznać sposób w jaki ją wykorzystywano za najlepszy. Słonimski całkiem słusznie ostrzegał przed modnym awangardowym „bełkotem”, który piszących, kapłanów sztuki (patrz rok 1900) coraz bardziej wyobcowywał. Stąd przeskok, by tak rzec, dialektyczny: no tak, Polska to Ciemnogród, ale my sami z Ciemnogradu, więc piszmy, że nie sążdone jest nam wyjść poza Ciemnogród. Przytoczony wiersz Brylla to właśnie, nic innego, głosi.

Narodowe noce

W Polsce przed drugą wojną światową zwyciężyła ideologia Romana Dmowskiego. Gdyby przeprowadzono ankietę w warszawskich liceach na wiosnę 1939, opowiedziałyby się za nią około 90 procent młodzieży. Według tej ideologii państwo miało być własnością i organem Narodu, natomiast miliony Żydów, Ukraińców, Białorusinów do Narodu nie należały, były więc zaliczane do podopiecznych. Publicystyka polityczna, wówczas i później, skutecznie przesłaniała bardzo wyraźny podział Polaków na dwa obozy, nie pokrywający się z podziałem na ugrupowania i stronnictwa. Bo definicja obozu „narodowego” musiałaby objąć nie tylko tych, którzy przyznawali się do endencji, ONR’u czy sanacyjnej prawicy. Drugi obóz, przegrywający w ciągu tamtego dwudziestolecia, wewnętrznie skłócony, próbował nawiązywać do pojęć sprzed wieku dziewiętnastego, pojęcia te jednak były raczej obyczajowe, dlatego są trudno uchwytnie. Przetrwały one w federalistycznych pomysłach Piłsudskiego, u socjalistów, w polskiej masonerii.

Pośmiertne zwycięstwo Dmowskiego nie było tak niezwykle, skoro się zważy, że korzystał on z semantycznych przekształceń w języku. Niegdyś słowo „naród” znaczyło tyle co łacińskie „gens” („naród niewieści”, „naród psów”) a więc zbiorowość w ogóle. Ani „gens” ani „natio” nie miały nacjonalistycznego zabarwienia. W ciągu dziewiętnastego wieku słowo nabiera nowego, nieprzetłumaczalnego, sensu, bo nie jest tym samym co francuskie „la nation”, angielskie „the nation” ani rosyjskie „narod” (lud, *le peuple, the people*). Czyli słowo otoczone szczególną uczuciową aurą.

To, że Polska tamtego Dwudziestolecia przyjęła, świadomie albo nieświadomie, ideologię Dmowskiego, miało olbrzymie konsekwencje, nie tylko w latach 1939-1944 (bo można byłoby sobie np. wyobrazić armię podziemną złożoną nie tylko z Polaków, również z Żydów, Ukraińców, Białorusinów) ale i później, i aż do dziś. Niby literat nie powinien zajmować się takimi sprawami, coś kiedy tu jest klucz do wielu zjawisk literackich, zdawałoby się nie mających z tym nic wspólnego.

Naród walczył, cierpiał, był bohaterski, po czym zwycięscy sojusznicy rzucili go na kolana i bili po twarzy. To aż nadto

dosyć, żeby odnowił się refleks męczeńsko-mesjaniczny. Mylą się zapewne ci, którzy łączą ten refleks z okresem romantyzmu. Jest to jeden z wyznaczników polskiej kultury, nie zawsze tylko ujawniany, tym bardziej trwały, że zdaje się być odmianą refleksu bukolicznego. Czyli: „złotopszczoła” Polska, reprezentująca przedustawny dobry porządek na ziemi, w ogrodzie Stwórcy. Wszyscy zwracają się przeciw niej, dlatego właśnie, że została wybrana, a oni, potępieni, nie mogą znieść myśli, że ten przedustawny porządek wreszcie kiedyś zwycięży. Takie przekonanie nie zasługuje na ironię, bo rzeczywiście „dusza anielska” coraz to objawia się w polskich dziejach. Choć zaraz dołącza się mniej szlachetny poryw urażonej godności, która, skoro już brak innych tytułów do chluby, szczyści się, że tak dużo się wycierpiało. „Wy macie wspaniałą architekturę, sztukę, technikę, bogactwo — tak, ale ile my mamy trupów!” Zwłaszcza wobec Zachodu występuje ta pretensja niezrozumianych i niedokochanych. Okrutnie, na chłodno, podpatrzył tę polską cechę Mrozek w opowiadaniu „Moniza Clavier”. Tam młody turysta z Polski, żywiący się w Wenecji kabanosami, trafia przypadkiem (biorą go za Rosjanina) na wytworną międzynarodową *party*. Zdemaskowany, przyparty do muru, poniżony towarzysko (Dostojewski wiedział, że prawdziwym piekłem dla Polaków jest poniżenie towarzyskie!), chwytą się ostatniego środka jaki mu został. Pokazuje palcem na otwartą jamę ustną i bełkoce: „Wybili, panie, wybili”.

Pozornie nie ma to związku z ideologią Narodu. W istocie ma, choć dłaczego, trudno wytłumaczyć, a nawet sobie uświadomić, jak zawsze kiedy w grę wchodzi nie więcej, niż przesunięcie perspektywy. Być może jest coś z prawdy w powiedzeniu, że Polacy to „dobry naród niedobrych ludzi”, i że wczepiają się tak żarliwie w siebie ze strachu, bo gdyby zostali sami, jako jednostki, odśloniłaby się ich niedobroć. Ale ta władza narodowego kolektywu nad nimi utrzymuje się dzięki temu, że przeciwstawia się on innym narodowym kolektywom, które dlatego muszą być widziane fałszywie. Innymi słowy, X albo Y jest tak niepewny swojej wartości, tak zależny od tego „jak go widzą”, że może utrzymać dobre samopoczucie tylko *za pośrednictwem* grupy — jest coś wart, ponieważ czy Ukraińcy, czy Żydzi, czy Rosjanie, czy Niemcy, czy w ogóle obcy służą ciemnym siłom. Narodowemu kolektywowi nie powiodło się, ale przynajmniej ma on na rachunku opór wobec ciemnych sił.

Ani mi w głowie przypisywać trwały wpływ pismom Dmowskiego. Nazwał on tylko to, co w ciągu całego stulecia dojrzało i romantyczny z rodowodu nacjonalizm podał w pozytywistycznej przyprawie. To sama historia, spełniająca jego postulaty (narodowe państwo pod opieką Rosji zwrócone przeciw Niemcom) przyczynia się do odradzania się tych samych zawężeń, a jak te zawężenia są dziwaczne dla kogoś z zewnątrz, sami zawężeni już nie widzą.

Kto pisze po polsku, musi sobie powiedzieć trzeźwo, że polscy czytelnicy tylko udają, że interesują ich jakiekolwiek ludzkie pro-

blemy. Naprawdę interesuje ich tylko jedno: „bycie Polakiem”. Natomiast „bycie Polakiem” jest to: 1) Siedzenie na sobie i pilne baczenie czy ktoś się aby nie wychyli. 2) Rozglądanie się czy ktoś nie nadaje się do spożycia, tj. czy może rozszawić polskie imię w świecie.

Esencję nowoczesnych polskich obrzędów określił nie Żeromski, nie Wyspiański, nie Dąbrowska (która niemal obraziła się na mnie kiedy w najlepszej intencji porównałam ją do Orzeszkowej), nie jakkolwiek pisarz PRL. Zdobył się na to tylko Gombrowicz. Jak tu nie wierzyć w emigracyjne przeznaczenie polskiej literatury? Ktokolwiek o tym wątpi, niech odczyta następujący fragment z „Trans-Atlantyku”:

Gdym zmysły odzyskał, w Piwnicy jakiejś się ujrzałem, słabo światłem z małego okienka rozjaśnionej. W pierwszej chwili anim zrozumieć nie mogł skąd się tu wzięłem, ale Barona, Pyckala, Ciumkały widok, którzy na drugim tapczanie siedzieli, a głównie widok Ostróg owych strasznych, Zakrzywionych, które do butów przytwierdzone mieli, wprędce mnie dziwność przygody mojej uwidoczniły. Myślałem jednakowoż, że to oni chyba co Popili i z przyczyny jakiejś między sobą Zwady, może i dawniejszej, to ze mną zrobili. Więc powiedziałam: — Na Boga żywego, ludzie, chyba Pijani jesteście, powiedzieciez mi gdzie jestem i za co mnie prześladowacie, bo na wszystko co święte zaklinam się, żem wam nie winien. Za całą odpowiedź tylko Dychanie ich Ciężkie, umęczone, usłyszałem, a na mnie oczami jakimiś Niewidzącymi spoglądają i rzekł Baron: — Milcz, na Boga, milcz! Tak więc siedzimy, milczemy. Wtem Ciumkała Ruszył nogą, Baronowi ostrogę swoją wraził w udo! Zawrzasł Baron z bólu okropnego, ale nie rusza się, ruszyć się boi, żeby mu głębiej jeszcze szpi-kulec nie zalażł... i jak w potrzask złapany cicho, cicho siedzi... aż tu po jakimś czasie Pyckal krzyknął i ostrogę swoją Ciumkale wbił, który w ostrogi potrzasku Zbladł, ale skamieniał. I znów cicho Siedzą.

W ogólnym zagubieniu, kiedy człowiek jako gatunek wariuje bo nie wie skąd idzie i dokąd idzie, może to dobrze, że Polacy mają przynajmniej swoją Ostrogę? Może lepiej cicho dręczyć się wzajemnie w piwnicy (to wypełnia bądź co bądź czas) niż błędzić po zbyt szerokiej jałowej ziemi? Zważmy jednak na konsekwencje. Patriotyzm jest cnotą, ale żadna cnota nie może być uważana za dobro zawsze i wszędzie, bo w pewnych okolicznościach zmienia się w swoje przeciwieństwo. Ponieważ zbiorowość owładnięta jedną ukrytą pasją była bita i poniżana, należało ofiarować jej jakąś za to bicie rekompensatę i w ten sposób, jedną pasję podniecając, starać się ustanowić przymierze z narodem. Oto już mija ćwierć wieku jak prasy drukarskie w Polsce wypuszczają niesamowitą wręcz ilość pamiętników, nowel, powieści o ostatniej wojnie, ściślej, o niemieckiej okupacji i cierpieniach bohatera kolektywnego. Z pewnością, jest to politycznie rentowne („Na wschód granicę daj sąsiedzką / A wieczną przepaść od zachodu”, jak to w „Kwiatach polskich” powiada Julian Tuwim). Ale jeżeli szybkość z jaką druga wojna światowa wszędzie niemal, poza Polską, odeszła w senny półbyt encyklopedii

może nas razić, trudno mieć za złe pokoleniu, które jej nie pamięta, że wspominki zostawia swoim ojcom. Nawet wówczas kiedy „przyspieszenie historyczne” nie dorównywało naszemu, wojny napoleońskie, zakończone w 1815 roku, były w ćwierć wieku później tj. w 1840, tylko mitem. Podtrzymywanie pamięci za wszelką cenę, tak żeby odległe wypadki były ciągle żywe, jakby zdarzyły się wczoraj, może łatwo prowadzić do czegoś w rodzaju zbiorowej psychozy.

Literaci polscy napisali mnóstwo utworów z których wynika, że doświadczenie polskie ma być jedyne w swojej straszliwości i dlatego, jak sądzą, zapewnia im wyjątkowo wysoką wiedzę o działaniach historii. Można by się było z tym zgodzić gdyby ich intencje nie były zbyt przejrzyste, tam zwłaszcza, gdzie przeciwstawiają swoją mądrość sytej głupocie Zachodu. Goli, bezbronni, nie wspierani przez żadną stojącą za nimi potęgę, muszą wkładać maskę z natrąconymi kłami, która by innych trochę straszyla. Jest to jeszcze jedna wersja chwytu, do jakiego uciekł się bohater „Monizy Clavier” Mrożka („wybili, panie, wybili”). Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że cała kultura polska, z gruntu szlachecka, bukoliczna, towarzyska, okrucieństwo istnienia zawsze starała się skutecznie wymijać, stąd szczególny wstrząs kiedy musiała spotykać okrucieństwo w jego formach politycznych, przychodzące z zewnątrz (Rosjanie, Niemcy). Można podejrzewać, że potworne zupełnie cierpienia tzw. ludzi Zachodu, łącznie z kontynentem amerykańskim, doznawane w gospodarczej walce o byt, nigdy w świadomość polską naprawdę nie przeniknęły. Turmy i zsyłki na Sybir to na pewno nie było co, ale kiedy polscy poeci porównywali Polskę do Chrystusa, w spokojnej, mocarstwowej Anglii miliony istot ludzkich były wdeptywane w skrajną nędzę, tak wdeptywane, że nawet umierając z głodu, w sensie bynajmniej nie przenośnym, okazywały przedstawicielom klas wyższych pokorny szacunek.

Mądrość poznaje się po owocach i jeżeli jej owocem mają być takie dzieła jak grana, obficie komentowana i niemal zaliczona do narodowych arcydzieł sztuka Brylla „Rzecz listopadowa”, niewiele można się spodziewać po polskim historycznym wtajemniczeniu. Wybieram Brylla dlatego, że zdaje się być najbardziej typowym literatem końca lat sześćdziesiątych, a to dzięki swojej — przepraszam, nie mam na podorędziu innego słowa — *disponibilité* tzn. gotowości do cokolwiek. Jakiś fenomem skrajnego polskiego bez-dogmatyzmu, pozwalającego mieszać wszelkie pryncipia i idee, bo one przecież nie są ważne.

„Rzecz listopadowa” nawiązuje do tradycji, jest próbą wskrzeszenia ściśle rodzimych form literackiego wyrazu. A więc sztuka wierszem, dziejąca się w nocy („Dziady”, „Kordian”, „Wesele”, „Noc listopadowa”, w powieści „Ozimina”), której bohaterem jest zgromadzenie towarzyskie (znów „Dziady”, „Wesele”, „Ozimina”). Tytuł, poza jego uczuciowymi aluzjami, tłumaczy się tym, że sztuka pokazuje dzisiejszą Warszawę w noc Zaduszek.

Skąd wstyd, skąd zażenowanie kiedy to się czyta? Nekrofilia

może mieć swoich zwolenników, ale na ogół wskazane jest, żeby nie uprawiali jej publicznie. Autor należy do pokolenia, które wojnę mało pamięta i jeżeli nawet dla tych, co potracili w niej najbliższych, umarli są coraz dalej, bo takie jest prawo narastającego czasu, trzeba przypuścić, że mamy tu do czynienia z konwencją literacką podtrzymywaną przez zalew literatury okupacyjnej. Jest to konwencja zbiorowej *delectatio morosa*. Warszawa w sztuce Brylla to bordello na grobach i właśnie takie spotkanie fizycznego rozkładu poległych z moralnym rozkładem żywych ma stanowić polską specyfikę, owo wyższe wtajemniczenie, niedostępne dla jednej z postaci, zagranicznego dziennikarza. Intencja jest satyryczna, ale tylko niby, bo, tak jak w zacytowanym wierszu Brylla, świadomość nie zaprasza żeby wyzwolić się z inercji, przeciwnie, żeby się w niej zadomowić. Nie upatrzeć w „Rzecz listopadową” najmniejszych śladów marksizmu, ale założmy, że zapominamy o marksizmie Bertolda Brechta i przyznajemy jakąś słuszność samym jego przepisom na teatr. Według Brechta teatr miał unaocznić widzom to, czego uwikłani w społeczną nieprzejrzystość nie dostrzegają, czyli pomóc im rozumieć więcej niż rozumieeli kiedy zasiadali na widowni. Dla Brechta taka sztuka jak „Rzecz listopadowa” byłaby monstrualna, bo jej sednem jest odmowa rozumienia. Zresztą można obyć się bez Brechta, to już Mickiewicz powiedział, że celem dramatu jest „pobudzać, a raczej, jeżeli wolno tak się wyrazić, zniewalać do działania duchy opieszale”. Mickiewicz nie żądał od teatru też, moralnych wniosków, żądał tej energii, która rzeczywiście przenika każde wybitne dzieło teatralne. Jedyne chyba działanie do jakiego może zniewolić „Rzecz listopadowa” jest takie jak moje w tej chwili: każdy zdrowy organizm musi odrzucić formę narodową wskrzeszaną po to tylko, żeby stwierdzić że „tacy już jesteśmy”. Oczywiście było do przewidzenia, że Powstanie Warszawskie pozostawi legendę, która będzie udręczać wiele pokoleń. Ale przykro pomyśleć, że będzie się zawsze mobilizować tych umarłych dla wszelkich, może zupełnie im obcych, celów.

Wszystko w tej nacjonalistycznej sztuce jest wysilone i wydumane.

*Gościu co powiem krótkie będzie. Miasto
w którym zajadasz obiad jest grobowcem...*

oświadcza uroczyście zagranicznemu dziennikarzowi jedna z postaci. A jakie miasto nie jest grobowcem? Czy cała ludzka cywilizacja nie jest zbudowana na grobach? Jeżeli nie tylko Warszawa, ale cała Polska ma żałobną sławę, bo spełniała się w niej zbrodnia ludobójstwa, może wskazana byłaby jakaś wstrząsliwość? Natomiast Warszawa jako bordello? W jakimż to mieście kobiety nie chodzą do łóżka z mężczyznami za pieniądze? Nie, naturalnie że te rekwizyty nie wyczerpują sztuki Brylla. Właściwą jej treścią, niewymówioną, jest zjednoczenie się w ponurym misterium narodowego losu. Uzyskujemy niewątpliwie wgląd w warszawskie temperatury przy końcu lat sześćdziesiątych. I tutaj

narzuca się analogia ze świadectwami jakie o Warszawie sprzed pierwszej wojny światowej zostawili cudzoziemcy. „Wesoła Warszawka”, a pod tą powierzchnią sprężona nienawiść i samo-nienawiść. To po to tyle się nadziało, żeby wrócić do punktu wyjścia? Niezupełnie, bo w tamtej Warszawie działały dynamiczne siły dążące do odnowy. Berent, który rozpaczliwie szukał objawów energii w ogólnym marazmie, napomyka o tym w „Ozimienie” — tytuł jest przecie symboliczny. U Brylla nie ma żadnego „ino oni nie chcą chcieć” jak w „Weselu”, nie ma oczekiwania, jest pełna statyczność. Dlatego też jeden z krytyków tam nad brzegami Wisły nazwał go „Kassandrą na etacie”. Co jest określeniem dość ogólnym i łagodnym.

Dowcipnisie i figlarze

Literatura światowa ostatnich dziesięcioleci prześciga się w grotesce, ironii, makabrze. Ten straszny śmiech (*horrible laughter*) świadczy zapewne o poczuciu bezsilności wobec przeznaczenia, o utracie wiary w zasadność rozumem kierowanych poczynañ i dokonań. Polscy autorzy okazali się niezwykle uzdolnionymi pracownikami na tej niwie i bynajmniej nie naśladowcami, skoro tylko wisielczy humor mógł ich ratować w wyjątkowo przykrych historycznych sytuacjach. Polska literatura miała w tym względzie dobre przygotowanie stylistyczne, bo silnie naznaczył ją Barok. Później bezsilność, matka ironii, udzielała piszącym swoich nauk w następstwie rozbiorów i emigracyjnych wędrówek. A dziś mieszanina patosu i kpiny z samych siebie jest może najbardziej uderzającą właściwością polskiego piśmiennictwa, które wznosi wielopiętrowe budowle z napomknięć, z aluzji do aluzji, prawdziwe labirynty gdzie gubi się cudzoziemski czytelnik.

Zważmy ten paradoks, że nie poeta-komunista Broniewski ale zongler Gałczyński stał się bardem Polski Ludowej. Gałczyński powinien nas niepokoić, bo jest jakiś, być może po dziś dzień nieodcyfrowany, sens jego życiowej misji. Był to (pomijając jego złe chwile) poeta uroczy, o wiele inteligentniejszy i bardziej utalentowany niż tzw. Awangarda, którą gardził. Co prawda, raz pasowany na wieszczą, podlega już zabiegom kosmetycznym i młodszy czytelnicy nie znają niektórych jego przedwojennych wypowiedzi wierszem i prozą, wyłączanych z wyborów i ze zbiorowych wydań. Jego oenerowską fazę przywykło się tłumaczyć jako chwilowe zamroczenie, jako potknięcie się cygana, łasego na rozgłos i pieniądze. Było jednak w tym coś więcej.

Istnieje tak dużo gatunków ludzkiej inteligencji, że nazywając jakiegoś poetę człowiekiem inteligentnym, nie orzekamy jeszcze o artystycznej jakości jego wierszy. Z poetów Skamandra najmniej może inteligentny był Tuwim, ale to nie wystarcza żeby go osądzać. Gorzej może z teoretyzującymi przeciwnikami Skamandra, którzy chcieli opierać się na intelekcie, podczas

kiedy właśnie tego intelektu, jak to dzisiaj dobrze już widać, im nie dostawało. Ale o Gałczyńskim dużo napisano zapominając jakby, że za wszystkimi pieśniami i sztuczkami tego minstrela-zonglera czai się inteligencja bystra, chwytna, zachowująca jakby dystans wobec słów, które traktuje jako doraźne, na ten właśnie moment, już gotowa do dalszych eskapad. I właściwie co w nim najciekawsze, to myśl niemal niemożliwa do wydłuzenia, bo Gałczyński nie był tylko poetą stanów uczuciowych, łowcą niewyraźnego ani kolekcjonerem metafor, a mimo to przebywał poza prawdą i kłamstwem, poza szczerością i nieszczerością.

Gałczyński miał bystrość, by tak rzec, socjologiczną, nastawioną na chwytywanie form obyczajowych. Jego polem obserwacji była Polska miejska, jeszcze niewykluta ale, jak wyczuwał, już wykluwająca się powoli. Od poetów Skamandra tym się różnił, że oni pochodzili z warstwy wyższej, więc „doły” miejskie oglądali z sentymentem, jako osobliwość, albo ze strachem — u Tuwima np. ciągle odzywa się bojaźliwy wstręt do motłochu. Gałczyński, sam z miejskiego „ludu”, lubował się w kiczu, w taniach składających się na świeżo-miejską kulturę, uprawiając *pop-art* kiedy jeszcze nie było tej nazwy. W jego wiersze, od samego niemal początku, wkracza Polska nie-szlachecka, nie-chłopska, nie-robotnicza, i przede wszystkim nie-inteligencka. Co nadaje jedność dziełu Gałczyńskiego, to przeprowadzany przez niego, i przed wojną i po wojnie, atak na polską inteligencję jako warstwę społeczną, a zwłaszcza na skrupuły, jakie jej z ubiegłego wieku zostały. Prawdziwą narodową Polskę miejskiego ludu reprezentowała według niego maszerująca ulicą bojówka ONR-u. Jego antysemityzm był odmianą jego anty-inteligenckości. Bo kiedy przed wojną zapowiadał, że „wiatr historii” zniszczy „judzkie grzybki w polskim lesie”, słowa „grzybki” używał nie przypadkowo. Grzybki to fermenty, „miazmaty” jak wówczas pisała prasa prawicowa, a więc różne żydowskie sofistykacje, różne komunistyczne, pacyfistyczne, humanitarne, socjalistyczne pomysły rozkładające naród. Po wojnie Gałczyński rzucił się z zapalem w satyrę na polską inteligencję, bo zachowywała się jak żałobnica, nie mogąc się pogodzić z utratą suwerenności kraju. Ponieważ jest to warstwa obarczona licznymi śmiesznościami, łatwo mu było nawet jej moralne zgryzoty podać za fochy z powodu deklaszacji („Ani be, ani me / Bo ja jestem *déclassée*”).

W ocenie specyficznie polskich „praw rozwoju” Gałczyński był bardziej przenikliwy niż Broniewski, poeta inteligencko-robotniczy, czy nawet szlachecko-robotniczy, jakby potwierdzający samym swoim istnieniem szlachecki rodowód pierwszych polskich przywódców proletariatu. Poza tym poeta-żołnierz — i historia przedstawiała mu się jako pochód pod ideowym przewodnictwem, najpierw szlacheckich inteligentów, następnie klasy robotniczej. Zamiast tego Gałczyński, śmiejący się ze wszystkich idei, wprowadzał sam przebieg, samo lepienie się miejskiego ludu na wzór raczej lumpenproletariacki czy drobnomieszczański. Brak dostatecznej racji, żeby oddzielać jego powojenną twórczość od przed-

wojennej, skoro jedna jest jego filozofia — biologicznego trwania polskiej wspólnoty, nie potrzebującej, żeby trwać, warstwy-przewodniczk.

Jego anty-inteligenckość mogła pochodzić z jakichś przeżyć w dzieciństwie, ale mniejsza o to, tak czy owak jest zbyt wyraźna żeby ją pomijać. Niewykluczone, że przywiózł ją z Rosji, dokąd podczas pierwszej wojny światowej została ewakuowana z Warszawy kolejarska rodzina Gałczyńskich. Trzeba tu dodać, że kiedy zaczynał drukować, prawie wszyscy młodzi poeci odnosili się wrogo do „dobrego towarzystwa”, tj. do warstwy społecznej wyróżnionej posiadaniem matury i białego kołnierzyka, złożonej z prawników, urzędników, lekarzy, oficerów. Na ogół jednak, kiedy tej inteligencji przeciwstawiali siebie, lubiąc siebie nazywać intelektualistami, chcieli być nie mniej inteligentcy ale bardziej, tzn. rolę inteligencji pojmowali na sposób dziewiętnastowieczny, żywiąc urazę do klasy uprzywilejowanej w państwie urzędniczym o to, że degradowała się umysłowo. Całkiem inaczej Gałczyński — i dlatego w swoim sojuszu z ONR'em był wśród poetów wyjątkiem.

Kpiny z „miękkociątych inteligentów” mają w tej części Europy swoją tradycję i przybierają na sile zwłaszcza po r. 1917. Trzeba przyznać, że ta szczególna grupa, jedyna nosicielka oświaty wśród niepiśmiennych albo pół-piśmiennych mas, tak posługiwała się ideami, że sama zachęcała do tego, żeby ją bić i żeby niszczyć co dla niej było najdroższe. Zarazem jednak ona to przechowywała szacunek dla wartości, intelektualnych, moralnych, estetycznych. Cokolwiek jest dziś w Rosji żywe i twórcze, może tylko nawiązywać do dziedzictwa, jakie zostawiła rosyjska inteligencja ubiegłego wieku. Podobnie w Polsce, albo dziedzictwo romantyczne, pozytywistyczne, socjalistyczne coś znaczy, albo nie znaczy nic i wtedy trzeba zadowolić się biologicznym trwaniem miazgi. Mało kto dziś pamięta bardzo staranną analizę społeczeństwa polskiego przeprowadzoną, dla celów imperialnych, przez rosyjskich panslawistów. Rozróżniali oni skażoną, zlatynizowaną warstwę wyższą, winną zdrady wobec słowiańszczyzny, i dobry słowiański lud. Nie odmawiając temu ludowi prawa do narodowej odrębności, zalecali żeby wyższą warstwę zgnieść, a dobry lud nie przyczyni już Imperium kłopotu. I niewątpliwie to polska inteligencja pochodzenia szlacheckiego niosła ciężar walki „za naszą i waszą wolność”, była spadkobierczynią twórczych fermentów humanizmu i Oświecenia, tak różniących Polskę od Rosji, która ich we właściwym po temu czasie nie miała. Ale każda inteligencja wydziela swoje trucizny, a polska, z nadmiaru cierpień, wydzielala (nie od razu) truciznę nacjonalistyczną, godząc przez to w same fundamenty swego państwa.

Gałczyński był wynalazcą dezintegracji inteligentkich wartości przez śmiech. Bo satyryczna poezja lat trzydziestych, już groteskowo-makabryczna, tych wartości broniła. Z moralnego oburzenia (i ze strachu przed motłochem, przed „tajniakami w paltocikach burberry”) począł się „Bal w operze” Tuwima, tak

jak całe malarstwo Bronisława Linkego. Wtedy to przedmiotem szyderstwa Gałczyńskiego był, np. w „Zabawie Ludowej”, bezbronny inteligent, co to „poszedł na dno w kratkę siny, psia jego mać”. I nawet śliczny poetycko „Bał u Salomona” to „życie snem” w którym przekonania, zasady, poglądy są równoważne, na równi przemijające:

*Wszystko, panie, to wiatr i piasek
i jak wiatr, co nad piaskiem przewionie...
Lepiej być świnią w maju niż w wieczności, proszę pana, słońiem.*

Wszystko bez znaczenia? Nie, z wyjątkiem poezji, z wyjątkiem sztuki. Mistrz Konstanty doprowadził pogardę dla „wiatru i piasku” do perfekcji, nie pozwalając się nawet domyślać tym, co brali go za swego, jak się naigrawa. Modlił się do Apollina, do Horacego, do Kochanowskiego, do Jana Sebastiana Bacha. W czym nie był bardzo konsekwentny. W świecie, w którym wszelkie kryteria osądu, poza estetycznymi, są zniżane, Muzy nie mają co robić, albo, jeżeli poezja jeszcze trwa, korzysta z resztek rozkładającego się ładu, bo jest samą wybrednością, samą hierarchią, dzieląc, czegokolwiek się tknie, na lepsze i gorsze, wyższe i niższe.

W samym pojęciu inteligencjności jest zawarty, trzeba przyznać, pewien komizm, bo kojarzy się ono z oburzonym gdakaniem w imię zasad „wiszących w powietrzu”, negowanych przez rzeczywistość, i z bezsilnością. Jeżeli chuligani w stołówce podejść z tyłu do spokojnie jedzącego staruszka i nagle wpakują go twarzą w zupę, ich rehot ma za sobą „Realpolitik”. A nawet nie da się racjonalnie udowodnić dlaczego to nie miałyby się staruszków pakować twarzą w zupę zawsze i wszędzie.

Ironia, humor, groteska mogą spełniać najrozmaitsze funkcje i ostatecznie rzecz sprowadza się do tego, czy ktoś jest po stronie staruszka czy chuliganów. Gombrowicz, czy Mrozek, czy Kołakowski są to autorzy hierarchizujący, arystokratyczni przez swoje przywiązanie do rozróżnień. Gałczyński stał na przeciwnym biegunie i nie miał nic przeciwko rehotaniu z chuliganami. Jego też Polska zwyciężała: biało-czerwona, nie-chłopska (migracja do miast), nie-robotnicza (roztapianie się tradycji robotniczych pod naporem nowych przybyszów), bez Żydów, nie-inteligentka (biurokracja nie jest inteligencją), właśnie miejsko-ludowa. I Gałczyński znalazł kontynuatorów, których hasłem naczelnym zdaje się być ironia jako przystosowanie.

W „Rzeczy listopadowej” Brylla Warszawę nazywa się grobowcem ale w tym grobowcu rozlega się śmiech:

- Czasami jak się Polska w to dowcipkowanie zacznie zabawiać...
- I śmichać i chichać z samego śmiechu też może mój panie...
- Nasz naród...
- Jak z zarazy
- Do szczętu wyzdychać...

Śmiech może pochodzić z gniewu na zło, ale ze śmiechem bywa jak z narkotykami, trzeba zwiększać dawkę, i bywa że wtedy gniew zmienia się w gniew na gniew, czyli ironista obiera za przedmiot ironii ironię. Natomiast negacja negacji równa się, jakiej takiej, afirmacji i to właśnie zaszło u Brylla. Dla niego śmieszni są przede wszystkim inteligentcy ironiści, bo zapominają, że plugawość jest polską dolą, powinna więc być przyjęta jako dola nieodwracalna. Cytuję z wiersza Brylla pt. „Sarmacki”:

*Tak, wacan, niełatwa
dla naszych brzuchów sztuka — żeby nie wymiotać
patrochów swoich. A jeśli dopuści
Bóg to nieszczęście — to się szparko puścić
do „sarmackiego”. I jak paw się trzpiotać
ciągnąc tęczowość kiszaków za sobą...*

Poezja Brylla zaczynała się od ironii ludzi schwytanych, którzy muszą lawirować i kluczyć, żeby jakoś przeżyć i coś cennego ocalić. Następnie przekroczył próg i zwrócił się przeciwko swoim towarzyszom w nieszczęściu, atakując ich za to, że łudzą się, nie chcą uznać tego, co jest, ciągle marząc o tym, co być powinno, toteż słusznie są bici. Poezja jego przekształciła się w katalog sarmackich obrzydliwości, bynajmniej nie podawanych za piękne, właśnie za ohydne, ale nieuniknionych, swoich, narzucenych przez konieczność czy Opatrzność. Teza, jaką można z niej odczytać jest następująca: inteligenci wyobrażający sobie, że w Polsce może być miejsce na szlachetne zachcianki, jak w dziewiętnastym wieku, to głupcy, bo jakakolwiek wybredność podniebienia jest w Polsce *ponad stan* i Polak musi być świnią, ponieważ się Polakiem urodził. Zaiste, przyzwyczajono nas w tym stuleciu do wszystkiego, gotowi więc nawet jesteśmy pokwitować wzruszeniem ramion prosty fakt, że stylistycznie Bryll wywodzi się z Norwida, stanowiąc zarazem najjaskrawsze zaprzeczenie ideałów, jakim całe życie służył Norwid. Oto późny jego wnuk, który nie minął pisma, ale spożytkowuje pismo swego pradiada, żeby zatwierdzać „śmierć mej ojczyzny”.

Jezuickie kollegia

Podziwiam bystrość Gałczyńskiego, a przejawiała się też ona w jego sądach o literaturze, urągliwych i cienkich. Dziesięciolecia jakie upłynęły od przedwojnia słuszność tych sądów potwierdziły. Czy podoba się nam czy nie podoba pokrętność myśli, ekwilibrystyka niby u romantyków, też zawieszonych na trapezie nad próżnią, poezja mistrza Konstantego, tak zresztą jak poezja Brylla, przynależy do głównego nurtu polskiego języka. Kochał ten język i wiedział co w nim jest dobrym rzemiosłem. Jego programowi artysty-rzemieślnika, który pracuje na kotlet, nie można odmówić niejakiej godności:

*a kiedy pan swój oremus
zakończy, ty, Floro, jemu
z wieprza kotlet w misce nałóż.*

Program to może skromny, ale byłoby krzywdą dla Gałczyńskiego, gdybyśmy zapominali, że ładne i krzepiące ludzi były modlitwy jakie układał na chwałę codziennego życia, na chwałę nocy, dnia, kwiatów, owoców, rżęs, dorożek, błękitu, zieleni. Dawno, bardzo dawno temu, kiedy nie wydał jeszcze żadnych książek, przeczytałem jego „Pieśń cherubińską” w „Wiadomościach Literackich” i zachwyciłem się. Co do „wiatru i piasku” społecznych organizmów, załatwiała to piosenka, w powojennych wydaniach skrócona o dwie końcowe linijki:

*Słodko żyć w tym kraju
nad Wisły brzegami!
Daj nam Boże wszystkim
chodzić z orderami!*

Program jego był zapewne, jak powiedziałem, w sobie sprzeczny, bo życie codzienne nie chronione od inwazji umundurowanych czy nieumundurowanych chuliganów traci swój powab. Dlatego też zapewne trudno znaleźć w poezji Brylla jakąś radość. To już sam jad — takie wiersze mogłyby pisać wujaszek z „Tanga” Mrożka zmuszony do tańczenia z chamelem Edkiem.

Gałczyński naśmiewał się z chłopskich łepetyń wysilających się na pożyczane z zagranicy awangardowe dziwactwa. Tutaj zgadzał się z Tuwimem, że „szkoda peiperu i putramentu”, najbardziej chyba bawił go Przyboś i jego uczniowie. I rzeczywiście K.C. Kraków (tradycje Młodej Polski?) wnosił do literatury swój zabawny wkład wysoce inteligenckich obrządków celebrowanych przez teoretyków poezji, fanatycznych, nadętych i biorących siebie zabójczo poważnie. Nie najmniejszym też dziwem był stopniowy podbój całej niemal literackiej młodzieży przez tę powagę przy końcu lat trzydziestych.

Tak wiele wody upłynęło w rzekach od tego czasu, że pora już chyba na ogłód z perspektywy. Żyjemy dzisiaj wśród zgiełku samoczynnie działającego języka czy w ogóle „środków wyrazu”. Były kiedyś dość uchwytne kryteria techniczne pozwalające odróżnić wiersz od płodu grafomana, obraz od bezsensownej mazań. Kryteriów tych dzisiaj zabrakło. Do skarg przeciętnych śmiertelników, że nie rozumieją nic z nowoczesnej sztuki trzeba odnosić się ze współczuciem, a nie z wyższością. Ale niestety są oni terroryzowani przez tzw. poetów, tzw. malarzy, tzw. krytyków. Żeby wydzielić z zalewającego nas nadmiaru niesłychanie drobną część tego, co jest naprawdę wartościowe, potrzebna jest rzadka, nawet u „specjalistów” wprawa, toteż przeróżne brednie obciążają rachunek „nowoczesnej sztuki”; jest to dla zwykłych ludzi ciemność w której wszystkie koty są szare. Nie czytają niezrozumiałej poezji — i chyba nie ponoszą wielkiej straty, bo

gdyby się w niej wyznawali, też odrzuciliby przeważającą jej większość jako szmelc. Wygląda na to, że ruchy awangardowe współbrzmiały ze zjawiskiem wybuchającej ludzkiej ilości, bo w nich masowa grafomania znalazła swoją *magna charta*.

Zastanówmy się trzeźwo nad jakąś komiczną niewspółmiernością pomiędzy słomianymi strzechami, analfabetyzmem albo półanalfabetyzmem kraju eksportującego za granicę swoich czarnoroboczych i łacińską retorykę. Bo znajomość awangardowych przepisów była czymś takim jak łacina przyswajana w siedemnastowiecznych jezuickich kolegiach — i łaciną została do dziś. Jakiegolwiek są przyczyny podobnej proliferacji języka w krajach zachodnich, w Polsce potwierdza ona zasadniczą kulturalną dwutorowość, stałe rozpięcie pomiędzy wyrafinowaniem i prostactwem.

Za dużo mam wiedzy literacko-rzemieślniczej, za dużo rozmyślałem o polskim wierszu, żebym kolejne awangardy lekceważył. Polska poezja jest dziś tak niemożliwa bez nich do pomyślenia, jak bez makaronizmów i manieryzmów Baroku. Choć historia stylów to jedno, poeci jako głos ludzki to drugie. Niestety czas nie obchodzi się dobrze z olśnionymi formą. Co było w nich „niezrozumiałe” staje się aż nadto zrozumiałe i banalne, zresztą niewątpliwie mają z tego korzyść kustosze literackiego muzeum. Tutaj miał rację Gałczyński a jego okrutna parodia (po wyżęciu z metafor zawiły poemat awangardowy okazuje się reklamą pudru) trafiała w sedno. Gdyby jednak nie ruchy awangardowe zaczynające się od futurystycznych „słów na wolności” gdzieś w okolicach roku 1918, nie byłoby w polskim języku kilku wybitnych, dramatycznie żywych poetów, których nie mierzy się miarą laboratoryjnego eksperymentu (Czechowicz, Ważyk, Wat).

Pisanie wierszy po łacinie korzysta dziś w Polsce ze swobód i otoczone jest opieką państwa, jak świadczy np. miesięcznik „Poezja”. Jest to zajęcie nie przynoszące nikomu większego pożytku ni szkody, skoro ludność łaciny nie rozumie. Zdarza się znaleźć w „Poezji” wiersze po polsku, ale rzadko. Bo do łaciny wypada zaliczyć liczne przekłady naj-naj-śmielszych zachodnich wierszopisów. Międzynarodowy zamęt wynosi na forum różne sławne, na przeciąg lat czy miesiące, nazwiska i oczywiście zaraz się je „przeszczepia”. Czytani w oryginale, niektórzy z tych autorów mają pewne zalety, ale ze względu na coraz bardziej lingwistyczną orientację nowoczesnego pisarstwa wymagałoby zupełnie niezwykłych tłumaczy, podczas kiedy w Polsce jest to dziedzina chałturzenia. Nieraz zadaję sobie pytanie, czego uczy się z tych przekładów adept literackiej konfraterni, jeżeli ciemność autora pomnożona jest przez ciemność tłumacza. Chyba uczy się pojmovać język jako zbiór nieartykułowanych dźwięków.

Jeżeli mieszka się od lat za granicą i słyszy się naokoło siebie obcą mowę, jest się zmuszonym rozmyślać nad właściwościami polszczyzny. Siłą polskiego jest bogactwo słownika, giętkość, kapryśność, jakaś przyrodzona barokowość, ale nie jest to język majestatyczny. Niemniej może brzmieć dostojnie — u Kochanow-

skiego, w Biblii Wujka, zwłaszcza w Nowym Testamencie z 1593 roku. Zmora syczących i szeleszczących spółgłosek może więc być częściowo zażegnana. Osip Mandelsztam w jednym ze swoim artykułów zastanawiał się nad walką, jaka toczy się w rosyjskim pomiędzy hieratycznym, samozgłoskowym elementem starocerkiewno-słowiańskim i spółgłoskową mową codzienną; pochwalał Pasternaka za to, że ten wykorzystywał mowę codzienną, że był syczący, kłaskający, słowiczy. Choć sam Mandelsztam (którego poezję bardzo wielbię) był hieratyczny, samozgłoskowy. Otóż polski wręcz odwrotnie, nie tylko nie musi się z hieratyczności wyzwać czy równoważyć ją kłaskającym ludowym idiomem, ale jest stale zagrożony przez ciamkanie, syczenie, bełkotanie, przez arytmie i bezkształtność. Mówiąc o awangardowej łacinie, popełniam ten błąd, że jest ona dokładnym przeciwieństwem samozgłoskowego języka Rzymian. Oswabadzając polszczyznę z logicznej dyscypliny i z jakich takich rygorów, oddaje ją na pastwę ciamkań i kumkań, jakieś pra-polskiej magmy, jak u Białoszewskiego.

Już to na brak rafinady polski nie może się uskarżać. I zawsze to samo: mnóstwo literackich ciastek, ale brak chleba. Ten język w ubóstwie form literackich codziennego spożycia pobiliły chyba wszystkie rekordy — bo to coś znaczy jeżeli jakiś język nie ma prawie wcale literatury dla dzieci. Poza wierszami Tuwima i Brzechwy i w prozie „Panem Kleksem” — nic*. Gorzej niż nic, bo obfita chałtura dla naszych milusińskich. Przymuszone odrazą, polskie dziecię musi zapewne zaczynać od lektury Schopenhauera. Jest tu jakaś tajemnica, której nie można rozwikłać. Może polski nie nadaje się, może cały jest tak osaczony przez dziecinność, że kiedy zwracają się w nim do dzieci, jest już tylko zdziecinniały? Nie wiem.

Polska jest krajem poetów, na pewno. Tylko że zawsze myślałem z niepokojem o bardzo dolnych dołach i bardzo górnych szczytach, o skutkach podziału na grono zamknięte jak indiańskie plemię w rezerwacie i na miejski lud. Dlatego interesują mnie tacy poeci jak Gałczyński i Bryll. Przekazują oni szersze, nie tylko ważne dla smakoszków, znaczenia.

Fantazja

Szerzenie wiedzy o polskiej literaturze? Ten absurdalny obraz: przed komisją krajów, które miały „normalną” historię powinny zdać egzamin literatury krajów nienormalnych i wykrzywionych. Zupełnie jakby trwał na zawsze wiek szesnasty, kiedy cała Europa miała wzór w Italii, albo dziewiętnasty, kiedy literaci francuscy potrafili narzucić wszystkim przekonanie, że przemawiają w imieniu człowieka „jako takiego”. Może więc rzecz sprowadza

* Uroczy Janusz Korczak np. to, moim zdaniem, literatura dla młodzieży, nie dla małych dzieci.

się do wchodzenia na zachodni rynek, niby z obrabiarką, po to żeby i waluty załapać i głośnić się po brzuchu, że Polacy to ho-ho?

Wiedza o literaturze, jakiejkolwiek, francuskiej, angielskiej, amerykańskiej, czym jest? Interpretacjami interpretacji, przewodnikami do przewodników wśród muzealnych eksponatów. I będzie się rozwijać, dzielić na pod-dyscypliny, rozwarstwiać się, zgodnie z zasadą coraz większej komplikacji ludzkiego labiryntu, a także dlatego, że coraz większej ilości ludzi trzeba dać godziwe dłubackie zatrudnienie. Ale odbywa się to na marginesie coraz większego chaosu, ten chaos pomnażając, i pora już sobie uświadomić jaki jest rok na kalendarzu.

Jeżeli kraje totalitarne są nie do życia, nie wynika stąd jeszcze, że świat zachodni reprezentuje jakąkolwiek „normalność”. Nie spełniły się przepowiednie, że rozpadnie się on wskutek konieczności gospodarczych, nigdy chyba jego postęp techniczny nie był tak olśniewający, nigdy chyba wzrost jego dobrobytu nie był tak szybki jak w ostatnich paru dekadach. Ale jest to świat, który „wyszedł z trybów”. Jaka literatura, jaka wiedza, tam gdzie człowiek uważa siebie za istotę naturalną, ani zbawioną przez religię ni powołaną do tego, żeby przekształcić się w boga, jak niegdyś chciał Marks, i nienawidzi samego swego istnienia? Co po interpretacjach, socjologiach, strukturalizmach, semantykach, jeżeli obala je jeden zabójczy argument: młode umysły wychowane wśród takiej obfitości zadawała czerwona książeczka złoty myśli *chairmana* Mao?

Temu to światu mam przynosić wieść, że Polacy sroce spod ogona nie wypadli, bo mają Jana Chryzostoma Paska. Gdyby na tym polegały moje uniwersyteckie zajęcia, nie byłoby ze mną dobrze. Ale mnie tych młodych żal, czuję się wobec nich zawstydzająco bogaty. Nie dlatego, że naumiałem się różnych mądrości, a oni jeszcze nie zdążyli. Dlatego po prostu, że przychodzę stamtąd, gdzie trwanie historyczne jest samą nienormalnością, samą niemożliwością i najwyższym, ekwilibrystycznym pokręceniem. Co daje pogląd na dolę człowieczą wręcz odwrotny od tego, do jakiego podstępnie zmuszają zapuszczające wszędzie swoje macki nauki przyrodnicze. Ten stwór musi być właśnie powiatowy, związany, naznaczony przez szczególność miejsca i czasu, agonizujący, nielogiiczny, patetycznie śmieszny, głupawy, wzniósł równocześnie, jego esencją jest chyba nieprawdopodobieństwo. Ogólny, zaklasyfikowany jako gatunek *homo* z rzędu ssaków, jest nic, *nada*. I właściwie nie obchodzi mnie „literatura” ale to wszystko, co zawsze nieprawdopodobne stworzenia czuły i myślały na jakimś, tym czy innym, skrawku Europy. Czyli że literatura polska jest dla mnie bardziej pretekstem niż celem.

Wolałbym, żeby ta literatura miała więcej zmysłu klasycznej formy, żeby nie składała się z fuksów, niespodzianek, gargoyłów, maszkar o skrzydłach serafima. Żeby było w niej trochę wielkich książek mądrych a względnie prostych. Nawet nie z powodów praktycznych — bo łatwiej o takich książkach mówić, i nie dla współzawodnictwa przed międzynarodową komisją. Poniżenie mi-

lionów biednych ludzi emigrujących do krajów zachodnich stąd się także brało, że w swoim kraju, kraju wykwinnych manier na społecznych szczytach, swojej książki nie dostali — chyba książkę kucharską, „Moją Konstytucję”, jak powiada marynarz Kostek w powieści Straszewicza „Turyści z bocianich gniazd”. Choć w tym także, w tej rozpiętości pomiędzy nędzą i wykwinem, w rozdarcu, które bez ustanku zagraża, kryje się może przyczyna zafascynowania polską literaturą u nielicznych nie-Polaków.

Możliwe, że będzie tak jak zapowiada Bryll i z całej tzw. kultury polskiej zostanie słownik języka oraz literatura jako dział etnografii. Żądania wysuwane przez paru pisarzy emigracyjnych będą coraz mniej zrozumiałe, ich dzieła, jak to bodaj już dzieje się z Gombrowiczem, dostępne będą tylko w ich powierzchniowych ponętach, dowcipu. Nie jest nieprawdopodobne, że wystarczy, żeby jeden poeta publicznie odprawił obrzęd niewiary w swoją ojczyznę, a ojczyzna się zapadnie; nacjonalizm, oczywiście, przetrwa. Znaczyłoby to, że i przegrana historyczna Polski w wieku XVII-ym i jej obecny powrót do obskurantyzmu nowej epoki saskiej tłumaczą się tym samym: niedostatkiem męznego ducha.

Możliwe też, że sprawdza się teraz przysłowie: „wedle stawu grobla” i że szlachecko-inteligenckie rojenia były nie na polską miarę. Staw zatęchły, więc i grobla nie musi być wysoka. Jeżeli „prawdziwą polskość” reprezentowały te masy ludowe, które znalazłszy się jako emigranci w drapieżnej cywilizacji zachodniej zajęły w niej miejsce niskie, najniższe, obronę przeciwko niepojętemu światu mając tylko w swojej kiefbasie z kapustą, to wolno też prorokować, że awansując do biur, urzędów i redakcji przyniosą tam tę samą niemrawość Ciumkałów i Pyckalów. Jak staw to staw. Tylko że, niestety, „wielki wiatr” przebiega ziemię i co żywsi pośród tych, co uczą się teraz „Ala ma kota” zaczną traktować to, co polskie, tak jak co żywsi mieszkańcy Quimper od dawna traktują to, co bretońskie. Rozczulające, ale niewystarczające, czyli żeby być pełnym człowiekiem trzeba się wynarodowić.

Czy jeżeli ktoś wybiera pisanie po polsku to dlatego, że woli być słoniem w wieczności niż świnia w maju? Niekoniecznie. Może tak się zdarzyć, że nigdy czytelników pasujących nas na słonia nie będzie. Wzór romantyczny („późny wnuk”) wymaga dużych modyfikacji. Nie na wiele przydał się Norwid... Piszę się po polsku, bo taka fantazja. Nie najgorszy los, skoro ziemia jest pełna ludzi, którzy szaleją i skaczą z mostów, bo swojej fantazji nie mają. A może właśnie taka fantazja jest samym rdzeniem polskiej literatury, czyli że ktokolwiek na niej się wychował, umie pozwolić sobie na grę, której cały urok w tym leży, że prawie żadnej szansy na wygraną? Czy nie jest przypadkiem tak, że ta literatura, niedo-ludzka, w tym staje się ludzka, potwierdzając sobą transcendencję czyli, według klasycznej definicji, „wykraczanie poza dany poziom i daną granicę”?

Tiutczew nie lubił swego kraju, ale wierzył w swój kraj.

Oczywiście jest wiele odmian lubienia i nienubienia, wiary i niewiary. Chyba jednak lepiej, skoro nie można inaczej, bardziej wierzyć niż lubić. Tamta część Europy powinna, biorąc logicznie, być tylko zbiorem ogrodzonych na swoich działkach i zdrobniałych nacji, a klęska liberalnej polskiej inteligencji po roku 1918 pogodzenie się z tym układem przygotowywała. Ale bywają „siły fatalne”, które powołują odnowicieli nawet spośród kamieni i nawet spośród Ciumkałów. Nie pozostaje nic innego, niż uznać, że pisanie za granicą po polsku już samo w sobie jest jakimś tego dowodem.

Berkeley, czerwiec 1969 r.

Czesław MIŁOSZ

SUBSKRYPCJA NA „DZIEŁA ZEBRANE” WITOLDA GOMBROWICZA

Wydawnictwo to zawierać będzie wstępy oraz fachowo opracowane odnośniki, indeksy tematyczne i nazwiska (jeśli idzie o Korespondencję i *Dzienniki*). Obliczone jest na 3 lata.

Całość obejmie 12 tomów:

1. *Ferdydurke*. 2. *Trans-Atlantyk*. 3. *Pornografia*. 4. *Kosmos*. 5. *Teatr* (Iwona księżniczka Burgunda, Ślub, Operetka). 6. *Opowiadania i nowele*. 7-10. *Dzienniki*. 11. *Artykuły i eseje*. 12. *Korespondencja*.

Poszczególne tomy nie zawsze będą się ukazywały w podanej kolejności.

W latach 1969/1970 ukażą się co najmniej cztery tomy Dzieł: *Ferdydurke*, *Trans-Atlantyk*, *Pornografia* i *Kosmos*. Cena każdego tomu będzie dla subskrybentów o 30 % niższa od ceny sprzedaży poszczególnych książek.

Prosimy Czytelników o nadsyłanie na adres:

INSTITUT LITTERAIRE
91, Avenue de Poisy
78-Maisons-Laffitte (France)

zamówień na *Dzieła Zebrane* wraz z zaliczką w kwocie:

F. 100,00 lub dol. USA 20,00; dol. can. 22,00; £. 8.00.00.

Pod koniec 1970 roku, tj. po wydaniu pierwszych 4 książek, i ustaleniu na nie ceny sprzedaży, rozliczymy się z subskrybentami z sum otrzymanych i poprosimy o dalszą zaliczkę.

Wyjazd

Przed wszystkim winien jestem jedno wyjaśnienie. Nazwisko, którym podpisane są te notatki nie jest moim nazwiskiem. Jest pseudonimem, przybrany na tę okazję. Był to zabieg konieczny, bez niego nie mógłbym ich opublikować. Nie ze względu na obawę o losy moje, moich bliskich lub osób przeze mnie wymienianych. Jestem już od pół roku na Zachodzie a osoby wymieniane, które pozostały w Polsce, mógłbym, bardziej jeszcze niż to czynię, zakamuflować. Chodzi jednak o coś zupełnie innego. Sprawy, o których piszę, zahaczają o sferę bardzo intymną. Boję się, że pisząc o nich jako ja mógłbym przybierać pozy nieprawdziwe. A gdybym nawet nie robił tego (jak to zresztą można stwierdzić!) to czytelnik mógłby przypuszczać, że to robię. A gdyby nawet nie powstała w czytelniku taka myśl, to ja mógłbym przypuszczać, że tak właśnie będzie to odebrane... Można by tak bez końca. Trzeba było przerwać to błędne koło. Dla tego też zdecydowałem się na pseudonim.

Skoro jednak ukrywam swą twarz powinienem nieco scharakteryzować się. Choć urodzony dekadę przed wojną całkowicie chyba jestem ukształtowany w Polsce Ludowej, w której ukończyłem szkołę, studia i w której lat piętnaście pracowałem. Zachowując w mglistych wspomnieniach pamięć wakacji nad Prutem czułem jednak w sobie przez długie lata ciekawość Ziemi Zachodnich i entuzjazm dla odbudowy. Krócej już, choć za długo, żywiłem złudzenia co do Października. Nie byłem pracownikiem bezpieczeństwa ani propagandy, od której zresztą zawód mój jest jak najbardziej odległy.



Ilu nas jest — nie wiem. Komunikat Polskiej Agencji Pras-

wej z czerwca 1969 r. podawał, że opuściło Polskę około 6 tys. byłych obywateli polskich narodowości żydowskiej. Kolejne numery wiz imigracyjnych do Izraela, wydawanych przez Ambasadę holenderską w Warszawie przeczą jednak temu. Raczej wchodzi w grę liczba ok. 20 tys. Jestem jednym z nich. Jakie powody nami kierowały, gdy podejmowaliśmy decyzję emigracji? Nie wiem. Myślę nawet, że tyle było powodów ilu wyjeżdżających. A nawet więcej, każdy miał ich po kilka. To zresztą kwestia werbalizacji. Cokolwiek by się na ten temat powiedziało każda z przyczyn byłaby i prawdziwa i wystarczająca. Niesposób zresztą silić się na uogólnienia wówczas, gdy tak naprawdę to nie znam w pełni powodów, które kierowały mną samym. Chyba głównie to, że miałem zwyczajnie dość. Miałem dość a jednocześnie otworzyła się przede mną możliwość wyjścia z tego zaułka. Skorzystałem z niej. Postąpiłem więc dokładnie tak, jak życzyli sobie tego ci, którzy kierowali akcją „antysyjonistyczną” i jednocześnie stwarzali możliwość emigracji. Kaudyńskie jarzmo. Ale jednak wolałem je od pozostania na zasadzie „pomimo że...”. Zresztą decyzja nie była aktem jednorazowym. Była raczej sumą reakcji na bodźce, głównie z ostatniego roku. Roku, w którym był marzec i w którym był sierpień.

Ale chyba nie motywy są tu najważniejsze. Istotniejszy jest fakt jak sprawnie przygotowano i przeprowadzono wyjazd tak dużej grupy ludzi. Jak, w ślad za kampanią prasową i „rozrabianiem” na zebraniach, szły pociągnięcia organizacyjne i zarządzenia, normujące procedurę wyjazdową. I jak to realizowano w praktyce. Chciałbym ten „wysiłek organizacyjny” ocalić od zapomnienia.



Pierwsze wiadomości o wyjeżdżających zaczęły się rozchodzić chyba już w marcu lub kwietniu. Właściwie rozchodzenie się tych wiadomości jest swoistym fenomenem. O ważniejszych nazwiskach wiedzano prawie natychmiast. Tak samo wiedzano dokładnie jakie formalności są wymagane. Metodą z ust do ust przechodziły informacje ścisłe i dokładne.

A formalności nie brakowało. Pierwszym dokumentem, który trzeba było uzyskać była promessa wizy izraelskiej. Zasadniczo całkowicie zbędna, nie mam zamiaru jechać do Izraela. Nawet myślałem o tym, ale to niemożliwe. Można w wieku lat czterdziestu zmienić kraj zamieszkania, ale z poczuciem wspólnoty narodowej? grupowej? to już nie jest takie proste. O ile wiem, większość wyjeżdżających myśli tak samo, kierując się do Stanów, Kanady, Australii, Szwecji — dokąd wpuszczą. Byli nawet tacy,

którzy chcieli to zrobić oficjalnie: „pragnę tu i tu wyjechać”. Z tym pochodzeniem nie ma mowy. Jedyna odpowiedź: „Może pan dostać zgodę na wyjazd do Izraela albo nie”. Po zrzeczeniu się obywatelstwa, oczywiście. Były wypadki, że pracownicy Biura Paszportów informowali mniej zorientowanych, że z tak uzyskanym dokumentem mogą jechać dokąd chcą.

W poczekalni holenderskiej Ambasady kilkanaście osób. Kilku znajomych, kilka twarzy znanych. Niektórzy odbierają już wizy, inni są po raz pierwszy, a więc wymiana informacji i wskazówek. W kącie trzech starszych mężczyzn rozmawia w języku yidisz relikty dawnych czasów. Nawet nie wiedziałem, że są jeszcze i tacy. Przychodzi kolej na mnie. Miła, uprzejma urzędniczka wręczając mi formularz pyta: — „Ale czy pan jest Żydem?” — „Zadaje mi pani najtrudniejsze pytanie”. — Zmieszła się wyraźnie. — „Widzi pan, chodzi o to, aby nie było przykrości w MSW”.

Wiedziałem już, że opiekun naszej instytucji z ramienia tego Ministerstwa wraz z niektórymi, wybranymi członkami Egzekutywy, przepytывał był w kwietniu, pod pieczęcią partyjnej tajemnicy, niektórych pracowników „co tam Żydki spiskują”. Podał parę nazwisk, w tym i moje. Jakoś zawsze tak było, że oni wiedzieli. Nie kryłem się z tym ale i chwalić się czym nie było. Mój Ojciec przestał być członkiem żydowskiej gminy wyznaniowej prawie pięćdziesiąt lat temu. Wtedy taki krok miał oprawę religijną, przeszedł na katolicyzm. Ja też od urodzenia, a dokładnie od momentu chrztu, jestem, przynajmniej formalnie, katolikiem. Matka jest aryjką, żeby użyć tego terminu, który nieoczekiwanie odzyskał rację bytu. Tak, ale oni wiedzą. Skąd? To jednak powinno wystarczyć dla uzyskania dokumentów wyjazdowych. A jeżeli nie wystarczy? Może być sytuacja najgorsza: złożyć podanie na wyjazd, zdeklarować się jako ten, który chce Ludową Ojczyznę opuścić i zostać, nie uzyskawszy pozwolenia wyjazdu. Jakby ze stryczkiem, własnoręcznie ukręconym. Podobno były wypadki, że zgłaszali chęć wyjazdu ludzie, nie mający w dziesiątym nawet pokoleniu nic z Żydami wspólnego. MSW bezbłędnie ich wysegregowywało. A swoją drogą — ileż to dziadków „syjonistycznych” trzeba mieć, żeby móc wyjechać? Nie jest to zagadnienie scholastyczne: znajome małżeństwo inżynierskie zastanawiało się, czy może ryzykować złożenie podania na wyjazd „na podstawie” jednej jedynej babki żony. Nie rozstrzygnęli tego do mojego wyjazdu i nie wiem, jak zostało rozwiązane to zagadnienie z dziedziny genetyki stosowanej.

Muszę więc mieć na wszelki wypadek jakiś dokument. Na szczęście pamiętam, w którym kościele chrzczony był mój Ojciec. Nie sądziłem, że ta wiadomość przyda mi się kiedykolwiek ale wielu innych rzeczy też nie przewidywałem. W kancelarii parafial-

nej, dużej sali przedzielonej balustradą, jest kilka osób. Zwykli interesanci: zapowiedzi, zamówienie mszy. Przychodzi moja kolej. Mówię, że chcę dostać odpis metryki chrztu Ojca. — „To wydają Urzędy Stanu Cywilnego”. — „Tak, ale to nie jest metryka urodzenia, mój Ojciec zmieniał wyznanie”. — Nim sekretarka zdążyła coś na to odpowiedzieć wtrącił się młody wikary: — „W którym to było roku?” — i zaczął wraz ze mną szukać w raptularzu. Jest nazwisko, przy nim numer księgi, ksiądz wyszukuje ją w szafie stojącej w głębi i mówi do mnie głośno przez całą szerokość kancelarii: — „Tak, jest ten akt chrztu, jest też w nim podane poprzednie wyznanie. Czy pan chce pełny odpis?” — Urzędniczka zirytowanym głosem zaczyna narzekać, że po co to potrzebne, że pełny odpis to ona będzie trzy dni pisać. Ksiądz, całkowicie ją ignorując, mówi do mnie — „przepiszę to panu sam na maszynie, będzie gotowe po południu”. — Jestem mu wdzięczny za stanowczość, dyskrecję i szybkość orientacji, oszczędzające mi zbędnych wyjaśnień. A więc to załatwione.

Teraz jeszcze, zanim złożyć będzie można podanie w Pałacu Mostowskich, trzeba wyrobić zaświadczenia: z Wydziału Finansowego o niezaleganiu z podatkami, z Wydziału Kwaterunkowego o przedstawieniu mieszkania do dyspozycji i z Wojskowej Komendy Rejonowej na temat czy i kiedy było się w czynnej służbie lub na ćwiczeniach. Dużo z tym biegania ale przyznać trzeba, że zorganizowane to jest jak nigdy. Wszędzie zeszyty ewidencyjne, urzędnicy poinformowani o tym, co trzeba robić. Część spraw załatwia żona, niesporo jej to idzie, nawet wiem dla czego. Wszędzie, w pokojach pełnych urzędników lub przy obłożonych okienkach trzeba odpowiadać na pytanie dokąd ma się zamiar wyjechać. Krzyczę na nią ale sam łapię się na tym, że z trudem przychodzi mi powiedzenie głośno i wyraźnie: „Do Izraela”. Nie wiem nawet dlaczego tak jest, ale jakby głos wiązał w gardle. Czy to wynik półtorarocznej prawie antyizraelskiej propagandy? Czy brak przyzwyczajenia w wypowiedaniu słów innych, niż oficjalne?

Kontakty z ludźmi, o których się wie, że mają zamiar wyjechać, zacieśniają się. Podobną atmosferę przeżywałem już raz: w szpitalu przed operacją. Odwiedzający byli ludźmi z innego świata i niewiele miałem z nimi wspólnego. O wiele chętniej rozmawiałem z sąsiadami z sali, których wczoraj jeszcze nie znałem ale których czekało to samo. W mojej instytucji pracował człowiek, z którym dotychczas wymienialiśmy tylko dzień dobry i do widzenia. Fakt swej żydowskiej narodowości podawał niemal ostentacyjnie, miał żydowskie imię i nazwisko. W kwietniu jeszcze został zwolniony z pracy, zresztą na żądanie MSW. Teraz zaczęliśmy u siebie bywać. Długie rozmowy, wymiana informacji, za-

miary na przyszłość. Jedzie rzeczywiście do Izraela, chyba jeden z nielicznych. Pyta, dlaczego ja tam nie jadę. „Widzi pan — odpowiadam — wyjeżdżam dlatego, że jestem Polakiem a tu mi nim być nie dają”. Jest zdumiony. „Popatrz — mówi do swojej żony — jak to się wszystko dziwnie układa”.

Wreszcie przychodzi termin odbioru zaświadczenia z WKR. Sierżant, typowy kancelaryjny zupak, wypełnia druczek i idzie po podpis do Szefa Sztabu Dzielnicowego. Po chwili wraca: „Szef prosi pana do siebie”. Robi wrażenie zdumionego; ja też nie słyszałem o takiej procedurze. Wchodzę do gabinetu, wita mnie, nawet grzecznie, rudawy, korpulentny podpułkownik. Siadamy, przy sąsiednim stole siedzą i przyglądają się ciekawie dwaj inni podpułkownicy i młody kapitan. Spokojna indagacji na temat czy służyłem czy nie w wojsku, jaki mam stopień i zaczyna się wreszcie: „Czy żona też Żydówka?” I następne: „Czy pana z tym krajem nic nie łączy?” Nie lubię na te tematy rozmawiać, szczególnie chyba z pułkownikami więc odpowiadam, że to raczej moja prywatna sprawa. „To nie wasza prywatna sprawa — i już pięścią w biurko — zdobyliście wykształcenie i wyjeżdżacie a zamiast was mogło polskie dziecko studiować. Wy wszyscy tak robicie”. A więc jest już i WY. Teraz wiem, po co było to liczne audytorium. Godzina nienawiści. Godzina czujności. Dalszy ciąg rozmowy raczej nieciekawej, gazetowe slogany. Wychodzę rozdrażniony, przede wszystkim lękiem, który w sobie czułem, a który uniemożliwiał mi powiedzenie, co myślę o bojowym rozmówcy i jego zupackich medalach. Ale zaświadczenie jest.

Przyszła już promessa wizy izraelskiej. Numery — bez mała piętnaście tysięcy. Jest więc komplet wymaganych dokumentów i jutro idziemy złożyć je do Pałacu Mostowskich. Trzeba jeszcze wypełnić formularze. Kłopot jest z jedną rubryką: narodowość. Postanawiam, że bez względu na skutki napiszę tylko: polska pochodzenia żydowskiego. Absurd kompletny ale inaczej nie napiszę. Trzeba również wypełnić podanie o zwolnienie z obywatelstwa polskiego. Podpisałem bez wrażenia, aż sam się zdziwiłem.

Następnego dnia okazuje się, że wszystko jest wypełnione dobrze, nawet rubryka: narodowość nie wywołuje sprzeciwu i podania nasze lądują na dużym stosie takich samych, leżących na ziemi koło biurka urzędnika. Jaki termin odpowiedzi? 3 do 4 tygodni.

Trochę to za szybko. Jeszcze nie jesteśmy spakowani, nie jest zlikwidowane mieszkanie, termin wymówienia, które otrzymałem z pracy mija za dwa miesiące. A przecież trzeba opuścić kraj w przeciągu 30 dni od daty uzyskania zgody na wyjazd. Muszę to więc jakoś opóźnić. Po kilku dniach idę do mego dyrektora. Ma on opinię człowieka, który gdy nie musi, to świń-

stwa nie robi. Chcę go prosić aby, jeżeli może, wstrzymał o kilkanaście dni odpowiedź na pytanie MSW czy mogę wyjechać biorąc pod uwagę sprawy związane z tajemnicą służbową. Życzliwie mi to obiecuje — zapytanie w mojej sprawie właśnie dziś przyszło. Miło spotkać się z życzliwością, cieszę się więc do dnia następnego kiedy to dowiaduję się przypadkowo, że odpowiedź do MSW wyszła od dyrektora tego samego dnia.

A więc trzeba się spieszyć. Dwie najgorsze sprawy to książki i mieszkanie. Książek jest ponad tysiąc, zresztą jeszcze dokupuję, i trzeba mieć je wszystkie spisane w 3 egzemplarzach, według alfabetu, z podaniem wydawcy i roku wydania. Kawał roboty. Kłopot też z mieszkaniem: co robić z meblami, prawie wszystkie są do niego właśnie dostosowane, wartość mają tylko dla tego, kto się po nas wprowadzi. Ale nie wiadomo komu mieszkanie będzie przydzielone i decyzja może być nieprędko. Na razie proszę administrację o wycenę kosztów remontu który muszę opłacić. Wyliczają tego blisko pięć tysięcy, to, że na nasz koszt łazienka została wyłożona kaflami nie ma przy tym rachunku znaczenia.

Teraz jeszcze konserwator zabytków i będzie można się pakować. Nawet zresztą nie przypuszczałem, że moje rzeczy będą aż wymagały zgody konserwatora. Dwie meissenowskie popielniczki. Trzy obrazy przyjaciół-malarzy. Wazon z „Desy” za kilkaset złotych. Wartość czysto osobista. Wyprowadzono mnie na szczęście z błędu. „Celnik nie musi się na tym znać. Wszystko, co wygląda choćby na przedwojenny wyrób musi mieć zgodę konserwatora”. W pałacu Blanka też wszystko jest przygotowane na przyjęcie fali wyjeżdżających. Na ścianie wisi wzór spisu, który należy sporządzić w trzech egzemplarzach, każdy ze znaczkami stemplowymi. Co, jaki materiał, wymiary. Przyjęcia dwa razy w tygodniu. Dużo ludzi, dobro przyniesione i poodwijane z gazet przypomina Pchli Targ. Urzędnik, ponoć historyk sztuki, zachowuje się jak Lorenzo di Medici. W każdym razie przypuszczam, że podświadomie chociaż wzoruje się na nim. Sprawnie akceptuje kilka bezwartościowych pozycji, zatrzymuje się przy secesyjnym wazonie. „To ładne, ładne, nie pojedzie”, mówi prawie z lubością. Zdziwienie, próba argumentacji na które odpowiedzią jest sakralne niemal podniesienie dłoni: „Nie jestem tu po to, żeby dyskutować”. Podobno dawniej było jeszcze gorzej. Dopiero gdy prof. S. uniósł się: „Paru skorup nie chcecie wypuścić a ludzi wypuszczacie bez żalu” zmieniło się nieco. Trochę smętnie myślę o sklepach „Desy”, w których cokolwiek jest ciekawszego wykupywane bywa przez zagranicznych turystów. Oni nie muszą się stykać z dostojnym historykiem sztuki.

Oddzielna sprawa to dokumenty. Świadectwa, dyplomy, opinie, metryki. Wiadome jest, znowu metodą z ust do ust, że cel-

nicy nie wypuszczają ani opinii ani świadectw pracy. Były ponoć nawet wypadki, że zabierali dyplomy uniwersyteckie. To chyba najbardziej niepokojące. Ma się w perspektywie staniecie na obcej ziemi prawie tak, jak Pan Bóg stworzył. Mimo wszystko jednak zestaw najważniejszych dokumentów daję do tłumaczenia. Podobno przed konfiskatą na granicy zabezpieczają potwierdzenia, wydawane przez ministerstwa. Zaczyna się więc bieganina: oryginały dyplomów potwierdza Ministerstwo Oświaty (że podpisy rektora i dziekana są prawdziwe). Podpis urzędnika Ministerstwa Oświaty potwierdza następnie urzędnik MSZ. Teraz można już oddać do tłumaczenia. Z gotowym tłumaczeniem idzie się następnie do Sądu, gdzie Prezes swoim podpisem stwierdza, że tłumacz jest wpisany na listę tłumaczy przysięgłych. Teraz jeszcze Ministerstwo Sprawiedliwości, które potwierdza podpis Prezesa i MSZ, potwierdzające podpis poprzedniego urzędnika. Na zakończenie jeszcze tylko wizyta w którejś z zachodnich Ambasad która stwierdza, że przekłady tego tłumacza uznaje za właściwe. Ta sama procedura z metrykami. Nie udaje się to jednak zrobić z opiniami z pracy: w Sądzie odmawiają potwierdzenia gdyż jest to dokument o prywatnym podobno charakterze.

Jak w transie krążę między urzędami mając w teczce kilka arkuszy znaczków stemplowych. Każda pieczętka to przecież nowy znaczek. Gdyby nie okoliczności byłaby to groteska: w drodze z jednego krańca Warszawy na drugi migają te same twarze ludzi, będących w takiej samej pogoni za kolejną pieczętką. W Sądzie ja byłem wcześniej ale w MSZ — popatrz — ten sam człowiek wychodzi już z pokoju. Ale to nic, w Ambasadzie ja będę pierwszy bo właśnie nawinęła się taksówka.

Mam kilka książek wydanych przed wojną. Tu byłoby potrzebne zezwolenie Biblioteki Narodowej. Ale już rezygnuję, nie mam siły. A więc można się pakować. Podobno najlepiej załatwia to jeden prywatny przedsiębiorca. Rzeczywiście, w umówionym tylko przez telefon i bez żadnej zaliczki dniu i godzinie przywożą skrzynki i zjawiają się pakierzy. Pracują sprawnie i szybko, przy okazji nieco informacji „z pierwszej ręki”. A więc nic nie może być nowe. W każdym razie każda rzecz musi sprawiać wrażenie używanej. Nawet jeżeli nie zauważą przy odprawie to po tym, w nocy lub nad ranem są superrewizje: do składu celnego przychodzi komisja i ponownie otwiera skrzynie. Chętnie pojechałbym tylko z teczką w ręku ale kto wie, kiedy i jak zacznę pracować i zarabiać? No i książki, to już nie do odkupienia.

Niespodziewanie przychodzi pismo z MSW: „W związku z podaniem o wyjazd... prosimy zgłosić się... w dniu dowolnym”. Zupełnie nie wiem, co to może być. Czyżby próba namawiania do pozostania? Nie bardzo mam na to ochotę choć może w głębi

to i oczekuję tego. To przecież aż dziwne, że po tylu latach pracy nawet nikt nie usiłuje powiedzieć: „To nie o ciebie chodzi. Dlaczego chcesz to zrobić?” W każdym razie pójdę dopiero za kilka dni. W ten sposób zyskuję potrzebny mi czas.

Na razie jeszcze pracuję. To jest: chodzę do pracy. Nominalnie zdaję swoją komórkę, której kierownictwa jestem pozbawiony od momentu wręczenia mi wypowiedzenia. Ale to nie zajmuje dużo czasu. W naszej instytucji życie towarzyskie w godzinach służbowych kwitło, teraz też tak zapewne jest, ale zostałem z tego jakoś wymanewrowany. Jeżeli zdarzają się jakieś rozmowy to na tematy abstrakcyjne. A i to tylko w cztery oczy. O wyjeździe, o jego przyczynach, zasadności nikt nie mówi. Ani oni ani też ja. Tabu.

Wreszcie, odpowiednio podenerwowany, idę do MSW. Mam przyszykowane argumenty, sprawa jest dość delikatna. Jest duże prawdopodobieństwo natrafienia na inteligentnego rozmówcę, nie brak ich tam, w takim wypadku muszę podać jakieś racjonalne przyczyny nie będące tym, co w gazetach określa się jako szkolenie kraju. Przecież decyzja a więc i mój los jest w ich rękach. Jeszcze jedno rozczarowanie i to podwójne. Chodzi tylko o drobne, formalne wyjaśnienie. Podobno nie mogli znaleźć odpowiedzi w swoim archiwum. Ani mowy nawet o przekonywaniu czy zapytaniu chociaż. I nie wiedzą też oni wszystkiego.

O tym, że przypuszczenia o możliwości namawiania do pozostania były kolejną naiwnością przekonuję się po kilku dniach jeszcze dobitniej. Znajoma, rozwiedziona i wychowująca dziecko z nieudanego małżeństwa nie mogła uzyskać od byłego męża zgody na wyjazd syna. Odwołała się więc do sądu jako władzy opiekuńczej. Sąd przyznał jej prawo zabrania dziecka wbrew woli ojca. Gdybym wiedział o tym wcześniej, śmieiej szedłbym na rozmowę do MSW.

Zjawiają się wreszcie nasi następcy w mieszkaniu. Bardzo sympatyczni, starsi ludzie. Jak uśmiech losu witamy fakt, że chcą kupić nasze meble za ćwierć ich wartości. Prawdziwie nam się poszczęściło.

Przychodzi zawiadomienie z MSW. „Podanie zostało załatwione pozytywnie”. Data — ten sam dzień, kiedy byłem z wyjaśnieniami. I jeszcze jedna data: termin, do którego trzeba wyjechać, odległy o niecałe 30 dni.

Właściwie nic się nie stało. Wszystko jest załatwione pomyślnie. To tylko czas jakby zgęstniał. Trochę dziwnie mi jest, gdy patrzę na ludzi, na domy, na rzekę i wiem już, że tego więcej nie zobaczę. Ale takie myśli tylko chwilami mogą przychodzić. Na ogół nie starcza na nie czasu. Jeszcze przede mną najgorsze: komora celna na Dworcu Gdańskim.

W domu paki stoją jedna na drugiej. W czasie pakowania spisaliśmy wszystko, teraz trzeba tylko przepisać to na maszynie, w trzech egzemplarzach. Kończę spis i jadę na dworzec dla wyznaczenia terminu cła. Spis jest zły. Od tygodnia obowiązuje inny wzór. Osobno trzeba podać to, co wysyła się jako bagaż, osobno to co zabiera się wraz ze sobą. Trzeba też dostarczyć zaświadczenie z administracji domu w ilu pokojach się mieszkało i zezwolenie konserwatora. To wszystko z góry, dopiero po skompletowaniu tego może być wyznaczony termin.

Przepisuję ponownie. Po dwóch dniach, administracja przecież nie co dzień jest czynna, jestem znów w urzędzie celnym. Na ścianie spostrzegam kolejny wzór spisu, inny niż sporządzony przeze mnie. Teraz już ma być sześć egzemplarzy. Na szczęście udaje mi się przekonać urzędnika, że przedwczoraj tego wzoru jeszcze nie było a więc że nie mogłem się do niego zastosować. Przyjmuje spis i wyznacza termin cła, muszę tylko dopisać klauzulę, że wymienione rzeczy wszystkie stanowią moją całą własność. To na wypadek, gdybym z zagranicy usiłował dochodzić strat materialnych z tytułu wyjazdu: stwierdziłem przecież, że wszystko zabrałem ze sobą. Zostawiam też, do sprawdzenia, fotografie i notatki oraz listy.

W urzędzie celnym dużo ludzi, atmosfera nerwowa z obydwóch stron. Spotykam koleżankę z dawnych lat, jest w stanie hysterii: ma wyjeżdżać dziś wieczór a tu clenie jej bagażu trwa już trzeci dzień i nie wiadomo czy się skończy na czas. Ludzie chodzą z numerem *Monitora*, zawierającym zarządzenie o „mieniu przesiedlenia”, w ręku. Teraz rozumiem, dlaczego nie mogłem tego *Monitora* kupić, przezorniejsi zaopatrzyli się wcześniej. Nie na wiele się to zdaje, celnik ma zawsze więcej racji niż papier a na odwołanie nie ma czasu. W zasadzie można zabrać ze sobą wszystko ale to „wszystko” jest ograniczone przepisami *Monitora* a te z kolei interpretacją celnika. Dowiaduję się, że urząd celny znalazł wyjście z sytuacji w której „mienie przesiedlenia” nie podlega cleniu. Cli mianowicie skrzynie, w których jest wysyłane. 5 złotych od kilograma a skrzynie są masywne gdyż przewidziane do transportu otwartym wagonem.

Jeszcze przed cłem muszę odebrać dokumenty a wcześniej jeszcze zakończyć pracę. Piszę krótkie podanie i w odpowiedzi dostaję pismo: „... na prośbę Obywatela rozwiązuję stosunek pracy... itd.”. A więc konieczność skrócenia terminu wymówienia, którego mnie udzielono spowodowała, że liczy się teraz tylko moje podanie. Tak jak gdybym to ja wymówił. Niech i tak będzie, wszystko mi jedno, zresztą nie mam wyjścia.

Postanawiam pożegnać się po ludzku, przywożę parę butelek

wina, schodzi się kilkadziesiąt osób, uściski ręki — tak w skali wyjazdu na miesięczny urlop. Szef zadowolili się powiedzeniem „do widzenia”, inni tak samo. Jeden Józio, trochę już podpity, zaciągnął mnie do sąsiedniego pokoju i tam zacinając się, życzył dużo dobrego i mówił, że choć nie aprobuje, to jednak rozumie. Bardzo to z jego strony ładnie tylko dlaczego nie powiedział tego publicznie? Po kilku dniach okazało się jednak, że ostrożność jego nie była nadmierna: członkowie partii, pijący pożegnalne wino musieli się tłumaczyć z udziału w tej imprezie. Jednak czasy się już nieco zmieniły, gdyż nie wyciągnięto wobec nich żadnych konsekwencji.

Samą instytucję żegnam bez żalu, za dużo było tam rzeczy nieprzyjemnych, szczególnie ostatnio, i z zaświadczeniem o zakończeniu pracy jadę do Pałacu Mostowskich. Przedkładamy wraz z żoną zaświadczenia z pracy, zaświadczenia z wydziału finansowego, z wydziału lokalowego o zdaniu mieszkania (na szczęście udzielane na kredyt) oraz kwity na wpłaconą należność za dokumenty: po 5 tys. złotych od osoby. W zamian otrzymujemy taśmę papieru złożoną w harmonijkę w której wybijają się dwa zwroty: że „posiadacz niniejszego dokumentu nie jest obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” oraz, że „posiadacz” ma do tego i tego dnia opuścić PRL. To już za dziesięć dni.

Nadchodzi termin clenia. Nie chcąc wystawiać na pokusę swojej porywczosci deleguję żonę do asysty przy przeglądzie rzeczy. Sam zjawiam się dopiero w południe z wódką i kiebasą. Ma to, według znawców przedmiotu, uprościć przebieg procedury celnej. Rzeczywiście, celnicy chętnie znikają za skrzynią za którą stoją butelki, robią to zresztą kolejno i bardzo dyskretnie. Zresztą, żeby być sprawiedliwym, jest to prawie konieczne. W hali panuje piekielny ziąb a widać widmo superrewizji wymaga od celników skrupulatności. Przeglądają każdą książkę z oddzielną a następnie ich specjalne zainteresowanie wzbudza bielizna pościelowa którą skrupulatnie liczą. Jednak idzie to szybko i do czwartej jesteśmy gotowi. Bardzo mnie to cieszy, nie uśmiechała się nam perspektywa marznięcia jeszcze jeden dzień. A i czasu szkoda, teraz szkoda jak nigdy. Na stole parę rzeczy zakwestionowanych: plan Warszawy, Sartre’a „Rozważania w kwestii żydowskiej”, numery czasopism fachowych z moimi artykułami. To zupełne głupstwo, mogę je i z zagranicy sprowadzić poprzez „Ruch”. Na uboczu wciskam celnikowi w rękę dwieście złotych, jestem mu naprawdę wdzięczny, że tak się pośpieszył. Bierze i widać czuje się zobowiązany do rewanżu gdyż na drugi dzień, odbierając kwit odprawy celnej dowiaduję się, że moja skrzynia została od cła zwolniona.

Jeszcze tylko pożegnalny wieczór a właściwie noc z przyjaciółmi. Dużo wódki, trochę łez, może i tą wódką spowodowanych.

Jeszcze tylko kilku osobom, tym bardziej eksponowanym, trzeba wytłumaczyć, że nie powinni nas odprowadzać na dworzec. Jeszcze jeden wieczór — ostatni. Jeszcze jedna noc — ostatnia. Odjazd.

Od złożenia dokumentów na wyjazd minęły dwa miesiące i pięć dni.

Kajetan SKARBK

MARIAN KUKIEL

GENERAL SIKORSKI

Monografia

Stron ok. 270.

Cena księgarska: 30/-, \$ 4

Cena w subskrypcji: 24/-, \$ 3

Termin subskrypcji upływa 30. IX. 1969.
poza Wielką Brytanią 31. X. 1969.

Zgłoszenie subskrypcyjne

Do księgarni

Imię i nazwiskoK.O.W. VERITAS

Adres4-8 Praed Mews,
.....London, W.2.
.....England.

Zamawiam egz. książki „GENERAL SIKORSKI”
Mariana Kukieła.

Załączam czek, P.O., M.O. na sumę

.....
podpis

Noc w Apeninach

Zatrzymali się na samym szczycie przełęczy. Stali oparci plecami o ziemny wał, który jak przedpiersie wielkiego okopu oddzielał jedną dolinę od drugiej.

Przed nimi daleko za smętną zielenią i dachami wioski Bagno di Romagna wznosiła się ściana lasów. Żłota, czerwona, bursztynowa. Jesienne kolory, roztarte na ogromnej palecie skłonu gór, zachwyciły oczy. Spoza nich, zza kępy krzepkich świerków wychodziła droga. Wiła się w dół pokazując raz po raz czarny grzbiet. Stamtąd przyjechali wczoraj.

Gdyby odwróciwszy się spojrzeli poza garb wzgórza, ujrzeliby mrokiem wieczoru napełniające się doliny i góry jak dekoracje zestawione po przedstawieniu, jedna za drugą zachodzące na tle ciemną czerwienią zasłaniającego się horyzontu.

Tam mieli iść z zapadnięciem ciemności.

Tu pod nimi szeroki lej kończący się dachami wioski i obskubanymi koronami uschniętych dębów. Na skłonach tego leju stały samochody, namioty, zwalone bezładnie skrzynie, siatki maskownicze. Krzątali się ludzie w ubraniach ochronnego koloru. Obóz cygański rozrzucony od krawędzi po samo dno. Z prawej strony, za białą mokrą drogą kilka ciemnych domów zlepionych razem sterczało, jak twierdza broniąca dojścia do przełęczy.

Kompania rozłożyła się niżej. Nie zważając na wilgoć i zimno, zmęczeni strzelcy przysiadali na trawie, gromadząc się w ciasne grupki.

Jedynie drużyna Kowboja, oddzielona jak na rozkaz, stała osobno pod samą szkarpą. Wiedzieli już, Kowboj powiedział im jeszcze na dole, że pójda w szpicy.

— Spacer — krzywił się lekceważąco i splotał pozbywając się flegmy, która go wciąż dusiła. Miał od tego głos zachrypły

i nieprzyjemny zwyczaj charkania. Nosił swego Smitha-Wessona nisko przywiązanego rzemieniem do uda i to jedno wystarczyło, aby go nazwać Kowbojem.

— Słyszałem w dowództwie — objaśniał teraz na szczycie przełęczy swoich żołnierzy — że tam nie ma ani jednego porządnego batalionu Niemców. Podobno jakieś oddziały wartownicze i dwa działa ciągnięte przez krowy.

— Nogi się ślizgają — odpowiedział lakonicznie Józek.

— Faktycznie — potwierdził wydychający zmęczenie Kazik — żeby tam ani jednego bosza nie było, to samo łożenie po tym błocie zabije człowieka.

— Człowieku — zaśmiał się Adam — po co człowiek pije?

Kowboj spojrział na Kazika ze złością. Ładna, gładka twarz podchorążego skrzywiła się pogardliwie. Dawno prosił o zabranie tego dziada. Za stary i nie zna dyscypliny.

W ogóle patrzył na swoją drużynę bez sympatii. Nie ci, co byli z nim pod Cassinem. Ze wszystkich kolegów z plutonu pozostał z nim tylko Józek. Obaj przeszli drogę od Castellone na San Angelo biorąc udział w dwóch natarciach. Nad Adriatyk szli w nowym składzie, który się znowu wykruszył. Teraz po przyjeździe ze szpitala zastał same ofiermy. Kazik, stary i zapijaczony, dołączył z eszalonu „B”. Trzymający się razem Strzelecki i Bojarek przyszli z rozwiązanej pelotki. Poleszuk ze szpitala. Trzech z kaemów. Jednym słowem zbieranina. Ilu wśród nich bandytów w rodzaju Józka? Ile kalek jak Kazik dyszący po trzech krokach?

Kowboj splunął. Ostatecznie i on sam powinien był się wyleczyć z bronchitu. Zwłaszcza na zimę.

Zapalił papierosa. Drapało go w gardle, gdy się zaciągał.

— Guciu — rozkazywał Krenc, dowódca kompanii — pójdiesz w szpicy na czele pierwszej drużyny.

Kowboj skrzywił się rozpaczliwie.

— Ostatni raz. Za dwa dni obejmujesz pluton. Ale tym razem sprawa ważna. Niemcy siedzą pochowani i tyle ich, że nic nam nie grozi, ale teren cholerny. Kogo wyznaczę na prowadzenie? Wacka? Sierzyńskiego? I jeden i drugi zgubi się i cała kolumna może pójść do ciotki Frani na pierożki zamiast na Santa Sofia.

Ostatecznie Kowboj mógł prowadzić jako dowódca plutonu. Jednak nic Krencowi nie odpowiedział. To nie była wina Krenca. Stary Wyszyński odpowiadał za pominięcie podchorążego. Nie ufał mu po tej sprawie na Widmie. A gdyby Stary sam tam się znalazł, też straciłby głowę i drużynę. Zastępca dowódcy batalionu, sam w latach, szukał u dowódców odpowiedzialności i równowagi duchowej. Dla niego podchorąży, dopiero co po kursie dywizyjnym i szpitalu, nie przedstawiał materiału na wodza. Plu-

tonami dowodzili tacy, którzy prochu nie wǳali. Bojowa kompania!

Kowboj rzucił niedopalonego papierosa na ziemię i przydeptał go ze złością; spod zabłoconego buta wytrysnęła woda.

— Stefek — powiedział Bajorek do Strzeleckiego — jak myślisz, będzie jakie strzelanie?

— Nie bój się, będzie.

— Co chcesz — wtrącił się Woźniak — wojna.

— Powiadają, że Niemców nie ma.

— Durny, to po jasną cholere nas tu rzucili?

Poleszuk, siedzący w kucki i skręcający papierosa z bibułki, patrzył na nich uważnie. W jego wyblakłych oczach widać było niepokój. On jeden nie zdjął hełmu, miał go wciąż nasunięty głęboko na czoło. Każdy wiedział, że Poleszuk boi się jak jasna cholera, przecież wrócił ze szpitala po wyrwaniu całego półdupka. Gdyby mu kość ruszyło, już nie potrzebowałby wojować. Brak pół kila mięsa nie przeszkadzał.

Podszedł ku nim artylerzysta. Ubrany w płaszcz i skórzany serdak na wierzchu siedł ciężko i niemrawie. Przystanął i przyjaznym gestem wyciągnął pudełko playersów. Kto palił sięgnął i zgrupowali się koło artylerzysty, jak chłopcy na słuchanie nowinek.

Jeden Kowboj stał na boku i patrzył w dół na ciemniejący tabor.

— Idzieta — nie pytał, ale stwierdził kanonier — no to szczęście Boże.

— A wy?

— Nie widzita — machnął ręką — bateria stoi dyć tuż na samej górze. Aż dziw bierze, nigdy tak nie stali. Armaty na górze, a obserwator gdzieś pojechał w dół.

— Strzelacie?

— A do kogo? Sam spójrz ino, Ni żywej duszy. Tak cicho jak w kościele po niesporach.

— Straszno — szepnął Poleszuk.

— Co straszno? Komu straszno? Nasz dowódca siedzi w tamtym domku na samej góreczce. Jakby Niemcy byli, to by go ustrzelili trzy razy na dzień.

— Tak nasz Kowboj gada — wtrącił się Józek — trzech Niemców na krzyż siedzi i sra w portki. Jak nas zobaczą, to dadzą chodu.

— Nie to co pod Cassinem.

— Byłeś tam? Sekundy nie było, żeby nie „wizz” nad łbem. Leci i leci. I buch, buch. Nie zdążyłeś puszkę z konserwami otworzyć, a już trach i kamień siedzi w sosie.

— Nad Adriatykiem to było życie — westchnął Kazik.

— Wino i gallini — zaśmiał się Strzelecki.
— Mówię o życiu — rozżłościł się Kazik — ruch był. Ludzie dokoła. Kurz, krzyk, jechaliśmy jak wariaci to tu, to tam.
— Strzelali też nie wąsko.
— A tu? Jak myślisz, że nie będą strzelać — krzyknął Kazik
— to się mylisz, idioto! Tylko uważaj na tyłek.
— Tylko bez paniki, bez paniki — zawołał z boku Kowboj
— czy strzelają, czy nie, nasz obowiązek jest jeden: naprzód.
— A to kto? — spytał cicho artylerzystą.
— Kowboj — odpowiedział Józek — nasz bohater narodowy.
— Iiii — Kazik wstrząsnął się jak po occie — gówniarz.
Każdy z nich na początku podskakuje. Smarkacz, pamiętam jak w Rosji do pułku przyszedł. „A ty co chcesz, syneczku?” spytał go major Koszanowski. I do szkoły. A teraz dowodzi. Sraluch.
— Najgorzej z takimi — przytaknął artylerzysta i przykucnąwszy zaczął opowiadać długą historię zbyt awanturniczego obserwatora spod Della Crestia. Podszedł inny kanonier, potem zbliżył się ogniomistrz wahający się, czy przystąpić do podchorążego, czy wdać się w pogawędkę z grupką strzelców. Stał z boku i odszedł.

Zapadł zmrok. Ciężkie jesienne niebo nie przepuszczało promieni słońca kładącego się coraz niżej, tylko niebieski cień napełniający doliny coraz się wydłużał, a strona zachodnia grzbietu mieniła się fioletem. Nie zauważyli, jak od dna wąwozów zaczęła się unosić mgła. Zasniana z początku domy wioski, potem wpłynęła na stanowiska ciężkiej artylerii, napływała grząc jeden po drugim wozy taboru i namioty dowództw.

Nadchodziła biała mokra droga aż na samą przełęcz. Wreszcie purpurowa, fluoryzująca na powierzchni napełniła dolinę po wręby, aż pod grzbiety, po którym jak po grobli czarnej i rozmokłej można było iść zbierając z jednej strony fiolet zachodu, z drugiej czerpiąc dłońią granat nocy.

Gdy Kowboj dźwignął się ponad szkarpę przełęczy, ujrzał przed sobą morze ciemnoniebieskie i czarne wierzchołki gór coraz bardziej znikające w tle brudnego nieba.

Patrzył zaskoczony gęstością i nieprzenikliwością mgły.

— Idziemy, Guciu — trącił go w ramię Krenc. — W tej mgle diabeł nas nie dostrzeże. Dobra jest. Będziemy wcześniej przy placówkach, niż myśleliśmy, odpoczniemy przed włożeniem na górę.

— Chłopcy — odwrócił się Kowboj — zbiórka.

Szli jeden za drugim. Po kilku krokach mgła przestała być niebieska. Uczyniło się ciemno jak w nocy bez księżyca, a na batteldressach, siatkach, na hełmach, na plecach i broni zaczęła osiadać wilgoć. Mżyło.

— Cholera — kłął Kazik, a Kowboj milcząc charkotał i spłukał.

Ślizgali się. Poleszuk niosący erkaem mruczał gniewnie zapominając o swym wiecznym lęku.

— *Szob tiebia, nieszczęstnaja...*

— Uważaj, Iwan — irytował się Józek, któremu lufa kaemu zdzierła ze łba garnek hełmu.

— Pieprzone drogi, sama glina.

— Ciszej, chłopaki — upominał Kowboj.

Schodzili w dół i w dół. Raz przechodzili obok jakichś dział czy samochodów, szczekało bowiem i gruchotało, jakby ktoś zatrząskiwał wieka żelaznych skrzyń. Słyszać było słowa szpetnych kłatw.

— Stefek — szeptał Bojarek.

— Jestem, jestem — uspokajał go Strzelecki.

— Spokojnie — rozległ się nad nimi głos Krenca — idziemy wzdłuż stanowisk wysuniętych artylerii. Niemcy jeszcze daleko. Uważać na nogi, jak który skręci kostkę przed dojściem do Niemców, to mu dam takiego kopa w dupę...

Dowódca kompanii próbował być dowcipny, a sam ślizgał się i potykał mijając drużynę.

Schodzenie i kręcenie po grzbiecie mokrym i grząskim trwało chyba wiecznie. Wreszcie coś przed nimi szczęknięło. Żołnierz manipulował zamkiem tomigana.

— Kto idzie? Hasło! — dobiegł ich patetyczny szept. Tyle było w nim powagi i napięcia, że stanęli i usłyszeli własne serca bijące ze zmęczenia i przejęcia. Byli na linii placówek. Zaczynało się naprawdę.

— Kowboj — Krenc ciągnął podchorążego za rękaw — włącz.

Potknęli się i obaj wpadli do dziury, ocierając się o płachtę brezentu.

W ciemności pełgało światelko. Zgarbiony nad mapą siedział dowódca placówki. Przykrywał się indywidualną płachtą i płaszczem przeciwioperytowym; pod ten namiot w namiocie wpuścił Krenca i Kowboja, tak że mogli widzieć mapę, nosami dotykając mokrego celuloиду.

— Jesteśmy tu — pokazywał palcem na mapie porucznik.

— Przed nami o dwieście metrów, na skłonie niemieckie placówki.

— Dużo ich? — nie wytrzymał Kowboj.

— Cholera wie. Zakazano nam rozpoznania. Tyle że widzieliśmy ich przez lornetkę. Jakies łajzy, bo zachowują się jak baby. Z wiadrem po wodę chodzą. Ale to was nie obchodzi. O tu — pokazywał znowu, ale ani Krenc, ani Kowboj nie wiedzieli, o co chodzi.

— Ta ścieżka obchodzi górę z prawej. Najpierw zejście

w dół nad strumień, a potem w górę i w górę do rozwalonego domku. Tam już wiecie.

— Od rozwalonego domku — wpadł w słowo Krenc — pójdziesz po warstwicy. Nie trudno, droga okrąża górę, jak sierpem rzucił.

— No właśnie, zgodnie z mistrzem Sienkiewiczem — zaśmiał się dowódca placówki. — Ale mnie to już nie obchodzi. Jak znajdziecie się po drugiej stronie góry, my ściągamy na odpoczynek. Wysuszyć się. Te pieprzone góry sikają, jak gąbka wyciskana w wannie.

Ktoś wlaź pod płachtę namiotu i zaczął na nich naciskać.

— Panowie, uświadomcie mnie.

— A pan co za jeden? Dowódca batalionu?

— Obserwator wysunięty artylerii. Od godziny biegnę, żeby was złapać.

— Co za obserwator — mruknął Kowboj — przecież nic nie widać.

— Panie — gniewnie powiedział artylerzysta — gdyby mi nie kazali, siedziałbym w swojej casie i piłbym wino.

— Nie kłócić się. Panie poruczniku — uspokajał Krenc — powtórz pan raz jeszcze, dla nas wszystkich.

— Do rozwalonego domku dam wam przewodnika, a dalej prosta droga.

— Dobra — zgodził się Krenc. — Guciu, zafasuj tego przewodnika. No koledzy, zaczyna się wielki zagon tatarski.

— Gówno nie zagon — sarknął artyleryjski obserwator — po co ludzi po nocy włóczą. Komuś zachciało się manewru na szczeblu drużyny.

— Masz pan coś do picia? — spytał dowódca placówki.

— Żebyś pan wiedział, że mam.

— No to dawaj.

Zgasła latarka i w ciemności zastukała manierka, zagulgotało, rozległy się śmiechy zadowolenia.

— Guciu — szepnął Krenc. — Ruszaj się. Bierz przewodnika i pomachiwaj. My za tobą. Uważaj na zakrętach.

Kowboj nie doczekał swej kolejki i zły wycofał się z dziury.

— Chłopcy! — wzywał swoją drużynę. — Tu. Do mnie.

Wśród nocy nie potrafił ich policzyć. Może byli wszyscy, a może ktoś odstał. Po głosach dochodził, że Józek jest, jak zawsze klnący wzdłuż i wszerz; Bojarek coś szepcze; Kazik kaszle, Mirecki, Jankusz. No, chyba wszyscy.

— Poleszuk?

— Ja.

— Przewodnik jest?

— Tutaj.

— No to ruszamy. Trzymać się jeden drugiego. Żadnych szpecaczy tymczasem nie ma, idziemy gęsiego. Jak się rozwidni, wtedy wracamy do regulaminu. Tymczasem trzymać się tyłka tego co przed wami. Zrozumiano.

Odpowiedziało mu burczenie i kilka soczystych wezwań do nieprawych synów niezbyt dobrze prowadzących się mamuś.

— Marsz.

Ruszyli. Znowu w dół.

— Żeby to jasna nieprzemakalna — złościł się Kazik.

— Sto metrów do strumienia — odezwał się przewodnik — a potem już w górę.

— Boże, czemuż nas męczysz — jęknął Józek.

— Ciszej, gówniarze — syknął z tyłu Krenc, gdzieś w ciemności czuwający nad nimi.

Nad strumieniem Kowboj próbował znaleźć stopą kamień, aby przeskoczyć, jak to przed nim uczynił przewodnik. Stopa ześliznęła się i wpadł w lodowatą wodę. Dalej już brodził klnąc pod nosem. Za sobą słyszał taki sam chłupot i te same przekleństwa.

— Żeby cię niedźwiedź polarny... — wyrażał swe życzenia pod adresem losu Józek.

— Ciemno jak u Murzyna — zrzędził Kazik. — Zimno jak u Eskimoski.

— Teraz cicho — napomniął po raz pierwszy przewodnik i to ich zamknęło skuteczniej niż napominanie Krenca z tyłu i Kowboja z przodu.

Mokrzy i skostniałi skreśli w prawo na ścieżkę, która mimo nocy białała jak szare płótno. Z początku dość równa i łatwa, szeroka, po kilkunastu krokach zaczęła się podnosić i oddechy zaświstały w piersiach.

Gdy weszli na drogę idącą po warstwicę, zaczął padać deszcz.

Krenc zwolnił kroku i przepuszczał idącą naprzód kompanię. Musiał odstępować na bok i potykał się o niewidoczne kępy trawy, kamieni, wpadał w wyrwy przy drodze.

Spodziewał się, że dowódca batalionu dogoni go. Czułby się pewniej. Wśród nocy, deszczu, na skłonie góry, dźwigającej się nie wiadomo gdzie i jak wysoko, czuł się niepewnie. Nachodził go znowu lęk. Tym razem bał się niewiadomego. Nie oczekiwał, że ciemność otworzy się nagle szczekaniem spandauów, smugami pocisków, gruchotem moździerzy. Pewność, że Niemców nie ma przed nimi, udzieliła się i jemu, ale noc w górach straszyla go jak pusty cmentarz. Do tych niejasnych obaw dołączyła się konkretna: co będzie, jeżeli zabłądzą? Jego kompania prowadzi. Gdzieś poza nimi cieknie po tej drodze cały batalion. Co będzie, jeżeli wszystko skreśli w jakąś pustą dolinę, zacznie kołować i

świt zastanie ich zgubionych w wąwozach zupełnie z boku? Mają zgrabnym łukiem zejść Niemcom na tyły. Na mapie wyglądało to prosto i bez trudności. Naprawdę to pustka nieprzenikniona ciągnie się we wszystkie strony. Czy potrafiliby wrócić do rozwalonego domku na rozwidleniu dróg?

Lękliwe myśli opóźniały kroki porucznika Krenca. Wreszcie znalazł się na samym końcu kompanii i usłyszał przy sobie głos szefa Latynka.

— Psiakrenć, panie poruczniku, ale noc.

Nie mógł się oduczyć tego przekleństwa, w którym nazwisko dowódcy dźwięczało jak głupi żart. Przecież poważny szef nigdy nie żartował. I nie kłął; nic ponad tę psiakrenć. Modlił się za to i jak zobaczył księdza, biegł się spowiadać. Czy się bał śmierci? Jeżeli tak, to poważnie.

— Czy pan pewny jest, że idą za nami? — tym razem odezwał się obserwator artylerii. — Mnie tam wszystko jedno, ale jakoś cicho.

— Szefie — odwołał się do starszego sierżanta Krenc — przecież łącznicy zostawieni.

— Tak jest. Wszystko w porządku, panie poruczniku. Nie zginą.

— A odpoczynku nie będzie? — spytał artylerzysta.

Krenc uśmiechnął się do siebie. Więc to była przyczyna niepokoju o tych, co idą za nimi. Chciał odpoczywać.

Dobrze takim. Idą jak na wycieczkę. Przyczepią się i wlecze się toto bez żadnej odpowiedzialności. Jak zabłądzą, to będzie się naśmiewał.

— Zimno — szturgnął go artylerzysta — mam kroplę wina w manierce.

Wino okazało się pędzoną we własnym zakresie grapą, piekielną i żrącą. Ale Krencowi pomogło. Ruszył naprzód wyprzedzając kompanię.

Na czele szli Bojarek i Strzelecki, za nimi Kowboj. Pierwsi dwaj trzymali się prawie pod rękę; jeżeli jeden zachwiał się czy potknął, to drugi go podtrzymywał.

— Żeby to jasna niebieska, pieska, kureska, cholera w bok — wydziwiał fantazyjnie Józek.

— Kurwa! — krótko spluwał zadyszany Kazik.

Poleszuk sapał i jęczał. Niesiony na ramieniu erkaem rzucał nim na wszystkie strony. Powinni go zastąpić, ale nikomu się nie śniło bez rozkazu z góry. Celowniczy Buniek, niedawno przydzielony z przeorganizowanych cekaemów, szedł gdzieś na samym końcu. Amunicyjnego słyszeć było jak szczekał skrzynkami.

— Jeżeli idziemy prosto na Niemców? — denerwował się Bojarek.

— Gówno — odpowiedział gniewnie Strzelecki — lepiej żeby Niemcy się znaleźli, a to nie wiadomo dokąd nas zaprowadzą w tę pieprzoną noc.

— Nie gadać, nie gadać — burczał Kowboj tańczący na błocie jak połamany pajac.

Zerwał się wiatr i deszcz począł zacinać pod hełmy.

— Idzie świt — stwierdził Kazik.

— Znalazł się meteorolog — burknął Józek.

— Przed świtem zawsze wiatr.

— Nasermater.

Ale Kazik miał rację. Ledwie przegramolili się przez wąwóz wyżłobiony w górze ściekającą wodą, już przed nimi zajaśniało. Na tle szarego nieba wystąpił ciemny zarys góry i bliżej jeszcze ciemniejsza masa domu.

Krenc podskoczył do przodu.

— Zgadza się — powiedział dość głośno, aby wszyscy usłyszeli. — Casa Biaggio. Jak w zegarku. I czas dobry i kierunek fajny. Idziemy dalej.

— Czy tam mieszka jaka cholera? — zastanawiał się Józek.

— Italiance śpią pod pierzynami i gówno ich cała wojna obchodzi — mruczał zazdrośnie Kazik.

— Ruszać się, ruszać — przynaglał Kowboj.

Szli powoli, cicho, ze schylonymi głowami. Mijali milczący dom, stojący wyżej na zboczu, obojętni na wszystko. Zimno wstającego dnia zaczynało zwyciężać resztki energii.

Artylerzyści nie byli obojętni na casę.

— A może mają wino, panie poruczniku — odezwał się plutonowy Jasieniuk.

Obserwator artyleryjski przystanął. Niosący radiostację kapral zrzucił ładunek z pleców i wysapywał zmęczenie.

— Ja to napiłbym się mleka gorącego.

— Vino coto też dobre — mruknął telefonista z tyłu.

Szef Latynek zatrzymał się przy ich grupce zdziwiony, ale przecież nic nie miał do gadania. Nim otworzył usta, żeby przyłączyć swój rozsądny głos do dyskusji, już ci szli ku domowi pod górę.

— Psiakrenc — pokiwał głową.

— Zdążymy, staruszkule — zaśmiał się kapral, którego zostawili do pilnowania sprzętu. Siedział okrakiem na radiostacji na środku drogi.

Z dołu, od strony skąd przyszli, rozległ się chrzęst oporządzenia i człapanie kroków. Nadchodziła druga kompania. Na czele klnąc i gderając prowadził dowódca batalionu. Co tu takiego, ofermę połamane? — zatrzymał się przed radiotą tarasującym drogę.

— Panie majorze, melduję szef kompanii pierwszej.

— Nie o was mi idzie, Latynek, ale co ten tu robi? Pierwsza ofiara wojny?

— Melduję panie majorze, artyleria.

Radiota powoli wstawał i zabierał się do przesunięcia pudła radia. Wtem usłyszeli gwar. Głosy podniecone i głośne. Pomieszane ze sobą; jedne piskliwe, inne niskie, charkoczące.

— Co tam takiego?

— Melduję, panie majorze, artylerzyści.

— Nie meldować — krzyknął major — rozpoznać.

Dowódca drugiej kompanii wziął to za rozkaz i pchał do przodu patrol złożony z podchorążego i dwóch strzelców.

Huknął strzał. Cała kolumna od Bojarka i Strzeleckiego do ostatnich oferm wlokących się na końcu plutonu moździerzy stanęła. W półmroku patrzyli wszyscy do góry, szukając jakiegoś ruchu, oczekując na dalszy ogień nepla.

— Na stanowiska! Padać! Bojarek pod tamtą górkę! — wydawał rozkazy Kowboj. — Hardziej, obserwować z kierunku drogi.

Ale drużyna zamiast zająć bojową postawę, patrzyła na stojąco za siebie, w stronę domku skąd wciąż dochodziły głosy kłótni. Może walczyli o kurę? Ale słowa wyraźnie nie były włoskie, krzyk nie kobiecy.

Nim podchorąży z drugiej kompanii dobiegł do pierwszego drzewka sadu otaczającego zabudowania, już stamtąd wychodziła kolumna. Szli machając rękami i gadając na przekrzyczenie się wzajemne.

Gdy stanęli przy drodze, przerażony Latynek ujrzał przy trzech artylerzystach sześciu tęgich Niemców.

— No, panie szefie — zawołał obserwator artyleryjski — macie jeńca.

— Co to jest. Proszę meldować.

— A pan kto? — spytał artylerzysta dowódcę batalionu, nie poznając go w ciemności.

— Panie poruczniku — wołał major — co to za awantury?

— A, to pan major. Melduję, że wzięliśmy jeńców. Spali jak zabici w stogu. Contadino powiada, że więcej nie ma. Ale warto sprawdzić. Jeżeli pan major pozwoli...

— Kto strzelał? — pieklił się major.

— Kanonier Garuć, przez omyłkę. Nerwowo.

— Całe zaskoczenie diabli wzięli. Powiedziałem, że nie strzelać. Bagnetem.

— Nie mamy bagnetów, panie majorze — nie przejmował się artylerzysta.

— Odprowadzić jeńców do tyłu — zwrócił się major ku zaspamym, zdziwionym, przerażonym Niemcom — i maszerować. Nie osiągnęliśmy przedmiotu.

— Proszę zaznaczyć panie majorze — mówił podniecony obserwator — że jeńca wzięła artyleria.

— Maszerować. Maszerować do wielkiej Anielki — krzyczał major i machał ręką na Krenca, który chciał pytać.

Nie było zresztą o co się dowiadywać. Wszyscy widzieli. Wzięto Niemców. Sześciu jeńców. Dziesięciu jeńców. Dwunastu jeńców. Dwudziestu...

Jedno na pewno zrozumiał Bojarek i przykucnąwszy powiedział do Strzeleckiego:

— Niemcy.

Każdy zrozumiał, że nie idą w pustkę. Ani ciemności, ani błoto, wyrwy w drodze, kamienie ostre jak odłamki żelaza nie były już wrogami. Tu, w tych pustych górach, w ciemności wąwozów, czy na odcinającej się od jaśniejącego nieba linii wzgórz czyhali Niemcy.

— Naprzód — szepnął Kowboj patetycznie — Józek i Felek na szperaczy.

Stężyły kroki, stopy stąpały ostrożnie, uważnie, oczy starały się przebić szarość poranka. Drzewa odarte z liści stawały na drodze jak strachy pośród pola. Wzgórki jeżyły się wrogo.

— Uważać. Uważać — napominał Kowboj gotów każdej chwili chwycić za swój kowbojski pistolet.

Zaczęli schodzić w dół. Coraz niżej. Przestraszeni, zatrzymali się. Dobiegł ich Krenc.

— Czemu zatrzymujecie się? Co jest Kowboj?

— Schodzimy na sam dół?

— A czy masz inną drogę?

Kamyki toczyły się spod podeszew. Krzaki czepiały się sukna batteldresów i pasków oporządzenia. Trzeba było ostrożnie nieść broń, aby nie uderzać o głązy, a jednocześnie podpierać się lewą ręką.

Na samym dole ciekł malutki strumień. Mogli przeskoczyć go, ale zmęczeni przechodzili chlupiąc wodą, nie czując już wcale wilgoci w butach.

I zaczęło się wspinanie. Tak strome i trudne, że szperacze się zwinęli pełznąc jeden za drugim po wąskiej drodze. Bojarek na czworakach łapał oddech, a Kazik gdzieś z tyłu włókł się za Poleszukiem podpierającym się erkaemem jak łopata.

Kowboj wyteżył siły i łapiąc się kłujących krzaków, opierając się nogami o głązy wystające ze śliskiej ziemi i mokrej trawy parł do góry.

— Naprzód skurwysynki — wołał łapiąc oddech. — Naprzód, dziady.

„Czy widzisz te góry na szczycie?” starał się podśpiewywać wesoło. Każda góra na dzielnego człowieka działa jak bodziec. Coś konkretnego do zdobywania. Przeszkoda. Wspiąć konia i przeciw, rwać, walić, aż rumak przeskoczy wał ziemi i publiczność zacznie klaskać.

— Powinienem być pójść do kawalerii — powiedział sobie raz jeszcze.

Przypomniatł sobie jak z Jasiem, kolegą maturalnym, kalkulowali. Kawaleria, owszem, ale chwała jest w piechocie. Walka prawdziwa, trud, bezpośrednie i na co dzień stawanie twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Zresztą piechota już nie maszeruje, a jeździ na dodżkach. I awans szybszy. Tyle oficerów ginie.

Zdążył na Widmo. Cholerne Widmo. Nie uciekał, po prostu źle zrozumiał rozkaz. Ten idiota wzywający do wycofania się był z innego batalionu. A powiedzieli, że Kowboj nawalił. Mały, śmieszny, nic nie znaczący podchorąży z jednym paskiem i sznurkiem biało-czerwonym? Na San Angelo przyszedł trochę za późno i prowadził same ofiermy z taborów. Taka wojna. Niech śpiewają, co chcą, a było gównianie. Dostał drugi pasek i medal i po krzyżach. Nad Adriatyk się spóźnił. Byłby już podporucznikiem i zastępcą dowódcy kompanii. Idiota lekarz uważał, że draśnięcie w czoło jest poważną raną. Jasio zginął jako dowódca plutonu, a Kowboj prowadzi drużynę. Ostatni raz.

Parł pod górę pchany złością na cały świat. Nie zdawał sobie sprawy, że najbardziej dopiekało go to wzięcie jeńców przez artylerię.

Wysłać patrol na zbadanie domu i zagarnąć głupich szkopów. To należało do szpicy. Podchorąży się spisał. Kurwa mać.

— Dlaczego powiedzieli: maszeruj po drodze. Uważaj, abyś nie zabłądził. Niemcy? Do dupy z Niemcami. Uważaj na drogę.

Zatkało go. Pod samym grzbietem stracił oddech. Przycupnął i spojrzał za siebie.

— Nie... wle...czcie... się... jak... smród... — wykrzykiwał między głębokimi wdechami i spluwaniem.

Nic nie pomogło. Gramolili się coraz wolniej. Na dnie wąwozu słychać było rozplaskiwaną wodę. Szli następni, a pierwsza drużyna nawałała.

— Za mną skurwiele! — zawołał nabrawszy powietrza w płuca i skoczył.

Znalazł się na górze, a przed nim jeszcze wyższe wzniesienie. Lasek brzozyowy, jasny, przejrzysty i mały domek. Chałupka jak na śmiech. Bez przybudówek, bez murków. Domek stojący jak

altanka. Pomalowany na czerwono, wśród białych pni drzew i zielonej plamy wyglądał jak na pocztówce.

Gdzieś za nim ciemniały inne domy, inne bryły cegły i kamienia. Tu na samym przodzie jak na śmiech pawilonik na ustroju. Brak tylko Telimeny czy Sybilli.

Kowboj patrzył trochę zdumiony. Skośne światło powstające zza gór obejmowało obrazek pierwszym ciepłem dnia. Kowboj chciał powstać i biec. Ale coś go powstrzymało. Niemcy!

Dostrzegł jakiś ruch. Czyjaś głowa ukazała się zza rogu. Mięnęła, zaczęła i znikła.

— Chłopcy — krzyknął Kowboj — na stanowiska!

Było w jego głosie coś niepokojącego, więc ruszyli szybciej. Pazurami darli trawę i czepiali się kamieni.

— Erkaem do mnie. Józek, Felek z lewej. Kazik, prowadź resztę prawym skrzydłem.

Głos Kowboja dźwięczał tryumfem i szczęściem. Zaczynał walkę wedle wszelkich zasad. Tam za nim głupi Krenc nadśledzuje wydawanych rozkazów.

A domek przed nim stał pusty, niemy, śmieszny. Brzozy poruszały warkoczami z resztką blond włosów.

— Poleszuk! Poleszuk! — wzywał Kowboj. — Dawaj browninga.

Sam wyciągnął z chlebaka dwa granaty i położył obok siebie. Gotowi do natarcia. Tylko Poleszuk grzebie się, pewnie znów się zesrał. Amunicyjny Władzio już jest tuż. Celowniczy ciągnie Poleszuka. Sam powinien był złapać za kaem.

— Gotowe? Do cholery. Nacieramy.

Domek stał, jakby nikt w nim nigdy nie mieszkał. Zielone okiennice zamknięte nie drgnęły.

— Kazik! Józek! Bojarek, skurwysynie!

Kowboj się denerwował. Za nim już ktoś krzyczał, wydawał rozkazy. Wojna się zaczynała.

I oto zza czerwonego domku wyskoczył człowiek. Niemiec. Oliwkowy mundur poznali nawet w szarości. Biegł ku nim wznosząc groźnie ręce.

— Atakuj! Granatami! Ognia! — wołał Kowboj. — Ognia, kurwa mać. Ognia.

Nikt nie strzelił. Niemiec krzyczał na cały głos.

„Deutschland, Deutschland! Deutschland!”

— Ach ty sukinsynie — prawie z czułością krzyknął Kowboj i wyrwawszy z kabury swój Smith-Wesson strzelił. Nie trafił, Niemiec biegł. Był już blisko.

Wtedy Kowboj wyrwał Józce tomiąg i stanawszy na równe nogi zaczął walić.

Tach! tach! tach! tach!

Następną serię.

Niemiec biegł. Krzyczał coraz głośniej. Padł u samych nóg stojącego w rozkroku Kowboja.

Kowboj patrzył ostro w stronę domku. Ani drgnienia. Brzozy poruszyły wątłymi gałęziami. Wschodnia ściana nabierała ciepłego koloru.

Koło podchorążego zebrała się cała drużyna. Patrzyli w dół na Niemca. Kowboj się schylił. Kazik podłożył rękę pod głowę rannego. Krew i piana bulgotały na ustach: Niemiec chciał coś mówić.

— *Ich nicht Deutsche... Ich nicht...*

— Co on gada? — krzyknął Kowboj wściekły na nagłe zgromadzenie drużyny. — Na stanowiska ogniowe! Chłopaki!

Nie ruszyli się. Józek nachylił się nisko nad piersią Niemca.

— *Ich nicht Deutsche* — szepnął Niemiec wyraźnie. — *No German. Jo Polok.*

Powstali. Nie było po co schylać się więcej. Zabity leżał na wznak, tak jak go rzuciła seria z tomigana.

— Co się stało? — to nadbiegł Krenc.

— Zabili jednego. Biegł i krzyczał: *Nicht Deutsche. Nicht Deutsche.*

— Chciał się poddać.

— A on jak wariat. Trach, trach.

— Zabili Polaka.

— Kto? — przerwał wreszcie Krenc bezładne gadanie. — Kto zabił?

— On — pokazał palcem na Kowboja Kazik.

Ciemne zabudowania wyrastające za śmiesznym domkiem nagle rzygnęły ogniem. Nad głowami zagwizdało pociskiem moździerza. Niemcy przestali czekać. Zaczęła się bitwa.

Biegli. Padali. Czołgali się szukając zabezpieczenia w drobnych kępach trawy. Łomotali zamkami kaemów, rzucali granaty, które padały za krótko i wybuchały głucho jak w wacie. Spandau'y waliły smagając powietrze raz po raz. Wyły cienkim głosem skrzydlate pociski moździerzy celujące prosto w głowy leżących.

Zabity Polak w niemieckim mundurze patrzył nieruchomymi oczami w jaśniejące niebo Apeninów.

Obok nieczuły na gwałt bitwy i popiskiwanie kaśliwych kul stał Kowboj. Płakał.

Czesław DOBEK

Rosja 1969 - wrażenia turysty

Część 1 — Wilno

Mówiłam sobie w duchu: Nie należy się uprzedzać, nie należy się niecierpliwić. Po prostu wszystko przyjmować bez zdziwienia, w miarę możliwości bez pytań.

W samolocie było dość duszno. Wentylacji nie było. Pasażerów było nie wielu, kilku Rosjan do Leningradu i kilku Polaków do Wilna. Czy jechali odwiedzić rodzinę, czy może mieszkali w Wilnie?

Za szybami były chmury, takie same, jak wszędzie i nic nie wskazywało, że zbliżamy się do Wilna, celu mojej podróży, miasta nie znanego mi wcale, a przecież znanego

„do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”.

Właśnie łąki zielone widać było z samolotu, takie same, jak wszędzie. Stewardessa Aeroflota bardzo poważnie oddała mi pomarańczę, której nie chciałam zjeść.

— Proszę to wziąć ze sobą.

Gest jej nabrał znaczenia dopiero potem, kiedy zrozumiałam, jakim luksusem są właśnie pomarańcze. Na razie owoc sprawiał mi tylko kłopot, rozpychając torebkę.

— Czy nikt nie ma owoców? — zapytał celnik w Wilnie.

— Ja mam — powiedziałam dość niepewnie, w imię uczciwości i prawdy. Ale mój jedyny owoc wywołał raczej uśmiech. Bagaż kontrolowano dokładnie, sztuka po sztuce, kieszeń po kieszeni.

— Niech pan sobie to wszystko zabierze — mówił do celni-

ka zdenerwowany właściciel ortalionowych płaszczy z Polski. — Mam rodzinę w Wilnie, to dla nich. Ale może pan to sobie zabrać.

Mnie pozostawiono na koniec i miałam już wiele obaw. Po prostu chcą mieć czas i urządzą mi bal — myślałam z niepokojem. A tymczasem nic, po prostu nic, kreska na walizce i już. Czułam się nawet lekko spostonowana. Jakżeż tak nic? Mogłam mieć jakiś towar, druki „antypaństwowe”, czemu właściwie nie miałam?

Właściciel ortalionowych płaszczy składał je ze złością z powrotem, wypytując w pośpiechu:

— A pani skąd? A dokąd? Do jakiego hotelu? Czy mógłbym panią odwiedzić?

Nie wiedziałam nawet do jakiego. Tłumaczyłam mu, że niby hotel mam, zarezerwowany przez Inturista, ale nie wiadomo jaki. Zresztą czy w Wilnie jest tak dużo hoteli? Może mnie poszukać, to chyba nie będzie trudne. Owszem niech mnie znajdzie. Ja na razie nie wiem nic, jedynie wiem, że już czeka na mnie przewodnik Inturista.



Właściciel ortalionowych płaszczy znalazł mnie następnego dnia. Było już późno. Zjawił się u mnie na progu, zaspany i zgrzany i, chcąc nie chcąc, musiałam poprosić go do środka. W pokoju było zimno, chłód czaił się po kątach, mimo wiosennej pory.

— Może by otworzyć okno? — prosiłam służby, ale, jak się okazało, okno było zabite gwoździami.

Więc siedzieliśmy w półmroku i o chłodzie, dwoje obcych sobie ludzi, a może nie takich obcych... On — trochę kwadratowy i jakiś dziwnie bezradny, ja — zawinięta w koc.

— Pani — mówił — bo mnie się żołądek wywraca. Co on robił z moim bagażem? I czego on szukał? A pani ślicznućkich walizek to nawet nie otworzył. I gdzie tu sprawiedliwość?

— Pani — mówił — ja w tym kraju urodzony, ja tu żyłem, ale jak Ruskie przyszyły, to żem uciekł. Ale szwagier z siostrą zostali. Czemu oni zostali? A teraz już za późno. To mi się serce kraje, jak na nich patrzę. Pani tego nie zrozumie. Pani dobrze, przyjedzie pani, pojedzie, nawet walizek pani nie otworzą.

To mi powtarzano wiele razy, w tej, czy w innej formie: „Przyjedzie pani, wyjedzie, pani to dobrze”. Aż się czułam winna, strasznie winna, że tak właśnie jest — przyjeżdżam i wyjeżdżam, na lotniskach czeka na mnie samochód, mam pokój hotelowy w tym czasie, kiedy Rosjanie tłumnie oblegają recepcje, proszą i słyszą wciąż tę samą odpowiedź: *Niet i nie budiet. Nikakoj komnaty niet.*

W hotelowym pokoju w Wilnie było ciemno i zimno. Mój przygodny znajomy spytał, czy może zdjąć buty, ale się przestraszyłam. Jeśli teraz buty, to co potem? I może on w ogóle nie zechce wyjść? Więc nie zdjął nic, ale patrzył na mnie z żalem, oparł głowę na grubych, spracowanych dłoniach i zaczął płakać.

— Bo taki los. Chce wyjechać do Kanady i nie może. Żeby go kto zaprosił, na przykład — ja. Bo on się przecież marnuje...

Bardzo głośno wycierał nos w zmiętą i brudną chustkę. Łzy spływały mu po twarzy i wiedziałam, że rozgrywa w tej chwili jakąś kampanię życia, z góry skazaną na niepowodzenie, bo on ma nadzieję, a ja przecież w niczym nie mogę mu pomóc. Jak mu mogę pomóc? Czy mogę zaprosić wszystkich, którzy chcieliby wyjechać?



Urzędnika z Łotwy poznałam przy obiedzie. Wyglądał z cudzoziemska, w każdym razie — nie Rosjanin. Jedliśmy razem „blincziki” i rozmowa toczyła się dość nijako, wcale nie zapowiadając dalszego ciągu. A jednak zaproponował spacer. Było późno, ciemnawo, sama bym nie poszła, a przecież chciałam bardzo zobaczyć stare Wilno. Szliśmy właśnie w tę stronę, mijając kilka słabo oświetlonych sklepów, potem duże, nowoczesne kino, ostro odbijające od pozostałych budynków. Ulice były puste. W pewnym momencie dwóch wyrostków zaczepiło go bezceremonialnie:

— A czemuż ty, towarzyszu, nosisz kapelusz? — spytał po rosyjsku jeden z nich, a drugi zrobił ruch, jak gdyby chciał mu go strącić.

— *Wy, pożałujsta, odstantie* — mój towarzysz powiedział spokojnie. To ich speszyło.

Szliśmy dalej, bliżsi sobie po tej wspólnej przygodzie, mówiliśmy o młodziźnie na całym świecie, o naszych wspólnych problemach, jak tę młodzież wychować, żeby z niej wyrosli ludzie. Kiedyśmy się zegnali, już na progu hotelu, mój znajomy powiedział:

— Wie pani, tyle się pisze o różnych ideologiach, o wszystkim, co nas dzieli, a przecież tyle nas łączy. Ludzie są wszędzie ludźmi, mają podobne troski i podobne radości.



Troski dotyczą mieszkań. Mimo nowych dzielnic w Wilnie bardzo jest trudno o jakiekolwiek mieszkanie. Mówi mi o tym młoda Litwinka ze szkoły baletowej, którą poznałam na kawie. Mówi bardzo spokojnie, bez żadnej afektacji:

Tak i tak. Poznali się z mężem na studiach, pobrali w zeszłym roku. Teraz będzie mieć dziecko, które trzeba oddać do matki, na wieś. Bo nie mają mieszkania.

— A co będzie dalej?

Będą dalej mieszkali w *obszczeżitiach*.

— Nawet nie wiem, czy wrócę na studia. Może stracę figurę, to też nie jest wykluczone. Dawniej chciałam studiować w Moskwie, czy w Leningradzie, ale z krajów Nadbałtyckich (z „Pri-bałtiki”, jak mówi) bardzo trudno tam się dostać.

Patrzę na nią. Jest wdzięczna. („Piękna Litwinka, co z tej czerpie wody...”) Co się stanie z jej dzieckiem, z jej baletem? Uderza mnie jej spokój, pogodzenie z życiem. Nie ma w niej wcale buntu. Nie ma pokoju, nie ma miejsc, tak już musi być.



— Co by pani chciała obejrzeć w Wilnie? — pytali z Inturista — czy nowe dzielnice, czy szkoły, czy fabryki?

Powiedziałam im wyraźnie, że chodzi mi o ślady polskości, te ślady, które w pewnym sensie są chyba zacierane, bo oprócz starych, pamiątkowych tablic na domach, nic tu więcej nie świadczy o wkładzie kulturalnym Polaków. Niesposób się dowiedzieć, jak się przedtem nazywały ulice. Nikt już nie pamięta, a może nie chce wiedzieć. Polskiego na ulicach prawie się nie słyszy, wszędzie tylko rosyjski, lub litewski.

Więc pojechaliśmy wozem Inturista do starego Wilna, małe, wąskie ulice, małe, ciemne podwórka. Tu kiedyś mieszkał Mickiewicz, tu go potem więziono, a gdzie mieszkał Nowosilcow? (O to oczywiście nie pytam). Trudno mi uwierzyć, że to właśnie tu, że w tych małych domkach odbywały się zebrania Filomatów. Przeszłość jest nagle bliższa, bardziej uchwytana, na co dzień, jak stary pantofel babki.

Przy Ostrobramskiej Bramie kobiety sprzedają różańce, chusteczki na głowach, Polki.

— Niech pani przyjdzie wieczorem na Majowe nabożeństwo — mówią.

Oczywiście, że przyjdę, jestem strasznie ciekawa. Kto właściwie będzie w kościele, dużo ludzi, czy garstka, kobiety, czy mężczyźni?

Okazuje się, że dużo, kościół jest prawie pełen, nie ma już miejsc siedzących. Kobiety są znów w chusteczkach, czarnych, w małe różyczki, po tych chusteczkach można Polki poznać w całym Wilnie. Trzymają na rękach dzieci. Mężczyzn jest raczej mało, młodzieży bardzo mało, inteligencji nie widać. Bezzębne staruszki modlą się głośnym szeptem. Ksiądz jest jeszcze młody,

śpiewa piękną łaciną. Skąd oni go mają, przecież tu chyba nie ma żadnego Seminarium? Chętnie bym wstąpiła do Zakrystii zamienić parę słów, ale może lepiej nie. Jego praca tutaj jest i tak bardzo trudna, lepiej go zostawić w spokoju.

Nie mogę się modlić, boję się o tych ludzi, o ich niepewny los. Tymczasem kościół śpiewa, z wileńska, przeciągając:

„Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta, Boża Rodzicielko”.

Kto ich będzie bronił? Wychodzę z kościoła nagle bardzo zmęczona. Po co tu przyjechałam, kogo, co chciałam znaleźć?



Chciałam znaleźć cmentarz na Rossie i, koniec końców, znalazłam, chociaż nie bez walki. Auto Inturista za nic nie chciało tam jechać. Tłumaczono mi grzecznie, że Rossa nie leży na ich turystycznym szlaku, nowy cmentarz — tak, ale Rossa — nie. Może pani zobaczy nowy cmentarz, lub fabrykę, albo nowe osiedle? Chciałam zobaczyć Rossę. Tłumaczyłam im z kolei, że nie muszą mnie tam wieźć. Wystarczy, jak wskażą kierunek, dalej już trafię sama. Ale i na to nie chcieli się zgodzić, Rossa jest daleko, jeszcze mogę zbłądzić. I kogo tam właściwie szukam, czy przodków?

— Nie.

— Więc kogo?

Zdobyłam się na odwagę i powiedziałam im wprost, że szukam Matki Marszałka Piłsudskiego — „Matka i Serce Syna”. Niby dlaczego nie? Na grób Marksa w Londynie chodzą wszystkie delegacje z Rosji i nikt im nie robi wstrętów.

Dali się namówić, jakkolwiek niechętnie. Może nawet mieli żal, że nie chciałam zobaczyć nowej szkoły, czy fabryki. Na cmentarzu nie było nikogo, oprócz jednej staruszki w czarnej chusteczce, która jeszcze z daleka kiwała nam przyjaźnie ręką. Szłam przez wysoką, nigdy nie ścinaną trawę, omijając groby żołnierzy, ku większej mogile przykrytej czarną, granitową płytą:

*„Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skale orła, niechaj umie...”*

Granit był rozbity u spodu, tam mniej więcej, gdzie leżało serce Syna. I tam właśnie stał bukiet świeżych bzów w prostym, cynowym kubku. Może tak właśnie wygląda epilog do jednego roz-

działu historii — rozbity granit, bzy, „Pod Twoją obronę uciekamy się...”, „Czy mogę zdjąć buty?”... ulica Armii Czerwonej.

Część 2. — *Leningrad, Moskwa*

Wyścig między Leningradem, a Moskwą trochę przypomina wyścig między Warszawą, a Krakowem.

— Prawda, jaki piękny jest Leningrad? — mówią jego mieszkańcy.

— Prawda, jaka piękna jest Moskwa? — mówią mieszkańcy Moskwy.

Potakuję w obu wypadkach. Postanowiłam nie przeczyć, żeby nie ranić uczuć. Własnych reakcji nie jestem zresztą pewna. Splata się razem tyle mieszanych uczuć. Czy tak sobie wyobrażałam Leningrad, miasto Dostojewskiego, miasto carów? Rozpoznaję fragmenty, znane mi z fotografii, Ermitaż, Newa, pomnik Piotra Wielkiego, złote fontanny w Peterhofie. Ale całość przedstawia się inaczej i na razie nie umiem powiedzieć, w jakim sensie inaczej. Czy o to chodzi, że nie ma już latarni gazowych i że przed pałacami nie stoją już karety, że są natomiast stacje metra, oznaczane po prostu dużą literą M? Chyba patrzę na Leningrad przez pryzmat literatury i filmów, a miasto jest dość zwykłe, niezbyt powieściowe, ale takie, które daje się lubić. W przeciwieństwie do Moskwy panorama Leningradu składa się w jedną całość — szerokie ulice, przestrzenne place, sieć kanałów i mostów.

Moskwa natomiast składa się z szeregu fragmentów, niezbyt pasujących do siebie, trochę tak, jak mozaika, którą źle złożono. Na Kremlu, obok starych soborów, nowoczesna sala zjazdów, z marmuru i ze szkła.

I po co ją wzniesiono właśnie tutaj, już za murami, psując charakter Kremla 20-stowieczną strukturą? Po mieście rozsiane są tu i ówdzie stalinowskie drapacze, tak bliźniaczo podobne do Pałacu Kultury w Warszawie, że ulegam wrażeniu, iż dwoi mi się w oczach. Właściwie nie dwoi, a troi, mnoży się po prostu, i tu Pałac Kultury i tam. A tuż obok, w samym sercu Moskwy — mała, stara uliczka, drewniane domki w ogrodach, swojsko, trochę jak na wsi.

— Tak wyglądała przedrewolucyjna Moskwa — mówi nasz przewodnik.

W Leningradzie drzemie przeszłość, historia patrzy z okien, zobaczyć można jej cień w lustrzanych posadzkach Ermitażu; w Moskwie historię się tworzy, czarne „Wołgi” zajeżdżają na Kreml, w każdej jedzie Breżniew lub Kosygin. Przeszłość i przy-

szłość pochylają się ku sobie — roześmiani żołnierze robią sobie zdjęcie przed zabytkową, carską armatą. Setki, tysiące ludzi przepływają przez Kreml. Młoda, zmęczona matka mówi do małego chłopczyka:

— *Niet Wasia, zdień nie Kitajcy żiwut, zdień Lenin żył.*

Lenin wciąż jeszcze mieszka w swoim Mauzoleum i tłumy ludzi stoją, aby go tam odwiedzić. Moskwa i Leningrad — dwa miasta, dwa oblicza, a może to wszystko to samo?



Inturist działa sprawnie. Zagraniczni turyści przenoszeni są z lotniska do hoteli szybko i bezbłędnie, jak bagaż. Nie muszą na nic czekać, o nic nie muszą prosić. Przeprowadza się ich bokiem, poza kolejką, pierwszych wsadza na samolot. Umieszcza się ich w specjalnych poczekalniach, z miękkowyściełanymi krzesłami, gdzie czekają pasywnie, słuchając angielskich płyt, aż ktoś ich zabierze dalej. Są podawani z rąk do rąk, bez kłopotów, bez wahań.

W porównaniu ze Związkiem Sowieckim podróż w innych krajach Europy Wschodniej jest wielkim hazardem, trzeba o wszystko walczyć, o bilet i o miejsce, o to żeby wsiąść do pociągu i o to, żeby wysiąść.

Ale każdy medal ma dwie strony. Zagraniczni turyści w Związku płacą dwa razy więcej niż tubylcy za ten sam pokój w hotelu, nawet przyjmując że oficjalny kurs dolara jest kursem sprawiedliwym (1 dol. = 90 kop.). Zagraniczni turyści za wszystko płacą w dolarach.

— Chce pan bilet na operę? Proszę bardzo, opłata w dolarach, rubli nie przyjmujemy.

— Chce pani pojechać na wycieczkę do Zagorska? Proszę bardzo, 9 dolarów. Ma pani tylko ruble? Bardzo nam przykro, ale nie możemy sprzedać pani biletu.

Próbowałam tłumaczyć w biurach Inturista, że przecież moje ruble też pochodzą z wymiany, że mam na to dowody, że koniec końców skąd bym mogła mieć ruble? Na całe szczęście nie wymieniałam wszystkich dewiz od razu. Byłby to błąd fatalny, nie do powetowania, przepadłyby wycieczki, balety i koncerty.

Dopiero w Rosji ocenić można naprawdę, jak potężny jest mit dewiz. Za dewizy — wszystko, najlepsze miejsce w teatrze, najlepszy pokój w hotelu. Dewizowe sklepy, tzw. „Brzózki” („Berezki”) oblegane są dosłownie przez Rosjan. Ciekawa jestem, co ich tutaj ściąga, czy przychodzą popatrzeć na zagranicznych turystów, czy na zagraniczne towary? Tych ostatnich jest niewiele — jakieś piżamy z N.R.D., jakieś szkła z Czechosłowa-

cji, z Zachodu chyba tylko papierosy, nic więcej. Poza tym pamiątki ludowe, coś w rodzaju Cepelii, tylko znacznie gorsze i w wyborze i w smaku. Te ostatnie chyba Rosjan nie bawią.

A jednak przychodzą, głównie młodzież i dzieci, tłoczą się przed ladami, przytykają nosy do szyb. Obsługa „Brzózek” próbuje ich namówić do wyjścia:

— *Nu, czego ty zdieś? Wied u tiebia inostrannyh dienieg niet?*

I znowu dojmujące, nieuzasadnione poczucie winy — że ja mam, a oni — nie. Czy nie nienawidzą tych ludzi, którzy mają wszystko i właśnie dlatego niczego im nie można odmówić? Przecież właśnie u siebie, w ich socjalistycznej ojczyźnie, mogą się przekonać, jak potężny jest obcy kapitał, skoro „kapitalistów” sadza się na miękkich krzesłach i podprowadza do kas bez żadnych kolejek.



Dużo mi mówiono o trudności nawiązania kontaktów w Rosji, o tym że ludzie mówią mało i niechętnie, że stronią od *inostrancew*. A tymczasem w Leningradzie i w Moskwie, tak jak i w Wilnie, wszędzie spotykam ludzi, w restauracjach i w windach, na ulicy i w muzeach. Na ogół spotykam Rosjan, względnie obywateli Związku. W bufetach hotelowych Rosjanie piją, żartują, chętnie częstują wódką. Ten jest w delegacji ze Świerdłowska, tamten — to rzeźbiarz z Taszkientu. Kontakty z ludźmi nawiązują się łatwo, rozmowy są lekkie i niewymuszone. Naturalnie, że unikam drażliwych tematów. Sama z zasady nie zadaję żadnych pytań, pozwalam swoim partnerom kierować rozmowę dowolnie, niech mówią o czym chcą.

Bardzo często pytają o Kanadę, dziwią się, że szkoły są bezpłatne, mają przekonanie, że w krajach kapitalistycznych za wszystko drogo się płaci. Stwierdzam uczciwie, że uniwersytety rzeczywiście są drogie, ale szkoły niższe i średnie nie kosztują nic. Jeszcze większe zdziwienie wywołuje kwestia służby wojskowej. Trudno im wyobrazić, że w jakimkolwiek kraju może nie być przymusowej służby.

Tematy polityczne poruszane są rzadziej. Ale kilka z nich powraca prawie stale: Jaki jest stosunek U.S.A. do Chin? Czy U.S.A. wystąpi zbrojnie przeciw Rosji? Co ludzie w U.S.A. myślą o możliwości nowej wojny światowej? Pewne tematy, jak np. Czechosłowacja, są na ogół pomijane. Tylko jeden z moich rozmówców wyraził spontanicznie szczere oburzenie na ten temat. Oburzenie jest chyba dość powszechne, zwłaszcza wśród inteligencji, ale się o tym nie mówi, przynajmniej nie w hotelu, gdzie „ściany mają uszy”.

Niektóre rozmowy były wprost groteskowe. Była to zresztą groteska czysto sytuacyjna, raczej nie zamierzona, gdzie każda ze stron grała swoją rolę jak najlepiej, w myśl przyjętych zasad, a mimo to, czy właśnie dlatego, całość była komiczna.



— Prawda, jaki piękny jest Leningrad? — mówił szofer Inturista, odwożąc mnie na lotnisko.

— Zobaczysz pani Moskwę. Moskwa jest też piękna.

Nie przeczytałam. Patrzyłam na kontur miasta, topniejący już w oddali i myślałam głównie o tym, czy samolot odejdzie na czas i czy dadzą mi śniadanie. (Była 6 rano).

— A jak Kanada? — zagadnął mój rozmówca. — Czy także piękny kraj?

— O... Kanada? *Niczego osobiennego* — powiedziałam w roztargnieniu, wciąż myśląc o śniadaniu.

— *Kak eto tak?* — zdziwił się szofer, który najwidoczniej czekał inne odpowiedzi.

— *Prosto tak.*

— A Toronto?

— *Toronto toż niczego osobiennego* — powiedziałam z uporem i z pewną satysfakcją, że nikt nas nie słyszy.

— To czemu pani tam mieszka? — pytał z rosnącym zdziwieniem.

— Nie wiem czemu. Mogłabym i nie mieszkać. Mogłabym na przykład wyjechać.

— Kiedykolwiek?

— Kiedykolwiek.

— Bez specjalnego pozwolenia?

— Bez.

— I każdy by mógł?

— Każdy. Ale widzi pan — kończyłam tę rozmowę — cała rzecz w tym, że na ogół nikt nie wyjeżdża. Każdy by mógł, ale jakoś nie chcą.



Inną zaskakującą rozmowę miałam nieco potem, w Soczi. Tam atmosfera sprzyjała przypadkowym kontaktom. Ludzie chodzili wolno po pięknych promenadach, wśród zieleni i kwiatów. Nikt się nie spieszył, wszyscy mieli czas. Tam właśnie, w czasie spaceru, podszedł do mnie młody człowiek z Kijowa. Mógł mieć dwadzieścia parę lat.

— Skąd pani jest? — zapytał.

— Z Ameryki — powiedziałam.

Ta wiadomość wywarła na nim ogromne wrażenie.

— Mój Boże — powiedział — kto by to pomyślał, że właśnie dzisiaj... mój pierwszy Amerykanin... a tak zawsze chciałem kogoś spotkać...

Był wyraźnie poruszony, nawet nie byłam pewna, czy przypadkiem ze mnie nie kpi. Ale na to nie wyglądał. Na kpiny pozwalają sobie ludzie z pewnym wyrafinowaniem, on wyrafinowania nie miał.

— Ale skąd ja będę wiedział, czy pani jest naprawdę z Ameryki? — zaczął się niepokoić.

— A może to nieprawda? Czy może mi to pani jakoś udowodnić?

Byłam trochę zdziwiona. Koniec końców szliśmy wciąż po ulicy w otoczeniu innych ludzi. Czy mam mu pokazać paszport? Sytuacja znowu zakrawała na groteskę. Chwilę się wahałam, potem wyciągnęłam jakiś inny dokument — chyba „Identity Card”. Patrzył na nią pobożnie.

— Przecież ja tego nie umiem przeczytać — wyznał.

— Chyba pan nie myśli — powiedziałam dość brutalnie — że kanadyjski dowód będzie napisany w waszym alfabecie. — Po tym, dość dziwnym wstępie, rozmowa zeszła wprost na politykę. On ją zaczął:

— Czy Johna Kennedy’ego naprawdę zabili? — spytał.

— Naprawdę.

— Mój Boże, a myśmy myśleli, że to wszystko nieprawda. Tak trudno jest wierzyć gazetom! Prezydent zabity we własnym swoim państwie... A cóż na to amerykańska policja? — wykrzyknął.

Poczułam się speszona. Czy ja wiem, co policja. Trudno jest przemawiać w imieniu U.S.A.

— I Roberta też zabili?

— Też.

— Jakie to dziwne! — myślał głośno. — Takie potężne państwo i nie umie się bronić przed własnymi ludźmi.

Byliśmy już nad brzegiem. Morze leżało w dole, dalekie i niebieskie. Chciałam się uwolnić od dalszych pytań. Koniec końców nie byliśmy sami, mogli nas słuchać ludzie. Czy ja wiem, co mam mówić? I wobec kogo właściwie robię „propagandę”? Chciałabym mówić prawdę, a tak jest trudno wiedzieć, gdzie właściwie leży prawda.



— Niech pani pamięta — powiedziano mi w Ambasadzie Kanadyjskiej w Moskwie — że podchodzić będą do pani, albo desperaci, albo prowokatorzy. Nikt więcej.

Czy młody człowiek z Kijowa był desperatem? Nie sądzę. Był po prostu człowiekiem, jednym z wielu milionów, który chciał znać prawdę.

Na prowokatorów miałam nawet ochotę, chciałam po prostu zobaczyć, jak to będzie wyglądało i dlatego właśnie, w hotelu, w Leningradzie, kiedy zdrowy rozsądek nakazywał powiesić słuchawkę, nie powiesiłam jej wcale...



Telefon zadzwonił pierwszego dnia wieczorem:

— Sasza?

— *Niet.*

— A to który pokój?

Podawałam numer.

— Przecież Sasza jeszcze wczoraj tu mieszkał — mówił męski głos. Zapewniłam, że już nie mieszka. Tyle tylko wiedziałam. Ta sama rozmowa powtórzyła się, mniej więcej następnego dnia, tym razem jednak w odpowiedzi na moje zapewnienia, że Saszy tu już nie ma, mój rozmówca zapytał:

— *A wy kto?*

W tym właśnie miejscu należało powiesić słuchawkę, ale prze mogła ciekawość. Mój rozmówca, wyraźnie i dosyć uporczywie zapraszał mnie na spacer. Ma wolny wieczór, skończył pracę, mieszka w tym samym hotelu. Wahałam się, było późno, dokąd możemy pójść? Po prostu bałam się iść w obce miasto z nieznanym człowiekiem. O to miał do mnie żal.

— Nie ma sensu siedzieć w hotelu, *łuczszje poiti w gorod*, takie piękne są kanały, chodźmy pospacerować.

Spotkaliśmy się w barze na 18-ym piętrze. Ja go poznałam po czerwonej koszuli, on — mnie po białym swetrze. Był młody, wstawiony, wyglądał na robotnika. Zamówiliśmy wino.

W barze było tłoczno, od czasu do czasu przygrywała orkiestra. Przy stoliku obok pijane towarzystwo rzucało na podłogę kieliszki, nie przez nieuwagę, ale w dawnym stylu, przepisowo, po toaście. Kelnerzy zbierali szkło.

Już żałowałam, że rzuciłam względną ciszę hotelowego pokoju, wygodne łóżko, radio. O czym teraz mówić, co właściwie robić dalej? Wiedziałam już na pewno, że nie będzie żadnych prowokacyjnych pytań, nawet o dewizy nie prosił. Wciąż tylko mówił o tych leningradzkich kanałach, żeby koniecznie pójść, aż nabrałam przekonania, że mnie tam chce utopić.



W Ambasadzie Kanadyjskiej w Moskwie pytano mnie, czy nie miałam rozmów telefonicznych z nieznanymi ludźmi.

— Owszem, miałam raz — przyznałam dość niepewnie. — Dzwonił jakiś mężczyzna.

— No i co?

— Chciał się ze mną umówić.

— No i co?

— No i właściwie nic.

— O nic panią nie prosił?

— Nie.

Nie mogłam im powiedzieć, że prosił o ten spacer, to by brzmiało niepoważnie. Ale może szkoda, że nie poszłam o 2-ej w nocy na spacer z nieznanym mężczyzną, który mógł być „prowokatorem”...



Saszę poznałam w kawiarni, może w Leningradzie, może w Moskwie, może nie nazywał się Sasza... Był bardzo blady, krótko ostrzyżony, w *jeans'ach*. Wyglądał, jak *hippy*, pierwszy w tym typie w Rosji (potem widziałam innych). Poznał we mnie cudzoziemca „na węc”. Zapytał, czy może się przysiąść. Okazało się, że jest również studentem literatury, głównie sprzed 1934 roku (dodał). Ta drobna wzmianka wiele mi wyjaśniła. Jego ulubionym autorem jest Pasternak.

— Czy czytała pani „Doktora Żiwago”? — spytał. — Ja o tym tak marzyłem. Czemu pani nie przywiozła choć jednego egzemplarza?

I znów uczucie winy — czemu nie przywiozłam? A czy mogłam ryzykować?

Rozmawialiśmy długo, wtedy i potem, o Rosji, o studentach, o Arżaku i Tercu. Sasza był desperatem, w jego oczach była rozpacz.

— Prędzej, czy później i tak pójde do łagru. Czy to nie wszystko jedno kiedy? Cała Rosja jest łagrem...

Próbowałam go pocieszać, mówić o przyszłości, o tym, że nikt nic nie wie. Ale odrzucał stanowczo wszelkie pocieszenia.

— Żadnych możliwości — zapewniał — czy pani to rozumie? My nie mamy żadnych możliwości. Ani teraźniejszości, ani przyszłości, ani nawet co wspominać.

— Czy pani wie na przykład, jak trudno jest stąd wyjechać na lato? Do Bułgarii — owszem można, na Węgry — też. Ale już do Polski, czy do Jugosławii po prostu nie ma mowy. Trzeba mieć specjalne względy, wielkie poparcie, stosunki. Tyłu Rosjan marzy o tym, aby spędzić lato w Polsce (Zachodnia Europa jest poza zasięgiem marzeń). Czy tam naprawdę taka jest obfitość wszystkiego, czy tam jest większa wolność?

Nie wiedziałam, co mam mówić. Wolność jest pojęciem względnym, ale Arzak i Terc wiedzą w sposób bezwzględny, na czym polega brak wolności.



Wiem, że mogę się spotkać z zarzutem naiwności, że brałam dosłownie to, co mi powiedziano, że próbowałam widzieć w ogólnym zarysie jakieś drobne fragmenty, ułamki ludzi i spraw. Ale ostatecznie z ułamków składają się wrażenia, ludzie poznani przygodnie nie przestają być typowi, może właśnie dlatego są tak bardzo typowi w swojej różnorodności że ich nie wybierano. Przesunęli się obok, otarli się o mnie i odeszli dalej pozostawiając za sobą jakieś drobne ślady.

Jeszcze teraz ich widzę: robotnika w Soczi. — Czy naprawdę Kennedy'ego zabili?

I szofera w Moskwie: — Czy każdy może z Kanady wyjechać?

I Saszę: — Czy pani czytała „Doktora Żiwago”?

A byli jeszcze inni: stara kobieta w stołówce w Leningradzie, która gładząc mnie po głowie namawiała mnie, jak dziecko:

— Proszę to wszystko zjeść. W Leningradzie w czasie oblężenia ludzie puchli z głodu, ludzie marli na ulicach. Żal zostawić chleb. Jedz dziecko, jedz.

I młoda Ormianka z Erywania, którą poznałam z synkiem:

— Niech pani do nas przyjedzie. *Kwartira bolszaja*, miejsca mamy dość. Zrobię dla pani szaszłyk. To już nie daleko od Tbilisi.

Wszyscy ci ludzie stoją mi przed oczyma, jeszcze obecni, a już zapadający w niepamięć. Jeszcze ich ciągle widzę, jeszcze słyszę ich głosy:

— ... co nas łączy, co nas dzieli... ludzie są wszędzie ludźmi.

Danuta Irena BIENKOWSKA

Londyn, 1969

Andrzej BIAŁY

N O C A

Choćby nam dano skrzydła Ikarowe,
nie mielibyśmy do lotu odwagi.

K. Tetmajer

I

moja nadzieja jak bezskrzydły ptak niesiony skrzydłem wiatru
w nadchodzącą burzę
moja nadzieja jak bezlistne drzewo chylące głowę ku słotom jesieni
moja nadzieja jak ludzki kadłubek żebrzący przy wyjściu z dworca
na ulicę
moja nadzieja jak statek bez żagli

II

chcieliśmy tylko otworzyć okna od piwnicy
bo nie było już czym oddychać
chcieliśmy tylko dzwonów radości nad ścierniskami zarostymi
mrokiem
chcieliśmy tylko spojrzeć sobie w oczy po prostu
jak człowiek człowiekowi
bowiem wszędzie gdzie ziemia mamy usta by śpiewać i całować
mamy dłonie by obejmować i wznosić budowle
mamy oczy by je chylić w pokorze przed bezmiarem światła
bezmiarem wieczności
bo wszyscy jesteśmy braćmi
czyż nie tak nas uczono

III

*więc zbyt niespokojni byliśmy w marzeniach
 więc zbyt wiele chcieliśmy*

dlatego

dlatego depczecie naszą ziemię

dlatego strzelacie w nasze oczy

ŻE PRZEJRZAŁY

nasi rówieśnicy w innych częściach Europy śmieją się

śpiewają

krzyczą NIE

my zaciskamy bezsilne pięści

rodzimy się martwi

bowiem nauczono nas kłamać zanim otwarliśmy usta

bowiem nauczono nas strachu zanim spadł pierwszy cios

na nasze plecy

nauczono nas niemocy zanim stanęliśmy na nogi

nauczono nas nienawiści zanim poznaliśmy

smak świata

21-25. VIII. 1968

SŁOWO O W.

*żyli jutrenką i posiedli mrok
 żyli ideą i wzięli rozbrat z ludźmi
 żyli marzeniem i kłamstwo stało się
 chlebem ich codziennym...*

A. Ważyk

1.

chodząc tą pustynią nie podnoszę wzroku na bliźnich

współwięźniów i współwinowajców

*a obok oni przemykają cichcem z ustami zagipsowanymi
 frazesem*

czy ręce wasze wszystkie są brudne

czy ręce nasze wszystkie są brudne czy tylko bezsilnie

zaciśnięte

gdzie jesteście

czy w tym hałaśliwym tańcu bijecie pokłony idolowi przemocy

*i chamstwa
bożkowi ciemnych pragnień
czy bijecie mu pokłony w barwnym pstrokatym korowodzie
powtarzacie słowa posłuszeństwa
całujecie okrwawioną łapę*

2.

*nauczyliśmy się kłamać zanim poznaliśmy abecadło
nauczyliśmy się bać zanim nas uderzono
i to jest ta cała bieda z nami
pokoleniem ze stygmatem niewolnictwa
my będziemy posłuszni
my chyba będziemy posłuszni
my będziemy
aż*

3.

*Warszawo pstrokata bezmyślna
pełna wrzaskliwych tranzystorowców
bezmózgich pajaców tańczących w takt fujarek zaklinaczy
przez pamięć tamtych
odeszłych i jeszcze żywych
przez pamięć tamtych z płonącymi oczami
krzyczących NIE
rozstrzelanych przypadkowo w Budapeszcie i Pradze
przez pamięć tych w więzieniach
i daleko stąd
wygnanych
odmawiam ci prawa do śmiechu
do radości
do tańca*

4.

*idę tym miastem
późnym wieczorem jest wymarte
neony jękają się jadowitym światłem
każdy papieros smakuje gorzko
każdy krok brzmi drętwo i obco
a najgorzej kiedy trzeba podnieść oczy
dotknąć wyciągającej się na powitanie dłoni
przywołać uśmiech
z dalekich krain niepamięci*

LIST Z ZAŚCIANKA I

*tak więc możesz ślad buta odcisnąć
w błocie epoki
lub ślad myśli w kredzie przyszłych wykopalisk
a na razie włącz się w pogrzebowy kondukt
bo tu hołdy oddawać zwykli tylko zmarłym*

*a ci już czekają zgrają z boku
i nim ziemia przetrawi drewno trumny
uderzą w chór żalów już niepotrzebnych
a innych oplują już leżących w prochu*

*więc rusza nagonka krzepka i dorodna
wśród nawoływań i knurzych kwików
bo tacy jesteśmy — nie schylimy czoła
przed myślą żyjących nam trzeba pomników
wyniosłych i zimnych z niemymi wargami
więc rusza nagonka zuchwała i swojska
krzycząc — z Polską Polsce o Polskę Polska
bezmyślnie deklinują to bezbronne słowo
nie dbając jaka Polska po co i dla kogo*

5. II.69

Andrzej BIAŁY

Ostatni rozdział

Od opisu Waterloo w pierwszych rozdziałach *Pustelni Parmeńskiej*, które z takim zachwytem czytał autor *Wojny i pokoju*, wiadomo czym jest bitwa dla biorących w niej udział. Nie całością o jasnych i wyraźnych zarysach, ożywioną jednym tchnieniem i posłuszną własnej logice, lecz miazgą chaotycznych, ledwie ze sobą powiązanych, niekiedy najzupełniej przypadkowych epizodów. Porządkowanie chaosu, modelowanie miazgi w imię takich czy innych „praw i wyroków Historii”, tworzenie legend i mitów, odczytywanie jednoznacznego podtekstu z krwawych i poplątanych hieroglifów, wytyczanie prostych linii kierunkowych w skłębionej kurzawie wypadków: to wszystko odbywa się później. Waterloo chaotyczne, oglądane oczami Fabrycego del Dongo, układa się na kartach *Nędzników* Victora Hugo w harmonijny obraz bitwy, którego autorem jest Przeznaczenie. Przeznaczeniu — lub jeśli kto woli Duchowi Dziejów — wystarczy deszcz w nocy z 17 na 18 czerwca 1815 roku, by przygotować odpowiednio śliski grunt pod uplanowany z góry upadek Napoleona.

Dowódcom i żołnierzom bitew prawdziwych, wolnych jeszcze od działania legendy, bliższe jest naturalnie spojrzenie Stendhala. „Często” — pisze generał Anders w swojej książce *Bez ostatniego rozdziału* — „oglądałem obrazy przedstawiające słynne bitwy. Wódz, na wzniesieniu, z lunetą przy oczach, śledzi rozwój walki, widzi postępy i przeszkody, wspiera, zarządza, kieruje. Dzisiaj patrzę na taki obraz zupełnie tak samo, jak już od dawna patrzyliśmy na rzeźby starożytne ukazujące walki sprzed kilku tysięcy lat. Dzisiaj w ogóle bitwa nie toczy się w zasięgu oka czy lunety dowódcy, a już gdzie jak gdzie ale tam, na stokach Monte Cassino, gdy nasz nacierający żołnierz każdym niemal krokiem wchodził w jakąś pułapkę a obrońcy niemieccy siedzieli jak w zasadzce najstaranniej przygotowanej i kilkakrotnie wypróbowanej, bitwa była czymś naprawdę niesamowitym. Ciemności całkowite nocy i dymu. Na kilka kroków nic nie widać. Nawet

żołnierze tej samej drużyny w pochodzie lub próbie pochodu na przód, padając w ogniu i zrywając się znowu, po wybuchach bliskich lub pośród nich, tracą łączność, z biedą się odnajdują, nie doliczają się swego stanu... Niewątpliwie i ta bitwa tworzy całość, lecz tej całości nikt nie widzi. A w tych osobliwych warunkach każdy widzi jeszcze mniej niż zazwyczaj w walkach dzisiejszych, gdyż nie przebijają wzrokiem nawet najbliższej ciemności, która jest jego główną, jakże jednak niepewną, osłoną”.

W takim obrazie bitwy pod Monte Cassino rozpoznaję się bez trudu jako jeden z jej uczestników. Beładne strzępy wspomnień. Czarna luka podejścia nocą z 16 na 17 maja, w owiniętych workami butach, na wzgórze 593 aż do chwili gdy Niemcy, zawiesiwszy w niebie rakietę, noc zamienili w jasny dzień a drogę naszego patrolu w jatkę. Jak dobrnęliśmy mimo to, obserwator artyleryjski i ja z aparatem radiowym na plecach, pod sam szczyt wzgórza wśród padających dokoła piechurów? Jak przez cały dzień 17 maja prowadziliśmy ogień artylerii z płytkiej rozpadliny skalnej, w bezpośrednim zasięgu bunkrów niemieckich? Jak o zmierzchu zeszliśmy do Domku Doktora? W zatłoczonym Domku Doktora strzępy wspomnień stają się ostrzejsze. Pamiętam dialogi w ciemnościach o tym czy bitwa została wygrana czy przegrana: tak mało wiedzieliśmy o niej nocą z 17 na 18 maja, tuż przed zatknięciem zwycięskiego sztandaru w Opactwie. Pamiętam również suplikę jakiegoś żołnierza łączności, który śpiewnym z białoruska głosem usiłował przekonać swego dowódcę, że kabel pod ogniem wyciągnięty z Domku Doktora (wobec przeszkód w komunikacji radiowej) nie zostanie natychmiast posiekany tasakiem bezustannego ostrzeliwania niemieckiego. Nie było w tym błaganiu ani cienia brawury, powtarzało się w nim tylko wciąż zdanie: „Ja też się chcę przyczynić”. Być może zapamiętałem obie te rzeczy dlatego, że były (dla mnie przynajmniej) doskonałym skrótem bitwy: jej niepewnych do końca losów, jej wytrzymanego do końca przez wszystkich napięcia, tego co w frazeologii komunikatów wojennych zwykło się nazywać „wołą zwycięstwa”. Była to bez wątpienia bitwa wielka.

Chcieliśmy jej, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku, w Egipcie, szkoląc się na pustyni, nasłuchując wiadomości z Polski. Łatwo dziś twierdzić, że w pięć miesięcy po Teheranie była już politycznie zbyteczna. Równie łatwo wydać dziś podobny, jeśli nie bardziej nawet stanowczy, sąd o Powstaniu Warszawskim. Istnieją procesy, które raz wprowadzone w ruch i ciągle podsypane nie dają się powstrzymać o krok od spełnienia bez ryzyka duchowej kapitulacji na długie lata. Historia Armii Krajowej zmierzała od początku ku Powstaniu, jak w historię Drugiego Korpusu wpisana była od początku Bitwa. Nie byliśmy kondotierami: świadczy o tym między innymi bunt 5 Dywizji — zbyt szybko niestety zaniechany, a raczej krótkowzrocznie zażegnany przez dowództwo Korpusu — w przeddzień rozbrojenia wojska i załadowania go na statki idące do Anglii. Byliśmy, za granicami kraju, towarzyszami broni żołnierzy AK. Podczas sierpniowych

uroczystości dwudziestopięciolecia Monte Cassino zabrakło znaku, poświadczającego ten prosty i oczywisty fakt: mógłby nim być symboliczny nagrobek Grota-Roweckiego postawiony u wejścia na cmentarz. Cwierzćwiecze Bitwy było równocześnie ćwierćwieczem Powstania.

Mieszkam od lat blisko dawnego pobojuwiska, zdarza mi się więc pokazywać je przyjeżdżającym w te strony przyjaciółom i znajomym. Kiedyś powiedziałem komuś, że jest to ostatni cmentarz Rzeczypospolitej. W jakiś czas później dokładnie to samo powiedziały mi, po zobaczeniu cmentarza, Maria Dąbrowska i Anna Kowalska. W dwudziestopięciolecie bitwy odprawiono na ostatnim cmentarzu Rzeczypospolitej cztery nabożeństwa: katolickie, prawosławne, żydowskie i ewangelickie (niestety zapomniano o greko-katolickim). Słowo „ostatni” rozległo się wśród wzgórz otaczających Opactwo zwielokrotnionym echem.

Obchód montecassiński był także ostatnim rozdziałem emigracji wojennej. Czytam w jednym z artykułów rocznicowych, że Polacy odczuwają „dreszcz dumy” na dźwięk nazwy Monte Cassino, bo jako „naród rycerski” wyżej stawiają „walkę z otwartą przyłbicą” od „walki skrytej i podziemnej”, a „laur zwycięskich wódzów” wolą od „męczeństwa Trauguttów”. Nie znam się na niezmienniej psychologii narodów (zwłaszcza *ex definitione* „rycerskich”), wiem jednak że Polakom pozostaje odtąd tylko droga walki mniej lub więcej skrytej i podziemnej. 15 sierpnia pożegnano na Monte Cassino pewną zamkniętą definitywnie epokę.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

25 sierpnia 1969

Kuzniecowa i Lisiecka

Mimo historycznego prawie „nadrywu” w geście Kuzniecowa (przekreślenie całej dotychczasowej twórczości, wyrzeczenie się własnego nazwiska), nie budzi on sceptycyzmu i nie skłania do chwilowego zawieszenia kredytu. W tekście spowiedzi b. partyjnego pisarza sowieckiego mowa bez ogródek o „faszystowskim ustroju ZSSR”, co dowodzi że Kuzniecowa zamierza odtąd, w swoim nowym wcieleniu, nazywać rzeczy po imieniu i nie ma ochoty tracić czasu na „prostowanie słusznej w zasadzie choć wykrzywionej przejęciowej drogi do socjalizmu” w kraju z którego uciekł u kresu wytrzymałości psychicznej. Nie jest to zapewne najlepszy bilet wizytowy w oczach „postępowej lewicy” na Zachodzie, ale jest to na pewno gwarancja że mamy do czynienia z pisarzem rosyjskim traktującym na serio swoje powołanie. Innymi słowy jest to gwarancja, że opowiadając o własnych do-

świadczeniach, Kuzniecowa usiłuje być echem pozostawionego za plecami milczenia milionów.

Pogłębia też zaufanie fakt, że Kuzniecowa nie ukrywa swojej słabości, nie wybiela się *ex post*, nie stroi się w popularne pod rządami totalizmu piórka heroicznego oportunizmu. Czarne nazywa czarnym, nie ulegając pokusie szukania fałszywych lecz dogodnych dla siebie półcieni. Tak: ustępował w końcu zawsze pod naciskiem cenzury i nie poznawał potem w druku własnych książek. Tak: zabrakło mu odwagi by podpisać otrzymany od Sołżenicyna list do IV Zjazdu Pisarzy Sowieckich, wołał nie pojechać na ten zjazd. Tak: godził się płacić za rozmaite fawory cenę współpracy z KGB. Tak: był z każdym dniem podobniejszy do bohatera sztuki Ionesco, czuł jak „ogłupiające profanowanie i prostytuowanie” jego pracy pisarskiej przewierca mu w czole otwór na przyszły róg. W październiku 1967 roku zanotował w swoim potajemnym dzienniku: „Od kilku dni nie mogę spać. Myślę o tym co dotąd napisałem i porównuję z tym co powinienem był napisać. Myślę o wszystkich latach, które straciłem ucząc się pisania i obserwacji. Zgnojono mi wszystko. Kiedy myślę o moim *Babim Jarze*, wydaje mi się że jestem mrówką zamurowaną w fundamentach domu. Dokoła kamień, mury, ciemność. Jak potrafię żyć tak dalej w strachu przed uduszeniem, przed pogrzebaniem żywcem?”. Dzisiaj dodaje: „Rozmyślałem tak wkrótce po procesie Siniawskiego i Daniela. Nie drukowano już Sołżenicyna. Zaczęła się rehabilitacja Stalina”. Z wiosny i lata 1967 roku pochodzą następujące zapisy w dzienniku: „Najbardziej normalne, najbardziej naturalne, najbardziej istotne ze wszystkich pragnień, mówienie prawdy lub tego co się myśli, jest zapomnianym i nierealnym snem. Podczas całego swojego świadomego życia człowiek sowiecki żyje w strachu, by nie powiedzieć czegoś czego nie należy głośno mówić. Nie potrafię tak dłużej żyć... ZSSR jest państwem faszystowskim. Najcięższy los przypadł w nim w udziale intelektualistom. Mam na myśli nie sprzedajnych cyników lub durniów którzy są produktem systemu, ale inteligencję w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Przynależąc do inteligencji autentycznej, pisarz znajduje się w wyjątkowo żałosnym położeniu. O ile bowiem jakkolwiek inny intelektualista może widzieć i rozumieć a mimo to milczeć, pisarz z racji swego zawodu zmuszony jest powtarzać sobie bezustannie: nie wolno mi milczeć”. Rolę definitywnego bodźca w decyzji ucieczki odegrała inwazja Czechosłowacji: „Spędzałem dzień za dniem przyrośnięty do odbiornika radiowego. Wiele osób płakało w tych dniach, oznaczających nawrót faszyzmu. Właśnie w tych dniach uprzytomniłem sobie, że nie mogę dłużej zostać w ZSSR, że z każdym upływającym miesiącem, rokiem, zbliżam się do chwili w której nieodwołalnie zaciśnie mi się na szyi pętla potworności i tchórzostwa”.

B. autor *Babiego Jaru* i *Ognia*, dwóch śmiałych jak na stosunki sowieckie książek, zwraca się do publiczności z rzeczywistego mandatu społecznego, stając obok swego poprzednika i ró-

wieśnika Bielinkowa, autora książki *Jurij Oliesza: kapitulacja i zguba inteligenta sowieckiego*.



Do zestawienia ucieczki Kuzniecowa z ucieczką Alicji Lisieckiej upoważnia sama literatka polska, gdy w dwóch rozmowach z Leopoldem Łabędziem na łamach londyńskiego *Timesa* powołuje się na pokrewny casus pisarza rosyjskiego. Pokrewieństwo jest pozorne, sprowadza się wyłącznie do materialnego faktu pozostania zagranicą.

Najpierw uderza przysłowiowa kropla, przepełniająca tzw. kielich goryczy. W wypadku Lisieckiej było nią zobaczenie „chińskiego muru Ulbrichta” w drodze powrotnej do kraju. Pomijam już okoliczność, że inwazja Czechosłowacji mogła dostarczyć nieco lepszego materiału do dramatycznych refleksji: jak słusznie zauważył Gombrowicz w ostatnim fragmencie dziennika, nawet odważne i zasługujące na uznanie protesty pisarzy krajowych w sprawie Czechosłowacji miały w sobie coś z „freudowskiego zapomnienia że przecież od lat już Polska jest krajem okupowanym, akurat jak dziś Czechy”. Zastanawia mnie raczej inna rzecz: osobie parającej się piórem, a więc niejako z tytułu swego zawodu obdarzonej zdawałoby się pewną wyobraźnią, trzeba było aż muru Ulbrichta by w jego więziennych kamieniach zobaczyć naraz odbicie rzeczywistości polskiej.

Nie jest to, jak sądzę, przypadkowe. Cała spowiedź Lisieckiej, utrzymana w tonie dość egocentrycznym i samodurnym, nie ma za sobą żadnego rzeczywistego mandatu społecznego (choćby inteligencji polskiej), ma natomiast wszelkie cechy spojrzenia na Polskę z lotu ptaka „górnym paru tysięcy”, tych co władzę sprawują i w walce o nią skaczą sobie nawzajem do gardeł. Jest to nawet miejscami interesujące i trafne na ogół w rozeznaniu sytuacji, jaka panuje na niebotycznych wyżynach, ale pomija całkowicie lwią i najważniejszą część obrazu. Kiedyś, pisząc o *Małowiernych* Putramenta w recenzji zatytułowanej *Banda gangsterów*, wspomniałem że ich dalszym ciągiem jest powieść Stalińskiego *Widziane z góry*. Różnica (poza nieporównanie wyższą klasą pisarską Stalińskiego) polega na tym, że ukrywający się pod pseudonimem autor krajowy patrzy z góry myśląc wciąż o anonimowych i niemych „dołach”, jak gdyby *per procura* społeczeństwa, a komisarz polityczny ZLP szybuje beztrósko i na ślepo w gangsterskiej stratosferze *wierchuszki*. Lisieckiej, mimo jej ostatnich chwalebnych prób przetarcia oczu w krainie czarów i carów, bliższa jest chyba nadal mentalność Putramenta. Chętnie wierzę, że przy takiej *forma mentis* „nie mogła jeść i nie mogła spać” przed powzięciem decyzji „zostać czy nie zostać”. Zetknąłem się z nią przelotnie tylko raz w życiu, podczas jej jakiegś co najmniej półoficjalnej podróży zagranicę, i nie robiła wtedy wrażenia cierpiącej na bezsenność. A były to już lata mozarowskiego *Sturm und Drang*.

Lisiecka pertraktowała z Kliszką i Moczarem (nawiasem mówiąc, jedynym prawdziwym *novum* w jej dwóch występach na łamach *Timesa* jest zapewnienie że to sam generał, bez pomocy majora Żukrowskiego, napisał *Barwy walki*), wybierała się nawet w delegacji do Gomułki celem „uzyskania jego poparcia dla bardziej liberalnej polityki kulturalnej”, ale w ostatniej chwili część delegatów uznała tę wizytę za bezprzedmiotową gdyż „Gomułka jest człowiekiem upartym, porywczym, i mógłby tylko pogorszyć nasze położenie”. W prasie, według jej własnych słów, atakowano ją jako „przeszkodę w rozwoju marksistowskiej platformy politycznej w Polsce”. Polska sukcesorka Róży Luksemburg ma jednak o polskiej klasie robotniczej tylko tyle do powiedzenia, że dla partii stanowi ona „zagadkę”. „Melancholijna to refleksja — powiada Lisiecka, — że przywódcy partii całkiem poważnie uważają wybitnych literatów polskich za współzawodników w walce o władzę”. Istotnie melancholijna, gdy się przyzna rację Lisieckiej że w rzeczywistości „literaci polscy są jedynie pionkami, bezradnymi obiektami w partyjnych rozgrywkach” na szczycie, „ofiarami skomplikowanych intryg o prawdziwie bizantyjskim posmaku”. Będą nimi dopóty, i to ci właśnie podobni w *savoir vivre et penser* do Lisieckiej, dopóki nie uwolnią się definitywnie od specyficznej optyki „górných paru tysięcy”.

Na trzy tygodnie przed rozmówkami z Lisiecką w tymże *Times'ie* ukazał się doskonały artykuł Łabędzia *Soviet writers are facing a painful dilemma*. Kończy się on uwagą, że wobec nowej fali represji w Rosji „młodzi pisarze współpracujący z *samizdatem* nie mają więcej potrzeby samocenzurowania się lub używania języka ezopowego. Mogą zatem pisać bardziej *explicite* i porzucić *doublethink*, tę nieuchronną orwellowską domieszkę słowa drukowanego w stylu sowieckim... Gdyby zaś władze sowieckie postanowiły zdławić *samizdat*, może wzrosnąć liczba literackich uciekinierów”. Od „literackich uciekinierów” oczekuje się żeby przemawiali pełnym głosem, jak Kuzniecow. A nie głosikiem „wtajemniczeń” w życie i działalność wyższych sfer rządzących.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Aresztowania

Kultura powstała z myślą, którą trzeba uważać za nadrzędną, o docieraniu do kraju. W ciągu dwudziestu przeszło lat swego istnienia robiła wszystko by ten postulat zrealizować, jest i będzie wierna mu nadal. Z nienajgorszymi skutkami, skoro mimo ogromnych trudności potrafiła w kraju zapuścić korzenie, krąży po-

dawana z rąk do rąk wśród czytelników, jest zwalczana i atakowana w nowym wydaniu prasy gadzinowej, „omawiana” i „rozpracowywana” w propagitkach książkowych czy broszurkowych, cytowana przez możnowładców rządowych i partyjnych. Gdyby nie pilnowała tego głównego zadania, które było zawsze w historii (nie tylko Polski zresztą) podstawą egzystencji głosów wolnych zmuszonych niewolą do rozbrzmiewania zagranicą, gdyby zamiast kierować do kraju każdy świeży numer i każdą nowowydaną książkę zamknęła się w opłotkach podwóreczka emigracyjnego, stałaby się efemerydą lub, po najdłuższym nawet życiu, umarłaby wraz z emigracją na uwiad starczy.

Nie grozi jej to dzięki — w dużej mierze — kontrabandzie, przemytowi. Ten najpewniejszy sposób przenikania do kraju, znany wszystkim ważącym coś w historii pismom emigracyjnym, jest także naszym tradycyjnym sprzymierzeńcem. Od zarania niemal *Kultury* przez naszą siedzibę pod Paryżem i przez nasze przedstawicielstwa na całym świecie przewinęły się tysiące przyjezdnych z Polski, prosząc o egzemplarze miesięcznika i o wydane przez nas książki. Jak każdy przemyt, również przemyt wolnej myśli i wolnego słowa posiada swój margines strat i związany jest z ryzykiem osobistym. Ale strażnikom państwa policyjnego nie udało się nigdy, i nigdy się nie uda, zasypać płynącego od nas strumienia.

Przed rokiem zjawił się u nas — jeden z wielu — młody archeolog, dziennikarz i alpinista, Maciej Kozłowski. Podczas swego pobytu w Paryżu, w oczekiwaniu wyjazdu do Stanów na stypendium w Harvard University, zaopatrywał się u nas w stare i nowe numery *Kultury*, w nasze książki i wydawnictwa, niczym się nie różniąc od długiego szeregu takich samych jak on poprzedników i następców: spragnionych nie tylko „naczytania się” do syta na miejscu, ale i przekazania tej ważnej dla siebie lektury swoim kolegom w kraju. W maju, w przeddzień już wyjazdu do Ameryki, wybrał się z przebywającą także czasowo w Paryżu Marią Tworkowską do Czechosłowacji, gdzie miał dość rozgałęzione stosunki wśród młodzieży studenckiej. W drugiej połowie maja zostali oboje aresztowani, nie wiadomo dokładnie w jakich okolicznościach, w Smokowcu wraz z matką Kozłowskiego która przyjechała na spotkanie z synem z Krakowa (zwolniono ją po 24 godzinach). Oboje znajdują się obecnie w więzieniu w Warszawie. Ich aresztowanie pociągnęło za sobą falę dalszych aresztowań, którą w kraju określa się mianem „sprawy tatarników”. UB przygotowuje prawdopodobnie duży proces pokazowy, skierowany przeciw *Kulturze* i obliczony na zastraszenie ludzi utrzymujących z nami kontakt. Ta rachuba jest zawodna. W oczach myślącego odłamu społeczeństwa proces „tatarników” pokaże tylko jedno: że nasza obecność w Polsce pogłębia się raczej niż słabnie.

Jakże mogłoby być inaczej? Nie może być inaczej w kraju który zamieniono w Dzikie Pola bandytyzmu „politycznego”, w

Refleksje emigracyjne

Stefan Arski i wielu innych reżymowych „specjalistów” głosili przez szereg lat, że problem emigracji politycznej zostanie rozwiązany na drodze biologicznej.

Przyznaję otwarcie, że myślałem podobnie. Gdy w roku 1948 zacząłem pisać do *Kultury* — oceniałem wówczas, że nasz miesięcznik ma przed sobą 15-20 lat życia. W owym czasie nie przerażała mnie ta perspektywa, ponieważ byłem przekonany, że za 15 czy 20 lat wrócimy do Kraju.

20 lat temu tylko nieliczni Polacy posiadali w Londynie telefony. Ponieważ książki telefoniczne nie były pomocą — gdy zostałem londyńskim korespondentem *Kultury* założyłem moją własną księgę adresową. Z czasem zebrałem setki adresów Polaków zamieszkałych w Londynie i w Wielkiej Brytanii.

Ową księgę adresową założoną przed dwudziestu laty zachowałem do dzisiaj. Lektura tego rejestru nazwisk jest czymś przegnębiającym. To jest dosłownie cmentarz. Sądzę, że 80 % emigrantów, których adresy pieczołowicie odnotowałem nie żyje.

W Anglii nie było epidemii dżumy tylko ludzie umierali zwyczajnie i po prostu. Należy więc przyjąć, że proces biologiczny miał podobny przebieg i w innych krajach polskiego osiedlenia.

Wydawałoby się więc, że księga adresowa, którą wspominałem potwierdza moją tezę z 1949 r., — że *Kultura* będzie stopniowo lecz stale tracić prenumeratorów i po dwudziestu latach licząc od jej założenia prenumeratorów będzie już tak mało, że nie zdołają utrzymać pisma.

Moja księga adresowa potwierdza powyższą tezę, lecz na szczęście fakty jej przeczą. Nakład *Kultury* nie tylko nie zmalał, lecz stale wzrastał i dziś, po dwudziestu latach, jest nieporównanie większy niż w roku 1949. W ubiegłym roku przybyło *Kulturze* kilkuset nowych prenumeratorów. Emigracja wymiera a prenumeratorów *Kulturze* przybywa. Jak to się dzieje?

Wymiera starsze pokolenie na emigracji. Lecz stały przyrływ nowych emigrantów wyrównuje owe straty z nadwyżką. Oczywiście nie ma i nie może być dokładnych statystyk ujmujących ten problem. Młody człowiek, który przyjeżdża do Anglii czy Francji na rok celem pogłębienia swych studiów — nie jest emigran-tem politycznym lecz jest w 90 wypadkach na 100 czytelnikiem *Kultury*. Ci, którzy starają się pomniejszyć znaczenie *Kultury* twierdząc, że jej zasięg w Kraju jest wąski — zapominają, że *Kulturę* kupują i czytają niemal wszyscy Polacy krajowi przebywający zagranicą.

Termin „emigracja polityczna” będzie wymagał re-definicji. Do tej pory za emigranta politycznego uważaliśmy Polaka, który po demobilizacji z Armii Polskiej na Zachodzie odmówił powrotu do Kraju albo Polaka, który przyjechał z Polski i wybrał wolność. Prawo azylu przysługuje tylko tym jednostkom, którym w kraju ich pochodzenia grożą represje. Polski inżynier czy lekarz, który nigdy nie zajmował się polityką, jeżeli po przyjeździe do Anglii pragnie osiedlić się w tym kraju — musi otrzymać zezwolenie na pracę i na stały pobyt. Zwykle petent otrzymuje wizę pobytową na rok czy na dwa lata, później stara się o przedłużenie swojej wizy a po 5-ciu latach zdobywa podstawę do ubiegania się o obywatelstwo brytyjskie. O tym czy ów lekarz jest czy nie jest emigran-tem politycznym decyduje jego postawa. Jeżeli zdecydował się osiedlić w Anglii ponieważ w tym kraju brak jest lekarzy i perspektywy zarobkowe są lepsze niż w Polsce — oczywiście nasz lekarz jest emigran-tem zarobkowym a nie politycznym. Lecz jeżeli ów lekarz zaprenumeruje *Kulturę* po roku czy po dwóch latach może się stać przekonany politycznym emigran-tem. Jeżeli przez dłuższy okres czasu będzie porównywał nasz miesięcznik z prasą krajową — mogą mu się otworzyć oczy na zagadnienia, których dawniej nie dostrzegał.

Nowy rzut emigracyjny ocenia się na 6 do 20 tysięcy osób. Powstała w pewnej mierze sytuacja paradoksalna. Z jednej strony reżym w Polsce uważa emigrację a zwłaszcza *Kulturę* za swojego głównego przeciwnika. Z drugiej strony ten sam reżym produkuje nową emigrację i nowych czytelników *Kultury*. Można uznać za pewne, że dopóki w Polsce istnieć będzie ustrój totalistyczny dopóty istnieć będzie polityczna emigracja.

Ponieważ nowa emigracja nie jest ani opracowana ani przeanalizowana jako fenomen socjologiczny w wielu wypadkach wypowiada się w tej sprawie nieprzemyślane sądy. Weźmy następujący przykład. Na ogół panuje opinia, że najbardziej niezłomna i nieprzejednana jest stara emigracja. My organizujemy obchody na Monte Cassino, wybieramy medale pamiątkowe itd. itp. Faktem natomiast jest, że sporo uczestników obchodu monte-cassinskiego wprost z pola bitwy pojechało na urlopy do PRL. Nie mamy nic przeciwko temu by Polacy odwiedzali Kraj. Uważamy natomiast, że emigranci odwiedzający Polskę nie powinni brać udziału w imprezach „jubileuszowych” PRL — co się wielokrotnie zdarzało.

Nie ma powodu ukrywać faktu, że pewni Polacy ze starej emi-

gracji, którzy byli niegdyś emigrantami politycznymi przestali nimi być. To są ludzie, którzy ani nie kolaborują ani nie wzięli paszportów PRL — lecz są całkowicie pogodzeni z „Polską urlopową”. Działają w tym wypadku znużenie, rozczarowanie i jakże zrozumiała i klasyczna chęć powrotu „na Ojczyznę łono”. Są ludzie, którzy płacą na Fundusz *Kultury* anonimowo — ponieważ boją się, że ujawnienie ich nazwiska w spisie ofiarodawców zaszkodziłoby im w staraniach o wizę PRL. Ci sami ludzie nie należą do organizacji emigracyjnych — nie ma ich nazwisk pod protestami w sprawie Czechosłowacji — nie biorą udziału w manifestacjach i unikają jak ognia wszelkiej łączności z polityczną działalnością emigracji w obawie, że władze PRL odmówią im wizy.

Wielu naszych Czytelników sądzi, że jestem z zawodu specjalistą od Polski Ludowej i wskutek tego radzą się mnie w tych sprawach. Polityka PRL jest nieobliczalna i nie można przewidzieć co komu zaszkodzi a co nie zaszkodzi. Petentowi starającemu się o wizę — „Polonia Restituta” np. nie zaszkodzi. Podobnie jest z awansami. Awanse są na ogół honorowane przez władze PRL — co nie jest szczegółem bez znaczenia dla osób, które wracają do Kraju na stałe.

Znam polskich uczonych na emigracji, którzy dawniej pisywali do *Kultury* artykuły ze swej specjalności. Dziś tego zaniechali ponieważ jeżdżą co roku na urlopy do Kraju.

Odwiedzanie Kraju jest rzeczą naturalną lecz trzeba wyważyć jaki obol płaci się „antyojczyźnie” za prawo odwiedzania Ojczyzny.

Nie mam zamiaru projektowania nowego kodeksu postępowania dla emigracji. Chciałem tylko wykazać, że jesteśmy dziś znacznie mniej niezłomni niż dawniej i jesteśmy znacznie mniej niezłomni niż nam się to wydaje. Nasza niezłomność jest czysto werbalna i ogranicza się do kilku nudnych tygodniowych artykułów w konserwatywnych pismach, których nakłady są małe a wpływ jeszcze mniejszy.

Skłonny jestem sądzić, że Czytelnik przyjmie z niedowierzaniem opinię, którą pragnę wyrazić. Prawdziwych niezłomnych można dziś znaleźć pośród nowej emigracji. W przeciwieństwie do naszych patentowanych stalinowców *à rebours* — ci ludzie mają jeszcze tę zaletę, że wiedzą o czym mówią.

Pewni intelektualisci emigracyjni mieli nam za złe, że w ostatnim roku czy dwóch latach usztywniliśmy znacznie naszą politykę. Panowie ci uważali, że zeszliśmy na pozycję reakcjonizmu i zawodowego antykomunizmu. Intelektualiści o których mowa liczyli, że inteligenci z nowego rzutu emigracji potępią *Kulturę* i zaakceptują ich stanowisko. Stało się wręcz odwrotnie. To nowi emigranci w swoich listach do mnie przytoczyli argumenty, które zmusiły mnie do poddania rewizji pewnych założeń ewolucjonizmu. To nowi emigranci spowodowali, że intelektualisci, którzy stronili od nas przyszli dziś na nasze podwórko, ponieważ przekonali się, że nie oni tylko *Kultura* miała rację. Nie odstępując ani

na krok od socjalizmu lecz równocześnie usztywniając naszą dotychczasową politykę, wyczuliśmy prawidłowo sytuację i wskutek tego większość inteligentów nowej fali emigracyjnej znalazła się w kole naszych Czytelników.

Jest oczywiste, że nawet ludzie, których odwiedzają liczni Polacy z Kraju i którzy cały swój czas poświęcają studium Polski Ludowej nie wyczuwają w pełni współczesnego polskiego społeczeństwa. Jednak w oparciu o wieloletnie doświadczenie w tych sprawach stwierdzam, że jedną z głównych przeszkód w dialogu: Kraj-Emigracja — jest niemal zupełny brak znajomości emigracji i jej spraw w Kraju. Przeciętny krajowiec, który przyjeżdża do Londynu czy Paryża o emigracji nie wie nic. Poza oczerniającą reżymową propagandą nie ma żadnych źródeł w tej dziedzinie. Wielokrotnie Polacy krajowi odwiedzający Londyn zwracają się do mnie z prośbą abym im wskazał książkę czy broszurę, która w sposób obiektywny informowałaby czym jest emigracja, z jakich i z ilu ośrodków politycznych się składa, czym są i co reprezentują partie polityczne itp. Ze wstydem tłumaczyłem moim rozmówcom, że takiej książki nie ma i w moim przekonaniu nigdy nie będzie. Przewodnik po emigracji musiałby mieć charakter oficjalny — innymi słowy musiałby być uzgodniony i zaakceptowany przez wszystkie ośrodki polityczne. Musiałby być wolny od jakiegokolwiek propagandy i odzwierciedlać rzeczywisty stan rzeczy. W warunkach emigracyjnych to wszystko jest nieosiągalne. Rada Trzech nie zgodzi się nigdy na obiektywny opis ośrodka prez. Zaleskiego — prez. Zaleski nie zgodzi się nigdy na obiektywny opis Rady Trzech. W rezultacie, gdyby praca tego typu miała powstać musiałaby mieć charakter prywatny. Zbędne dodawać, że autor nie wydobyłby się z oskarżeń o stronnictwo do końca życia.

Społeczeństwo w Kraju traktuje emigrację jako monolit — w znacznej mierze z naszej winy. Wszyscy wiedzą o *Kulturze* dzięki temu, że od dwudziestu lat nastawieni jesteśmy na Kraj — a reżym wydał o *Kulturze* szereg książek. Lecz mimo całego mojego przywiązania do *Kultury* muszę stwierdzić, że emigracja to nie tylko *Kultura*. Co w Kraju ludzie wiedzą na przykład o POSK, który jest jedną z niewielu rzeczy, którą można i należy się pochwalić. Stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że wielu Polaków krajowych o niekwestionowanej postawie powtarza w dobrej wierze kłamstwa o emigracji. Ludzie ci byli przez dziesiątki lat indoktrynowani jednostronnie przez reżym — a nie byli informowani przez nas. W rezultacie *image* emigracji w oczach przeciętnego Polaka w Kraju jest spaczony a często karykaturalny — co nie ułatwia dialogu z Krajem.



U przybyszów z Kraju zwłaszcza młodego i średniego pokolenia uderzają dwie cechy: głód kultury europejskiej i polityczna

nieufność do Zachodu. „Polskość-europejskość” to jest problem, który jest dziś żywszy niż kiedykolwiek w przeszłości.

Ponieważ mocarstwa zachodnie wydały nas Wschodowi — zrozumiała jest reakcja, że „Polska leży nad Wisłą” i że tylko nad Wisłą można tworzyć kulturę polską. Gołubiew głosił, że Gombrowicz powinien być spędzić życie w Radomiu.

Na powyższe tematy w prasie krajowej toczyła się swego czasu szeroka dyskusja z wybitnym udziałem Stefana Kisielewskiego, który reprezentował „nadwiślanizm”.

Czy można być Polakiem i Europejczykiem? Jeżeli Polak może być Europejczykiem to za jaką cenę?

„Nadwiślanizm” wyrodnieje często w parafianizm — a polski parafianizm jest typowo wschodni. Parafianizm w większym lub mniejszym stopniu istnieje wszędzie — lecz nie wszędzie wykazuje cechy wschodnie. Polskość parafiańska jest nie do pogodzenia z europejskością nie dlatego, że jest ciasna. Ciasnoty kulturalnej w Europie Zachodniej nie brak również. To jest w pewnej mierze problem formy — jakby powiedział Gombrowicz. Nasza parafiańskość w jej aspekcie narodowym jest rytualistyczna, dogmatyczna, totalistyczna, nietolerancyjna i dlatego jej formą wyrazu jest „drętwa mowa” czy to w wydaniu krajowym czy emigracyjnym.

Gdybyśmy opracowali „geografię stylu” — to przekonalibyśmy się, że styl tych, którzy przemawiają publicznie „udrętwia się” w miarę posuwania się z Zachodu na Wschód.

Piszemy stale o kłamstwach propagandy komunistycznej. Jeżeli Kosygin czy Gomułka mówią o demokracji — nie są to pospolite kłamstwa tylko formy rytualistyczne charakterystyczne dla wschodniego autokratyzmu. Prawdą jest to, co władza głosi, że jest prawdą. Wszystko inne jest nieprawdą.

Polski parafianizm nie ma nic wspólnego z ideologią czy z polityką. W Kraju wydano już drugi nakład książki Witolda Fillera pt. „Teorie i Praktyki Paryskiej Kultury”. W londyńskich *Wiadomościach* ukazała się niedawno w opracowaniu p. St. Zarzewskiego ankieta na temat moich książek. Istnieje uderzająca zbieżność w obu powyższych opracowaniach. Respondenci ankiety są antykomunistami — p. Filler jest komunistą. Lecz łączy tych panów coś znacznie więcej niż ich dzieli. Łączy ich polski parafianizm. Parafianizm jest wrogi w stosunku do każdej niezależnej myśli i w stosunku do każdego niekonformizmu. Z tej przyczyny znaczny procent respondentów ankiety jest równie wrogo nastawiony do *Kultury* jak p. Filler. Owa zbieżność o której mówiłem powyżej jest tak charakterystyczna, że p. Zarzewski powinien wydać w jednym tomie pracę p. Fillera i wybór wypowiedzi ankiety. Całość powinna nosić tytuł „Z dziejów głupoty w Polsce i na Emigracji”.

Lecz tematem tych rozważań jest nowy rzut emigracji a nie starsi panowie z kręgu *Wiadomości*, którym osobiście życzę jak najlepiej.

Wielu młodych Polaków zdolnych do szybkiej adaptacji w nowym otoczeniu — pozbywa się parafiańskości i polskości za

jednym zamachem. Młodym często wydaje się, że droga na Zachód wiedzie poprzez porzucenie polskiego getta.

W potocznej polszczyźnie mówimy o pisarzu, którego książki ukazują się w obcych przekładach, że „wyszedł na świat”. Anglik nie musi „wychodzić na świat”. Wystarczy aby napisał dobrą książkę w swoim własnym języku. Innymi słowy, Anglik rodzi się „na świecie” — Polak natomiast musi dopiero na ten świat „wychodzić”.

Tylko parafianin (w sensie mentalności) mówi o tzw. „szerokim świecie”. Jeżeli ktoś parafianinem nie jest, mieszka zawsze na szerokim świecie, choćby to był Radom.

Najwyżej cenionym w Kraju pisarzem emigracyjnym był Witold Gombrowicz. Trudno sobie wyobrazić pisarza bardziej antyparafiańskiego — pisarza, który by głębiej i doszczętniej chłostał i wyszydzał polską, patriotyczną liturgię z jej zaściankowością i śmiesznościami „fumami”, które jak szkarłat błazna pokrywają kompleks niższości.

Równocześnie Gombrowicz był dumnym Polakiem. Nie wątpił, że zostanie uznany za wybitnego Europejczyka jako Polak. Pisał własną, najrdzenniejszą z rdzennych polszczyzną z całkowitą pogardą dla swoich nieszczęsnych europejskich tłumaczy. Nie ci Polacy co piszą po angielsku — nie ci co piszą „pod tłumaczy” — tylko Gombrowicz otrzymał najwyższą nagrodę europejską i jedynie śmierć przedwczesna odcięła go od nagrody Nobla, którą, gdyby żył, niemal na pewno by otrzymał.

Gombrowicz z właściwą mu nonszalancją przekonał parafiańskich rodaków, że wybitny Polak jest Europejczykiem z urodzenia, z kultury, z talentu — identycznie jak Francuz czy Anglik. Polska kultura „przeszkadza” tylko tym, którzy nie posiadli jej w dostatecznym stopniu. Tacy panowie zebrani wokół swej parafialnej studni — mówią zawsze o „wielkim świecie”. Gombrowicz natomiast uważał, że tzw. „wielki świat”, Europa, Zachód itp. — to jest on. I miał rację. Wspaniały Polak.

Nie każdy może być Gombrowiczem. Młodzi inteligenci i intelektualści z nowej emigracji powinni jednak przyjąć jego postawę, która streszcza się w stwierdzeniu, że droga do Europy czy do Ameryki dla Polaka wiedzie przez polskość a nie przez jej odrzucenie. Getto to nie jest bigos w Ognisku, czy flaki u Kombatantów. Getto to jest mentalność. W konfrontacji z Zachodnią Europą — młody emigrant powinien odrzucić parafianizm i pogłębić znajomość polskiej kultury, co w tej chwili łatwiej można osiągnąć w Paryżu czy w Londynie niż nad Wisłą. Nie ma smutniejszego widoku jak ludzie z nikąd, którzy mówią z obcym akcentem po angielsku i błędnie po polsku, którzy nie są ani stuprocentowymi Polakami ani stuprocentowymi Brytyjczykami, którzy nie tylko są bez własnej ojczyzny ale i bez własnej kultury.

Jako stary emigrant chciałbym przekonać nowych emigrantów, że będą Europejczykami czy Amerykanami tylko w tej mierze jakimi będą Polakami. W Europie czy w Ameryce Polacy na najrozmaitszych stanowiskach cenieni są wówczas, jeżeli oprócz

swych kwalifikacji zawodowych — posiadają doskonałą znajomość Europy Wschodniej, jej kultur i języków. To jest zrozumiałe — ponieważ trzeba być skądś na to by być kimś.



Ów cykl rozważań związany jest z wizją, która od dłuższego czasu mnie nie opuszcza.

A. Kuzniecowa w wywiadzie radiowym odmalował sytuację Sowietach z przerażającą plastyką. Równocześnie oświadczył, że KGB jest tak wspaniale zorganizowana, że rewolucja w Rosji nie jest w tej chwili możliwa. Oczywiście to jest opinia indywidualna i zabarwiona emocjonalizmem. Jednak nie można kwitować machnięciem ręki wypowiedzi pisarza, który był w Sowietach jeszcze trzy tygodnie temu a nie 30 lat temu jak większość naszych sowietologów. Kuzniecowa rozmawiała o wyjeździe z około dwudziestoma pisarzami sowieckimi. Jeżeli przyjąć świadectwo Kuzniecowa, to bardzo znaczny procent intelektualistów pragnie z Rosji wyjechać, lecz niewielu myśli o rewolucji.

Stalinowcy za wszelką cenę pragną utrzymać się przy władzy lecz nie mają tej władzy, którą miał Stalin. Intelektualiści stanowią stałe źródło niepokoju i fermentu. Związek Pisarzy Sowieckich liczy 5 tysięcy członków. Sądzę, że Stalin mógłby kazać jednej nocy zaaresztować 1.500 pisarzy i wywieźć ich do łagrów. Breżniew nie mógłby zaaresztować jednej nocy nawet 50 pisarzy. To nie tylko „nie te czasy” ale przede wszystkim „nie ta władza”. To samo dotyczy Gomułki. Gomułka może zorganizować proces grupy studentów i intelektualistów lecz nie może zaaresztować pół setki pisarzy w Warszawie.

Wszystkie „usztyniania linii”, pouczania, obostrzenia cenzury itp. nie prowadzą do celu. Przeciwnie, pogłębiają tylko niezadowolenie i ferment. W takiej sytuacji aparatczykom przy władzy musi nieuchronnie nasunąć się refleksja, że Kołakowskich znacznie bezpieczniej jest mieć w Kalifornii niż w Warszawie a Kuzniecowa znacznie bezpieczniej jest mieć w Londynie niż w Moskwie.

Aleksander Dubczek powiedział, że ponieważ partia nie potrafiła zmienić narodu — musi zmienić się sama. Można jednak podjąć politykę nie ewolucjonizmu, lecz anty-ewolucjonizmu. Można ułatwiać wyjazd nie tylko Żydom, lecz pisarzom i intelektualistom. Na tej drodze można obniżyć kulturalny poziom narodu. Dla Breżniewa czy Gomułki pozbycie się humanistycznej elity byłoby rzeczą wysoce pożądaną.

Jeszcze za czasów Chruszczowa przywiązywano na Kremlu pewną wagę do wizerunku Rosji na Zachodzie. Lecz gdyby jutro wyładowało w Londynie 20 pisarzy sowieckich — żaden z nich nie powiedziałby już niczego więcej niż Kuzniecowa. Trudno dziś skompromitować czy oczernić Rosję, gdyż już bardziej skompromitowanym być nie można. Sowiety nie ryzykowałyby niczego wysiedlając stopniowo owo intelektualne „gniazdo szerszeni” na Zachód.

To są zwykle małe jednoszpaltowe notatki w prasie, które mówią o najdramatyczniejszym procesie w Europie Wschodniej. Austriackie ministerstwo spraw wewnętrznych ujawniło, że dwiętnastego sierpnia br. 72 Czechów prosiło o azyl. Przeciętna cyfra proszących o azyl z 28 osób podniosła się w ostatnich miesiącach niemal trzykrotnie. W obecnej chwili przebywa w Austrii ponad 15 tysięcy Czechów. W większości są to studenci, pisarze, uczeni, intelektualiści.

Do dnia 21. VIII. 1968, to jest do chwili inwazji, poza granicami kraju żyło 40.000 Czechów i Słowaków. W przeciągu ostatnich 12 miesięcy owa cyfra podniosła się do 60.000.

Małym średnim krajom Europy Wschodniej na skutek ucisku stalinowskiego grozi „irlandyzacja”. W rezultacie systematycznej emigracji trwającej nieprzerwanie od roku 1830, znacznie więcej Irlandczyków żyje za granicą — głównie w Ameryce — niż w obu Irlandiach. Jeżeliby przyjąć, że ucisk stalinowski będzie trwał następne 25 czy 30 lat — Czechosłowacji choć z innych przyczyn grozi ten sam los.

Najgroźniejszą jednak wydaje mi się pauperyzacja intelektualna. Jeżeli totalny sowiecki system przetrwa w Europie Wschodniej 50 czy 100 lat, kraje tego rejonu Europy wyludnią się z pisarzy, uczonych, intelektualistów. Nie jest wykluczone, że owa emigracja stanie się częścią składową polityki reżymów, które w ten sposób dążyć będą do realizacji prostego programu: Gomułkizm dla Gomułków.

W każdym razie wydaje się nie ulegać wątpliwości, że emigracja polityczna staje się zjawiskiem o innych wymiarach i innym charakterze niż dawniej. Być może emigracja intelektualna z Wschodniej Europy trwać będzie bardzo długo. Nie można wykluczyć, że przez najbliższe lata literatura, sztuka, nauka polska w przeważającej mierze rozwijać się będą na obczyźnie — nie w Kraju. Kto wie — czy nie przekształcimy się z emigracji w naród emigrantów. Niech mi nikt nie tłumaczy, że masowy exodus najlepszych jednostek w narodach wschodnioeuropejskich nie jest możliwy. Po stalinowskich łagrach, po pokazowych procesach, po najeździe na Czechosłowację — wszystko jest możliwe. De-intelektualizacja narodu na poważną skalę trwająca kilkadziesiąt lat pociągnęłaby za sobą konsekwencje, które trudno dziś przewidzieć — a cóż dopiero im zaradzić.

Przed nową emigracją zarysowują się ogromne zadania — nieporównywalne z eposem naszej wojskowej emigracji, która dobiega swego biologicznego San Domingo.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

EPOKA CIEMNIAKÓW

W dniu w którym piszę tę notatkę mija 30 lat od wybuchu drugiej wojny światowej. Wydaje mi się, że nigdy nie było ciemniej we Wschodniej Europie niż jest dziś. Nawet w pośrodku nocy stalinowskiej ludzie mieli więcej nadziei niż obecnie. Po XX Zjeździe KPZS wydawało się, że stalinizm nie tylko upadł, nie tylko został skompromitowany — lecz, że rozpoczął się nowy okres rokujący nadzieję.

Pisarze rosyjscy i intelektualiści rosyjscy są w trudniejszej sytuacji niż ktokolwiek z nas. Czesi i Słowacy mogą sobie powiedzieć, że ulegli wielokrotnej przemocy. Rząd w Vichy kolaborował z najeźdźcą by ratować „biologiczną substancję narodu”. Jest często trudno wykreślić linię oddzielającą współpracę z okupantem z postawy patriotycznej — od współpracy, która jest kolaboracją i zdradą. Czy Husak jest kolaborantem czy pragmatycznym Słowakiem, który pragnie uratować to co jest jeszcze do uratowania?

Rosjanin, który kolaboruje nie może sobie powiedzieć, że uprawia politykę Vichy w interesie Rosji i narodu rosyjskiego. Rosja nie jest okupowana, nie ma narzuconego z zewnątrz rządu — i jeżeli ktoś kolaboruje robi to tylko dla prywatnych korzyści i osobistego bezpieczeństwa. W Rosji nie ma i nie może być „ideologii kolaboracyjnej”.

Protest pisarzy sowieckich w związku z rocznicą najazdu na Czechosłowację — wskazuje, że była to ostatnia kropla, która dopełniła kielicha. Sądząc z wypowiedzi Kuzniecowa — nie zgnicenie powstania węgierskiego, które było niepomierne brutalniejsze — tylko Czechosłowacja stała się w oczach większości inteligencji rosyjskiej ową zbrodnią niewybaczalną.

Dlaczego Czechosłowacja a nie Węgry, czy tysiąc innych zbrodni? Chruszczow posiadał daleko większy autorytet niż Breżniew czy Kosygin. Według opinii Kuzniecowa uważano go — słusznie czy nie słusznie za „liberalnego” przywódcę i łudzono się, że drzwi uchylone na XX Zjeździe otworzy na rozcień. Chruszczow umiał przekonać znaczną część Rosjan, że Węgry występując z Paktu Warszawskiego i apelując bezpośrednio o pomoc Zachodu — dokonały zdrady. Breżniew i Kosygin nie potrafili przekonać nikogo, że inwazja Czechosłowacji była czymś innym niż zbrodnią.

Jeden z dyplomatów brytyjskich słusznie zauważył, że inwazja Czechosłowacji była próbą odłożenia daty wyroku — ponieważ rewolucja wolnościowa zapoczątkowana w Czechosłowacji wcześniej lub później obali Breżniewów i Kosyginów.

Na Zachodzie obecnych władców Rosji uważa się za ludzi przeciętnych, mało oryginalnych i dlatego bezpiecznych. Osobiście nie podzielam tej opinii. Wydaje mi się, że przeciętny człowiek na nieprzeciętnym stanowisku jest zawsze groźnym nieporozumieniem. Przyzwyczailiśmy się do oceny, że tylko sataniczni geniusze jak Stalin czy Hitler bywają podpalaczami świata.

Politycy, którzy spowodowali wybuch pierwszej wojny światowej byli

rozpaczliwie przeciętni i prozaiczni. Konflikt był stosunkowo łatwy do zażegnania, brakło jednak wybitnych mężów stanu w Europie.

Przeciętni politycy — choć są na ogół ostrożniejsi — popełniają więcej błędów niż politycy wybitni. Przeciętny polityk nie umie również „zjeść swojego kapelusza” — by użyć angielskiej frazy — ponieważ na upokorzenie może sobie pozwolić tylko ktoś o znacznym autorytecie. Chruszczow „zjadł własny kapelusz” i wycofał sowieckie rakiety z Kuby. Breżniew na jego miejscu bałby się, że nie przeżyje takiej kompromitacji.

Gdyby Chruszczow był przy sterze w czasie kryzysu czechosłowackiego — krzyczałby na Dubczeka nie przebierając w słowach — lecz w mojej opinii do inwazji by nie doszło. Prawdziwa ostrożność jest bowiem produktem inteligencji a w każdym razie sprytu. Breżniew nie jest ani inteligentny ani sprytny.

EWOLUCJA NEUTRALIZMU

Szwecja nie brała udziału w żadnej wojnie od roku 1814. Polakowi dziwne jest pomyśleć, że żołnierze szwedzcy od trzech pokoleń nie mają bojowych odznaczeń.

Rewolucje, dwie wojny światowe — to wszystko ominęło Szwecję, która z pedanterią przestrzegała statusu neutralnego. Neutralność polega na tym, że nie przystępuje się do sojuszu, nie bierze się udziału w konfliktach — natomiast handluje się ze wszystkimi. Zgodnie z powyższą zasadą Szwecja eksportowała towary przemysłowe do hitlerowskich Niemiec w okresie drugiej wojny światowej. Wstrzymanie eksportu oznaczałoby bowiem faworyzowanie jednej ze stron w sporze — w tym wypadku koalicji anty-niemieckiej co byłoby sprzeczne z zasadą neutralności.

Okazuje się jednak, że w współczesnym świecie bardzo trudno jest przestrzegać zasady absolutnej neutralności i nie być po niczyjej stronie w takich sprawach jak Wietnam, problemy rasowe, rewolucje wyzwolenie itp. Szwedom owa „bezstronność” przychodzi trudniej niż komukolwiek innemu, ponieważ mają doskonale zorganizowane państwo i — jeżeli wolno tak się wyrazić — cierpią z powodu braku własnych „wielkich spraw”.

W prasie amerykańskiej ewolucje neutralizmu szwedzkiego poddano krytyce — w mojej opinii nie we wszystkich punktach słusznej. Oczywiście główny zarzut dotyczy Wietnamu. W Szwecji przebywa w tej chwili około 300 amerykańskich dezertków, którzy otrzymują zapomogi, wysokiej klasy „wikt i opierunek”, oraz pieniądze na drobne wydatki. Rząd opłaca również nauczycieli, którzy uczą tych młodzieńców po szwedzku.

Z amerykańskiego punktu widzenia owych 300 żołnierzy to są pospolici dezertkerzy, którzy powinni być wydani władzom amerykańskim i postawieni przed sądem wojskowym.

Szwedzi natomiast uważają, że żołnierze o których mowa — odmówili posłuszeństwa swoim władzom, ze względów ideowych i ponieważ w ich ojczyźnie grożą im represje — mają prawo domagać się w Szwecji azylu.

W mojej prywatnej opinii prawdopodobnie tylko mały procent z owych 300 walecznych — to są prawdziwi ideowcy. Natomiast pozostała reszta to są zwyczajni dezertkerzy, których nigdy nie brak w żadnej wojnie. Lecz istota zagadnienia nie polega na tym kto ma rację w tym konkretnym wy-

padku, tylko czy postępowanie Szwedów zgodne jest ze statusem państwa neutralnego.

Szwecja jest jednym z nielicznych państw zachodnich, które utrzymują dyplomatyczne stosunki z Północnym Wietnamem. Ów fakt nie wydaje się sprzeczny z zasadą neutralności — gdyż państwa neutralne mogą utrzymywać stosunki dyplomatyczne z każdym rządem.

Jak jednak ocenić następujący epizod? W ubiegłym roku w Sztokholmie odbywała się potężna demonstracja anty-amerykańska z transparentami, pochodniami itp. Na czele pochodu kroczyli ramię przy ramieniu dyplomaci Hanoi i p. Olof Palme, minister oświaty i prawa ręka premiera Erlandera.

Bezpośrednio po owej demonstracji ambasador amerykański w Sztokholmie został wezwany do Waszyngtonu na konsultację i co dziwniejsze — z owej konsultacji nigdy do stolicy Szwecji nie powrócił.

Trzeba jednak zaznaczyć, że Szwedzi organizują demonstracje nie tylko w sprawie Wietnamu. Rząd Szwedzki pierwszy potępił agresję przeciwko Czechosłowacji i dał schronienie około 2.500 uchodźcom czechosłowackim.

W bieżącym miesiącu prem. Erlander, który zbliża się do 70-ki przejdzie na emeryturę. Wydaje się, że jego miejsce zajmie Olof Palme, który jest politykiem wybitnie lewicowym.

Amerykanie uważają, że nie można odrzucać koncepcji sojuszków i równocześnie popierać jedną ze stron w sporze jak np. Wietnam. Nie wydaje mi się by to była słuszna interpretacja. Neutralności nie można identyfikować z indyferentyzmem czy z brakiem własnej opinii w odniesieniu do problemów współczesnego świata. Nie jest również sprzeczne z neutralizmem hołdowanie określonej ideologii. Dane państwo może być socjalistyczne i neutralne równocześnie.

Szwedzi podkreślają, że choć w sprawie Wietnamu zajmują stanowisko anty-amerykańskie — gdyby doszło do konfliktu amerykańsko-sowieckiego stanęliby po stronie Stanów Zjednoczonych.

W dzisiejszej epoce neutralizm ogranicza się do strony formalnej. Szwecja nie jest sojusznikiem północnego Wietnamu i nie bierze udziału w walce. Lecz popiera północny Wietnam „innymi środkami” i gotowa jest pomóc na wielką skalę Wietnamowi, gdy pokój zostanie zawarty. W oczach Szwedów północni Wietnamczycy walczą o wolność swojego narodu i z tej przyczyny zasługują na poparcie. Powyższa ocena może być częściowo lub nawet całkowicie błędna — lecz niewątpliwie wpływa z idealistycznych pobudek. Szwedzi nie mają żadnych interesów w południowowschodniej Azji.

Politycy szwedzcy potępiają politykę *apartheid* w Południowej Afryce — potępiają również obecne reżymy w Rodezji, w Grecji i w Hiszpanii. Są zagorzałymi zwolennikami demokracji i równie zagorzałymi przeciwnikami wszelkich form kolonializmu. Ponieważ są neutralni nie muszą poddawać się konformizmowi takiego czy innego hegemonu i mogą sobie pozwolić na luksus własnego zdania w każdej sprawie. To jest niewątpliwie jeden z cenniejszych przywilejów neutralizmu.

AMERYKO, AMERYKO...

Problem przedstawia się następująco. Stany Zjednoczone są największym rynkiem zbytu *Kultury*. Równocześnie nie mamy w Ameryce stałego kores-

pondenta a sprawy polonijne traktowane są na łamach naszego miesięcznika po macoszemu. Wielu moich amerykańskich Czytelników pragnąc temu zaradzić przysyła mi regularnie paczki pism amerykańskich i polonijnych. Otrzymuję również setki wycinków z prasy polonijnej a moi zacni korespondenci coraz częściej dają mi do zrozumienia, że są rozczarowani brakiem jakiegokolwiek postępu w mojej amerykańskiej edukacji.

W miarę czasu i możliwości czytam przesłane mi materiały i właśnie owa lektura przekonała mnie, że powojenna polska emigracja w Ameryce oraz Polonia — to jest *a world apart*, świat sam dla siebie — ogromny, skomplikowany i nieporównywalny z żadnym innym polskim osiedliskiem na tym globie. O sprawach Polaków amerykańskich ani nie potrafiłbym pisać, ani nie śmiałbym pisać. Nie byłem nigdy w Ameryce, nie wyczuwam tego różnorodnego środowiska i problematykę polonijną znam tylko z prasy i z listów moich znajomych. Nie można być korespondentem amerykańskim *Kultury* mieszkając stale w Londynie i nasi przyjaciele zza Oceanu muszą się z tym pogodzić.

Tego lata rozmawiałem o powyższych sprawach z kilku Polakami amerykańskimi, którzy odwiedzili Londyn w przejeździe na kontynent. Oświadczyłem im co następuje. Nie ma w tym nic dziwnego, że Londyńczyk nie pisuje na łamach *Kultury*, o sprawach dotyczących Polaków amerykańskich. Jest natomiast bardzo dziwne, że Polacy amerykańscy sami tego nie robią. Z punktu widzenia geografii czytelniczej *Kultura* jest w znacznie większej mierze pismem polsko-amerykańskim niż polsko-brytyjskim, czy polsko-francuskim. W Stanach Zjednoczonych mamy całą armię polskich uczonych, pisarzy i dziennikarzy — a pośród nich wiele jednostek bardzo wybitnych. Polakom amerykańskim Londyńczyk jest najzupełniej niepotrzebny ponieważ dziennikarzy klasy Londyńczyka mają na kopy. Jednak ci dziennikarze i pisarze nie pisują do *Kultury* pomimo, że większość naszych Czytelników mieszka nie w Wielkiej Brytanii tylko w Stanach Zjednoczonych.

W rozmowach z moimi polsko-amerykańskimi znajomymi starałem się dotrzeć do źródła sprawy i przyznaję, że otrzymałem jasną i konkretną odpowiedź: W porównaniu z pismami amerykańskimi *Kultura* z dziennikarskiego punktu widzenia nie jest propozycją handlową. Płacimy zbyt małe honoraria by opłacało się do nas pisać. Nie byłoby żadnych trudności w znalezieniu amerykańskiego korespondenta *Kultury*, gdybyśmy mogli zapłacić odpowiednią pensję.

Od wojny upłynęło 30 lat. Do Ameryki jedzie się po to aby się dorobić. Mała grupa „Benedyktynów” (sic!) w Maisons-Laffitte nakładem wielkiej pracy i rezygnacji z dorabiania się — wydaje *Kulturę*, *Zeszyty Historyczne*, książki i tym „Benedyktynom” polskości należy się najwyższy szacunek i uznanie. Lecz od Polaków amerykańskich nie można ani wymagać ani oczekiwać, że wstępować będą do „zakonu” w Maisons-Laffitte. Nie można oczekiwać, że dziennikarz polski w Ameryce będzie „za pół ceny” pisywał wyczerpujące korespondencje do *Kultury* i tym samym pozbawiał się solidnego zarobku gdzie indziej.

To wszystko nie jest przyziemny materializm czy brak entuzjazmu dla sprawy. Tak po prostu wygląda amerykańska modła życia i na tym kropka.

Przyrównanie redakcji w Maisons-Laffitte do Benedyktynów bardzo mi się podobało i w pewnej mierze uważam je za słuszne. Niemniej, jako dziennikarz polityczny boleję nad tym, że *Kultura* choć dobrze rozechodzi się

w Ameryce nie ma w tej wspaniałej Ameryce swojego stałego korespondenta. Lecz tak to wygląda.

M A R I A N O W I E

Wspomnienie osobiste. Najlepszymi moimi przyjaciółmi w Krakowie byli Dr Marian Horowitz i Dr Helena Horowitz. Marian był wziętym młodym adwokatem — jego żona historyczką sztuki i naukowcem. Oboje byli postępowi, liberalni, świetnie czytani i zamożni. Dyskutowaliśmy o wszystkim, często do białego rana, i nigdy nie zauważyłem jakichkolwiek podstawowych różnic poglądowych między nami.

Helena była jasną blondynką o czystych niebieskich oczach. Jeździła po Krakowie nie samochodem, lecz powozem zaprzężonym w białe konie. Młoda, staroświecka, piękna pani — taka jaką należało być w Krakowie.

15 sierpnia 1939 r. musiałem przerwać urlop i wrócić do redakcji IKC. Marianów w Krakowie nie zastałem. Zjawili się niespodziewanie 18-go. Tego wieczoru byłem u nich na kolacji. Już w przedpokoju Marian powiedział mi wielką nowinę:

— Kupiłem dom w Pińsku i jutro odwożę tam Helenę.

— W Pińsku?!?

Marian się zachnął:

— Tam przecież chyba nie dojdą?

— Kto nie dojdzie?

— Niemcy — przecież o Niemców tylko chodzi.

Wówczas po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że jednak coś istotnego nas różni. Marian nienawidził Niemców podobnie jak ja, lecz nie dzielił ze mną instynktownej, dziedzicznej nieufności do Rosji. W moim wyczuciu (do racjonalnej oceny nie było jeszcze podstaw) — wyjazd do Pińska był szaleństwem.

Marian jako adwokat prowadził wiele spraw mojego stryja i później moich. Był przyzwyczajony od lat do tego, że akceptowałem zawsze jego decyzje jako w danej sprawie najtrafniejsze i najmądrzejsze. Z tej przyczyny był zirytowany i zdumiony moją gwałtowną krytyką projektu pińskiego. Był zdumiony uporem i emocją z jaką starałem się odwieść go od tego zamiaru.

Jest rzeczą trudną i w pewnym sensie rozpaczliwą dyskutowanie problemu, w którym jest się absolutnie pewnym swojego stanowiska — choć nie ma się w ręce żadnych konkretnych dowodów. Owey nocy byłem całkowicie pewien, że jeżeli dojdzie do wojny Rosjanie nie pozostaną neutralni tylko pchną nam nóż w plecy. Byłem tego tak pewien, że nie potrafiłem zdławić gniewu i rozdrażnienia spowodowanego faktem, że Marian ze swoją błyskawiczną inteligencją nie widzi rzeczy, która dla mnie była tak oczywista, że nie było potrzeby jej udawadniać.

Powiedzieliśmy sobie tej ostatniej nocy wiele przykrych i gorzkich słów. Marian wypomnił mi nawet ziemiańskie pochodzenie starając się ośmieszyć moją nieufność do Rosji jako produkt wychowania klasowego.

Horowitzowie byli wybitną rodziną i mieli zamożnych krewnych niemal na całym świecie. Marian był mocny i wysportowany lecz Helusia była delikatna i jakby utkana z jedwabiu. W pewnym momencie powiedziałem

Marianowi: „Wojny jeszcze nie ma — komunikacja funkcjonuje normalnie — dlaczego nie wywieziesz Heleny do Nowego Jorku? Tam nie dojdą ani Niemcy ani Rosjanie”.

Marian spurpurowiał. „Za kogo ty mnie masz” — zaczął krzyczeć — „ty myślisz, że ja będę uciekał z Polski wtedy, kiedy jej trzeba będzie bronić, może do upadłego”.

W kilka dni później — daty nie pamiętam — Marianowie wyjechali do Pińska. Pochłonęła ich noc, z której już nigdy nie wrócili pomiędzy żywych.

Straciłem najlepszych przyjaciół jakich w życiu miałem. Bolesnie pomyśleć, że gdyby Marianowie ocalili — musieliby dziś z Polski uciekać nie przed Niemcami tylko przed Polakami.

DONOSY I ANONIMY

Otrzymałem list — jeden z wielu — podpisany: X.M. Z cytowanego listu przedrukowuję następujący fragment:

„Kler polski na emigracji nigdy nie odrywał się od swej życiodajnej matki ziemi polskiej, godził zawsze i będzie godził głoszenie zasad wiary chrześcijańskiej z umiłowaniem Ojczyzny, którą oddano opiece Najświętszej Pannie Marii.

A ty, bluźnierco, sprzedajesz swą nędną duszę odwiecznym, niemieckim przesładowcom Polaków i innym heretykom, za nędzne 30 srebrników. Anathema sit na twą grzeszną duszę. Pouczasz nas a sam kupujesz paszport od tych, którzy wymordowali miliony Polaków, w tym tysiące księży i zakonników polskich. Czynisz to w interesie egoistycznego, doczesnego dobra.

Związałeś się z bezbożnym pismem, które nie ma nic wspólnego z emigracją polską, a służy jedynie interesom wrogów Polski i religii.

Śługa Boży wzywa cię do powrotu z błędnej otcłłani”.

Komentarze wydają się zbędne. List księdza M. włączyłem do moich archiwów jako bardzo drobny, lecz charakterystyczny, przyczynek do dziejów naszej emigracji.

LONDYŃCZYK

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Wakacje w Pradze

Jadąc na trzytygodniowe wakacje do Jugosławii odwiedziłem moich czeskich przyjaciół, którzy studiują w Pradze. Powiedzieli mi wówczas — postaraj się przyjechać do Pragi w rocznicę inwazji na Czechosłowację, chcemy uczcić ten dzień, aby pokazać okupantom, że nie pogodziliśmy się z faktem ich obecności w naszym kraju.

Mimo ostrej kontroli w fabrykach i urzędach, mimo zamykania na klucz maszyn do pisania, cały kraj znał treść rozpowszechnianej na początku sierpnia ulotki* zawierającej apel do obywateli, aby zjednoczyć ich reakcję i wspólnym wysiłkiem zaprotestować.

Niepokoje rozpoczęły się już na dwa dni przed rocznicą. Kiedy 20 sierpnia znalazłem się na ulicach Pragi uwagę moją zwróciły przede wszystkim liczne i wzmocnione wojskiem patrole policji i tzw. ludowej milicji. Pomnik na placu Wacława otoczony kordonem policjantów. Na chodnikach tłum ludzi. Wszyscy stoją w milczeniu. Po godzinie 16 tłum rośnie, ale ludzie zachowują się spokojnie. W pewnej chwili z chodnika wybiega kilkunastoletnia dziewczyna. Trzymając w ręku bukiet kwiatów próbuje dotrzeć do pomnika. Już po kilkunastu krokach zostaje zatrzymana przez otaczających ją policjantów, któryś wyrywa jej z rąk kwiaty, inny brutalnie popycha ją w stronę parkującego samochodu policyjnego. Ponieważ dziewczyna opiera się zostaje dosłownie zawleczona do wozu. Stojący na ulicy ludzie krzyczą i gwizdzą, zaczyna się zbiorowe skandowanie: ge-sta-po, ge-sta-po, ge-sta-po, inni policjanci osłaniają swoich kolegów usiłujących uporać się z dziewczyną. Korzystając z zamieszania podbiega do pomnika młody, może kilkunastoletni chłopak. Kładzie pod cokołem dwie duże fotografie — prezydenta Masaryka i prezydenta Svobody. Już nadbiega policjant zamierzając się pałą w stronę chłopca.

* Zamieszczona w *Kulturze* Nr 9/264.

Ten jest jednak szybszy i udaje mu się umknąć w tłum. Zderzany policjant zawraca w stronę pomnika, chwytając stojące tam fotografie i z furią drze w strzępy najpierw portret prezydenta Masaryka, a następnie portret prezydenta Svobody. Ludzie są zaskoczeni reakcją policjanta. Kto pozwolił mu na takie zachowanie się? Wzmagające się gwizdy zagłusza ryk silników jadących od strony Muzeum samochodów pancernych. Wozy, wypełnione policjantami, ustawiają się w szyku. Przed wozy wysuwa się policyjny samochód z megafonem i ogłasza komunikat nawołujący obecnych do opuszczenia placu. Nie słyszę końcówki komunikatu ponieważ zagłusza go krzyk zgromadzonych ludzi. Samochody pancerne wjeżdżają na chodniki spychając ludzi w dół placu. Z bocznych ulic wyłaniają się nowe grupy policji. Są przygotowani do starć z tłumem. Na głowach białe kaski, w rękach długie białe pałki, do pasów przytroczone maski przeciwgazowe. Policjanci ustawiają się w trzech szeregach zajmując całą szerokość placu. Za nimi wozy pancerne i opancerzone działko wodne. W dole, na jednej trzeciej długości placu, zatrzymali się ludzie zepchnięci spod pomnika. Chodniki nie mieszczą już wszystkich, tłum wylewa się na jezdnię. Na moment zapanowała zupełna cisza. Przesuwam się na czoło tłumowi i widzę dokładnie stojącą dwieście metrów przede mną tyralierę policji. Radiowóz nawołuje zebranych do opuszczenia placu nie podając żadnych powodów, grożąc natomiast natychmiastowymi represjami sił policyjnych z użyciem pałek, gazu i wody. Z tłumy rozlegają się okrzyki i gwizdy. Policja otrzymuje rozkaz natarcia. Huk strzelających wyrzutni gazów łzawiących, pierwsze granaty padają przed linią tłumów. Ludzie cofają się, policjanci są coraz bliżej. Na placu jest wielu przypadkowych przechodniów, są zaskoczeni sytuacją, nie wszyscy mogą biec aby uchronić się przed zbliżającym się kordonem policjantów. Wiele osób chowa się w bramach i licznych wokół placu pasażach. Tych policja zostawia w spokoju, po co się trudzić. Wystarczy wrzucić do bramy lub pasaży kilka granatów z gazem, a efekt jest wiadomy. Na domiar złego jest ładna bezwietrzna pogoda, gaz snuje się nisko nad jezdnią. Pasaże przemieniają się w komory gazowe. Biegnę wraz z innymi w stronę ulicy zamykającej wylot placu Waclawa. Wszyscy skandujemy ge-sta-po, ge-sta-po, coraz więcej granatów pada w środek tłumów. Ostry gaz szczypie w oczy i powoduje kaszel. Tłum zajmuje jednak ciągle pokojową postawę, jedyną formą obrony jest odrzucanie w stronę nadchodzących policjantów wystrzelonych przez nich granatów nim te zaczną dymić. Wielu policjantów nie założyło masek, są zdeorganizowani, szeregi ich załamują się. Nadchodzi jednak wsparcie — w tłum wjeżdżają samochody pancerne i działko wodne. Silny strumień wody przewraca idącą z zakupami starszą kobietę, kilka osób podbiega aby pomóc jej wstać, wszyscy zostają zatrzymani i odprowadzeni do wozu policyjnego. Tłum został rozbity na dwie duże grupy — jedna jest zepchnięta do ulicy Narodni Trzida, a druga do ulicy Przikopy. Jestem w pierwszej grupie, która pod naporem wozów pancernych wyco-

fuje się dalej zatrzymując się dopiero na placu Jungmana. Tu rozpoczęła się już po chwili formalna bitwa między policjantami i demonstrantami. Wśród demonstrantów młodzi stanowią większość. W poprzek ulicy postawiona zostaje barykada. Ilość rzuconego gazu jest tak duża, że widoczność staje się utrudniona. Strumień wody z opancerzonego działka wybija kilka szyb w wystawach sklepowych. Policjanci zrezygnowali z regulaminowej broni i rzucają w demonstrantów kamieniami. Bitwa na kamienie trwa ponad godzinę. Demonstranci odpierają kolejne ataki policji. Jest już bardzo późno, postanawiam wracać do domu. Przebiegam się bocznymi ulicami w stronę Starego Miasta, po drodze słyszę strzały. Napotkani ludzie mówią, że są ofiary.

Następnego dnia rano spotykam się z czeskimi kolegami. Jeden z nich był naocznym świadkiem zastrzelenia młodego chłopaka. Notuję szczegóły. Przeglądamy dzisiejszą gazetę. Oficjalny komunikat czeskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 21 sierpnia informuje, że w rezultacie strzelaniny spowodowanej przez grupy uzbrojonych kryminalistów zabitych zostało dwóch obywateli. Zabójstwo miało miejsce, głosi dalej komunikat, koło sklepu Loveny na Narodni Trzidzie, gdzie uzbrojone grupy użyły broni raniąc przy tym ponad trzydziestu funkcjonariuszy MSW i ludowej milicji. Oddziały ludowej milicji odpowiedziały ogniem w rezultacie czego zginęli dwaj młodzi ludzie.

Komunikat z dnia 22 sierpnia, ogłoszony przez KC KPCz nie podaje już żadnych szczegółów dotyczących okoliczności śmierci dwóch młodych ludzi łącząc ten fakt ze śmiercią trzech osób w Brnie. Relacje naocznych świadków uzupełniają te nader skąpe oficjalne wyjaśnienia.

Mówi 21-letni student — Honza W.:

— „W dniu 20 sierpnia ok. godz. 20 byłem na Przikopach wypełnionych całkowicie demonstrantami, w większości młodymi ludźmi. Policja używając granatów z gazem łzawiącym i oblewając demonstrantów wodą bezskutecznie usiłowała rozprędzić tłum. W odpowiedzi na brutalne ataki policji w połowie ul. Przikopy wyrasta barykada z ławek. Demonstranci bronią się rzucając kamieniami i odrzucając granaty z gazem łzawiącym. Policjanci rzucają w nas również kamieniami, a także strzelają z pistoletów nabojami gazowymi. Oprócz policjantów, żołnierzy czy funkcjonariuszy ludowej milicji nikt z pozostałych znajdujących się na ulicy nie miał żadnej broni. W ciągu dwóch dni nie widziałem aby ktokolwiek z demonstrantów miał jakąś broń. Kolejne ataki policji zmusiły nas do opuszczenia barykady. Kilkadziesiąt metrów dalej wyrasta druga barykada, tym razem płonąca. Samochody pancerne rozbijają kolejną barykadę, a demonstranci wyparci są na mały placik przy Przasnej Bramie. Wkrótce po godz. 22 rozpoczyna się kolejny atak policji, który jednak udaje nam się odeprzeć. Niektórzy z obecnych zauważyli, że za naszymi plecami parkuje ciężarowy samochód Tatra V3S przykryty plandeką. Jak się okazało wewnątrz siedzieli funkcjonariusze ludowej milicji

w ciemnoszarych hełmach. Obrzuciliśmy samochód kamieniami. Z samochodu oddano w stronę demonstrantów kilkanaście strzałów. W momencie kolejnego wystrzału upadł obok mnie młody chłopak. Podbiegliśmy do niego, był trafiony w okolice serca. Nie znam jego nazwiska, a przedtem nie widziałem go nigdy, tak jak nie znam nikogo z pozostałych uczestników demonstracji. Byliśmy grupą, która oddzieliła się od całości demonstrantów na skutek parcelacyjnych manewrów policji. Wraz z dwoma innymi chłopcami podnieśliśmy leżącego, był on prawdopodobnie martwy. Ułożyliśmy go wewnątrz małego samochodu osobowego, który odjechał. Słyszałem od innych, że zaraz potem trafiona została młoda dziewczyna”.

Chciałbym dodać, że chłopak zastrzelony został na rogu ulicy przy Przasnej Bramie i Obecnim Domu.

Mówi 24-letni robotnik Jaroslav S.:

— „Przyszedłem krótko po 22.00 na róg ulicy przy Przasnej Bramie i Obecnim Domu. Widziałem, że do jasnego wozu Renault 4CV, który miał praską rejestrację kilka osób wkłada martwego lub ciężko rannego młodego mężczyznę. Zapytani wyjaśnili mi, że zastrzelili go funkcjonariusze ludowej milicji”.

Dodajmy jeszcze, że z kilkudziesięciu relacji uczestników demonstracji wynika, że:

- obywatele nie byli uzbrojeni,
- policja była wyjątkowo brutalna bijąc kobiety i dziewczęta, których jedynym przewinieniem było tylko to, że w momencie konfliktu znalazły się w danym miejscu,
- jedyną bronią demonstrantów były kamienie i granaty z gazem łzawiącym odrzucane z powrotem na policję i wojsko,
- do wypadków niszczenia mienia społecznego dochodziło bardzo rzadko, nie licząc zniszczonych wozów policyjnych. W wielu wypadkach sami policjanci wybijali szyby rzucając niecelnie kamieniami,
- najbrutalniejsi byli funkcjonariusze MSW w białych hełmach, którzy bili demonstrujących długimi białymi pałkami po raz pierwszy zastosowanymi przez czeską policję. Te specjalne pałki, hełmy, a także wyrzutnie granatów gazowych to podobno import z Polski — prawdopodobnie pozostałości z pomarcowych remanentów.

Po sporządzeniu notatek udajemy się na plac Wacława. Zbliża się godz. 12. Chcemy wziąć udział w pokojowej manifestacji protestacyjnej. Na chodnikach tłumi ludzi, tramwaje i autobusy jeżdżą puste. Jeden z punktów rozpowszechnianej ulotki przewidywał całkowitą ignorację środków komunikacji. Z trudem przepychamy się w okolicę pomnika Wacława. Nad placem krążą policyjne helikoptery. Ludzie w powadze i spokoju oczekują godz. 12-tą. Wiele osób ubranych jest na czarno inni mają w klapach marynarek miniaturkę flagi przepasanej krepą. Mała ilość poli-

cjantów wokół pomnika wskazywałyaby na to, że władze nie liczyły się z możliwością dojścia do skutku tej manifestacji. Jak się dowiaduję ludzie opuścili fabryki i biura wbrew surowym zakazom.

Jednoczesny ryk klaksonów samochodowych oznajmia południe. Słychać syreny fabryk. Ludzie krzyczą, wszyscy biegną na środek placu, formuje się zaaranżowany pochód. Na czele kilka osób z kwiatami przepasanymi czarną wstążką. Tłum zaczyna skandować, Dub-czek, Dub-czek, Dub-czek. Trudno jest ocenić ilość manifestantów, wszyscy zachowują się spokojnie nikt nie demoluje sklepów ani nie rozbija samochodów. Okna okolicznych budynków pełne głów. Pochód dochodzi do końca placu Waclawa, ludzie skandują: Ro-sja-nie do do-mu, Ro-sja-nie do do-mu. Duża grupa młodzieży siada na ziemi, przybywa coraz więcej osób, pochód kieruje się z powrotem w górę placu. Tam, wokół pomnika pojawiły się już nowe oddziały policji. W bocznych ulicach samochody ciężarowe wypełnione żołnierzami. Kilka tysięcy osób szturmuje pomnik Waclawa, kilku udaje się wejść na cokół. Następuje natychmiastowy kontratak policji i wszystko znowu powtarza się. Granaty gazowe, pałki, samochody pancerne — niezawodne argumenty przywołujące obywateli do socjalistycznej rzeczywistości. Starcia z policją trwają do późnych godzin wieczornych. Ilość aresztowanych liczy się już na tysiące. Rozbestwieni policjanci jeżdżą w wozach pancernych po pustych ulicach i rzucają na oślep granaty z gazem. Wiele ulic jest zamkniętych. Poruszanie się po mieście przypomina drogę przez labirynt. Nie ma już demonstrantów, pojedyncze grupki pierzchają po bramach, w mieście jest cicho, ale nie długo. Groźny pomruk silników narasta od strony Wełtawy. Sytuacja jak przed rokiem, znowu czołgi na ulicach Pragi. Tym razem czeskie. Nie było powodu wprowadzenia czołgów do miasta, a mimo to naliczyłem ich 62. To już tylko demonstracja siły. Zaczynam się gubić w rozumowaniu, kto tu przeciwko komu? A może chodzi o kolejną prowokację, aby mieć „niezbite dowody” na konieczność wprowadzenia dalszych konsekwencji prawnych, a właściwie bezprawnych. Następnego dnia przynosi komunikat o nadzwyczajnych uchwałach czeskiego parlamentu. Na pierwszym miejscu podpisany jest Dubczek, ten sam którego nazwisko skandowaliśmy na placu Waclawa w rocznicę braterskiej ingerencji zaprzyjaźnionych armii socjalistycznych... Ludzie nie dajmy się zwariować.



Studenci w Pradze opowiedzieli mi zabawną historię, którą warto by opowiedzieć studentom w Polsce. Po powrocie z Moskwy G. Husak miał w Brnie spotkanie ze studentami i młodymi robotnikami. Chodziło o uprzedzenie zebranych, że robienie jakichkolwiek demonstracji w związku z rocznicą inwazji na Czechosłowację jest czynem wysoce nietaktownym w stosunku do bratnich narodów Związku Sowieckiego. Po krótkim wprowadze-

niu organizatorów na mównicę wchodzi Husak z zamiarem wygłoszenia przemówienia. Wita go ogromny aplauz sali. Lewa strona sali zaczyna skandować: „Niech żyje Związek Radziecki”. Na twarzy Husaka pojawia się uśmiech, podnosi obie ręce w górę, chciałby zacząć przemawiać. Nic z tego, sala skanduje swoje hasło przez pół godziny. Kiedy wreszcie milkną i zdaje się, że tow. Husak wreszcie zacznie mówić prawa połowa sali zaczyna skandować: „Niech żyje KPCz”. Po drugiej pół godzinie Husak zrezygnował. Gdy opuszczał salę obecni zgotowali mu kolejny aplauz.

WARSZAWIANIN



W dniu 21 sierpnia br. pojawiła się w Pradze kolejna ulotka zawierająca bardzo odważny protest nazwany przez autorów „10 punktów”. Autorzy ulotki to znani w życiu społecznym pisarze, dziennikarze, działacze. Dlatego warto chyba zapoznać szersze audytorium z treścią „10 punktów”.

1. Protestujemy przeciwko temu co stało się przed rokiem, ponieważ jest to deptanie międzynarodowego prawa, a pretekst drogi do socjalizmu jest łamaniem zasad zwykłej przyzwoitości. Jesteśmy za dotrzymywaniem wszystkich międzynarodowych umów. Protestujemy przeciwko pogwałcaniu suwerenności naszego kraju, nie zgadzamy się ze sposobem załatwiania spornych problemów międzynarodowych jaki zademonstrowano nam w ubiegłym roku. Uważamy pobyt wojsk radzieckich na naszej ziemi za powód niepokojów i braku szans na istnienie przyjaznych stosunków między naszymi narodami. Zwracamy się do najwyższych organów władzy naszego państwa, aby rozpoczęły pertraktację w sprawie wycofania obcych wojsk.

2. Nie zgadzamy się z polityką stałych ustępstw pod groźbami i protestujemy przeciwko cudzej ingerencji w nasze wewnętrzne sprawy poczynając od kwietnia 1969 r., kiedy wprowadzono na nowo biurokratyczny sposób rządzenia, kiedy rozpoczęły się czystki w aparacie władzy, administracji i gospodarki. Protestujemy przeciwko delegalizacji dobrowolnych organizacji obywatelskich ponieważ ich działalność nie jest antypaństwowa. Potępiamy zakaz koordynacji wyborów w związkach twórczych na podstawie kłamliwych powodów. Nie zgadzamy się z próbami podporządkowania i kontroli działalności związku studentów.

3. Potępiamy cenzurę, jej wprowadzenie postawiło nas pomiędzy politowania godne narody, które nie mogą mówić do siebie ani do świata. Cenzura cofa nas o sto lat wstecz, popiera akty głupoty, likwiduje kontrolę władzy, chroni złych urzędników a w końcu daje szanse wielu politycznym pomyłkom. Jest to krok w kierunku podporządkowania sztuki i wiedzy władzy która potrzebuje tych dziedzin tylko do ozdoby państwowej fasady.

4. Nie uwierzmy zapewnieniom że w przyszłości będzie u nas praworządność i że nie wrócą ponure machinacje urzędów władzy

z lat pięćdziesiątych jeżeli nie będą powołane cywilne organy kontrolujące poczynania władz bezpieczeństwa. Zwracamy uwagę, że zaprzestano pociągać do odpowiedzialności osoby, które nadużyły prawa i że osoby te nadal pozostają na stanowiskach a ostatnio zabrania się wszelkiej krytyki pod ich adresem.

5. Nie uznajemy pozycji partii jako organu bezwzględnej władzy stojącego ponad organami państwowymi. Jesteśmy za tym aby kierowniczka i wiodąca rola partii wynikała z dotrzymywania obietnic i spełniania żądań ludu. Stosunki między politycznymi partiami w Narodowym Froncie nie mogą być inne niż partnerskie.

Szanujemy tych komunistów, którzy starali się wyprowadzić partię z deformacji a którzy traktują swoje powołanie jako służbę dla osiągnięcia tego co nazwaliśmy „socjalizmem z ludzką twarzą”. Popieramy tych, którzy uznają zeszłoroczny zjazd, XIV zjazd partii, za legalny.

6. Obca interwencja w nasze wewnętrzne sprawy przejawiała się najbardziej na płaszczyźnie gospodarczej. Przerwano dyskusję, zatrzymano powstawanie rad robotniczych lub rozwiązano już powstałe. Znowu odczuwamy ekonomiczny nacisk z zewnątrz. Winę za pogłębiający się kryzys przypisuje się ludziom, którzy usiłowali wprowadzić reformę ekonomiczną chociaż każdy wie, że do wprowadzenia reformy nie doszło. Obciąża się także robotników za złą moralność pracy i niski poziom uświadamienia społecznego. W rezultacie robotnik pracuje niechętnie i mało wydajnie ponieważ zdaje sobie sprawę, że efekty jego pracy popierają znienawidzoną administrację, cenzurę, tajną policję, wojsko, propagandę.

Nie może być wydajnej pracy jeżeli jej rezultaty pomagają utrzymać funkcje ludziom, którzy już przed rokiem powinni byli być tych funkcji pozbawieni.

7. Nie zgadzamy się z ciągłym odkładaniem wyborów ponieważ stan istniejący w tej chwili przypomina warunki stanu wyjątkowego. Życzymy sobie aby wybory przeprowadzone zostały w warunkach prawdziwej demokracji socjalistycznej, dającej obywatelom możliwość wybierania i odwoływania własnych przedstawicieli.

8. Cieszymy się, że z bogatego ubiegłorocznego programu demokratyzacji zrealizowano federalizację państwa. Życzymy słowackiemu narodowi sukcesów w rozwoju. Będziemy przeciwstawiać się jakimkolwiek konfliktom narodowościowym, obawiamy się jednak o przyszłość federacji w wypadku sztywnej polityki komitetu centralnego, dla którego fakt ten może pozostać tylko formalnością, a który do wykonywania swej władzy żadnej federalizacji nie potrzebuje.

9. Gdy cenzura tłumy krytykę, gdy brutalne groźby rozwiązywania takich lub innych organów państwowych i organizacji obywatelskich mają zastraszyć ludzi, a różne kreatury polityczne oczerniają na łamach prasy uczciwych obywateli pozbawionych możliwości obrony, gdy atmosfera życia codziennego posępnieje

— ogłaszamy publicznie, że prawo nie zgadzania się „z cesarzem i władzą” jest odwiecznym prawem człowieka. Pytamy się — jak będzie w praktyce zastosowane to prawo u nas? Chcemy mieć prawo krytykowania — z zachowaniem wszelkich norm prawnych — tego wszystkiego co będzie niezgodne ze zdrowym rozsądkiem, a także z tradycją i wolą naszych narodów.

10. Nie jest naszym celem działalność antypaństwowa, a podpisując się pod niniejszym chcemy podkreślić, że wszelkie dyskusje pomiędzy sprawującymi władzę, a społeczeństwem powinny być prowadzone w formie otwartej, pozbawionej elementów nieuczciwości.

Z góry odrzucamy epitety i obelgi których możemy oczekiwać po ukazaniu się naszego oświadczenia. Nie składamy tu deklaracji antypaństwowej, ani tym bardziej nie występujemy przeciwko socjalizmowi. Jesteśmy jednak zwolennikami takiej formy socjalizmu, która byłaby wzorem dla innych krajów — formy wytworzonej przez naród a nie przez grupę sekciarskich dogmatyków. Nie jesteśmy przeciwni utrzymywaniu przyjaznych stosunków z ZSSR, ale nie możemy się zgodzić z sowiecką polityką ingerencji w wewnętrzne sprawy krajów obozu socjalistycznego.

Nasze stanowisko przedstawiamy Federalnemu Zgromadzeniu CSSR, komitetowi centralnemu KPCz.

Dnia 21 sierpnia 1969.

Inż. Rudolf Battek, poseł do Czeskiego Federalnego Zgromadzenia,

Vaclav Havel, pisarz,

doc. dr Lubosz Kohout, politolog,

Karel Kyncl, dziennikarz,

dr Michał Lakatosz, dziennikarz,

Vladimir Neprasz, redaktor *Reportera*,

Ludek Pachman, dziennikarz,

Jan Tesarz, historyk,

Ludvik Vaculik, pisarz,

Josef Wagner, członek Rady Centralnej Organizacji Młodzieży.

Czechosłowacka normalizacja dobiega końca

Sytuacja wewnętrzna w Czechosłowacji od czasu okupacji kraju w sierpniu ubiegłego roku w zasadzie pozostała niezmienio-

na aż do tegorocznej wiosny. W końcu marca agenci STB¹ i zwerbowane przez nich elementy kryminalne sprowokowały atak na zajmowane przez sowietów gmachy i pojazdy wojskowe (koszary w Mlada Boleslav i w Usti nad Łabą, Aeroflot w Pradze, komendantura w Bratysławie). Akcje te posłużyły jako pretekst nie tylko do poważnego ograniczenia praw i swobód obywatelskich ale dostarczyły także pierwszego materiału do ewentualnego procesu przeciwko przewodniczącemu Izby Ludu Josefowi Smrkovskiemu, oskarżonemu w prasie o uczestnictwo w praskiej demonstracji antysowieckiej na Placu Waclawa.

Do kierownictwa czechosłowackiej partii komunistycznej dołączyli się tak zwani „centryści” — Husak i Sztrougal. Centryści tylko w cudzysłowie bowiem ich ataki przeciwko politykom postępowym w KPCz (Kriegelowi, Vodsloniowi, Szabacie, Szikowi, Goldstueckerowi, Kyncłowi) był na rękę stalinowskiej reakcji.

Podobne czystki przeprowadzane są w komitetach i aparacie szczebla wojewódzkiego i powiatowego. Niebawem czystki obejmą także podstawowe organizacje partyjne. Części postępowych komunistów odbiera się legitymacje partyjne, a inni niebezpieczniejsi „rewizjoniści i oportuniści prawicowi” według słów Indry „schodzą do podziemia” i starają się utrzymać się choćby w tymczasowej defensywie.

Po wydarzeniach marcowych, związanych z antysowieckimi demonstracjami, jakie odbyły się po zwycięstwie hokeistów czechosłowackich nad zespołem sowieckim, natychmiast wprowadzono ostrą cenzurę, gorszą niż w dobie panowania Novotnego oraz wydano zakaz publikacji wybitnych czasopism (*Listy, Reporter, Litrek, Studentske Listy, Plamen* itd.). Publicystyka polityczna znikła bez śladu, zastąpiona przez propagandę w stylu lat pięćdziesiątych.

Po zakazaniu (na jesieni) działalności Klubu Zaangażowanych Bezpartyjnych (KAN), stowarzyszenia więźniów politycznych ery stalinizmu (K-231), Katolickiego Dzieła Odnowy Soborowej oraz Socjaldemokracji, obecnie doszło do zlikwidowania Towarzystwa Obrony Praw Człowieka i Związku Studentów Czech i Moraw.

Na czele życia politycznego nie stoją już jedynie znani kolaboranci z ubiegłorocznego sierpnia typu Bilaka, Koldera i Indry ale nawet rehabilituje się zatwardziały zwolenników Novotnego jak na przykład doszczętnie skompromitowany działacz Kapek — obecnie sekretarz wojewódzkiej organizacji partyjnej w Usti nad Łabą i stalinowski generał Rytirz — za Novotnego szef sztabu generalnego, obecnie pełnomocnik przy sowieckich wojskach okupacyjnych „tymczasowo stacjonowanych” w Czechosłowacji.

Dawno już przestało obowiązywać hasło „Jesteśmy z wami, bądźcie z nami”. Oficjalna prasa partyjna systematycznie atakuje reformistów z dubczekowskiego kierownictwa partii a jedność

1. STB — Státní Bezpečnost — Państwowa Służba Bezpieczeństwa (Przyp. tłum.).

narodową z okresu zeszłorocznego lata i jesieni określa się jako „niemarksistowską i nie klasową”.

Przywódcy polityczni dobrze zdają sobie sprawę z izolacji w jakiej się znaleźli. Niedawno *Rudé Právo* i sztrougalowska *Tribuna* ogłosiły wyniki badania opinii publicznej przeprowadzonego wśród młodzieży. Wyniki te są dla partii wprost katastrofalne. Nie tylko spadło zainteresowanie młodzieży sprawami politycznymi, ale również w olbrzymim stopniu zmniejszyło się zaufanie do kierownictwa partyjnego i polityki partii. Bardzo poważnie wzrósł procent młodych otwarcie wypowiadających się za powrotem do kapitalizmu.

Jednocześnie zaczynają się pierwsze procesy polityczne. Pierwszą ofiarą jest publicysta i arcymistrz szachowy Ludek Pachman, oskarżony o „szkodzenie interesom państwa zagranicą”². Tego „przestępstwa” Pachman miał się dopuścić przez opublikowanie swego artykułu w holenderskim piśmie *Het Parool*. Pachman napisał tam, że w Czechosłowacji istnieje podziemie polityczne (reakcyjni ekstremiści — Jodas, Rytirz, Famira) posługujące się metodami faszystowskimi. Wkrótce potem wszczęto postępowanie karne przeciwko komentatorowi telewizyjnemu Władimirowi Szkutininie³, którego oskarża się za to, że stwierdził iż żołnierze sowieccy, którzy w czasie okupacji zastrzelili kilkudziesięciu obywateli Czechosłowacji są w obliczu prawa mordercami, bowiem nie wypowiedziano wojny, oraz za to, że miał się dopuścić „obrazy działacza państwowego” Gustawa Husaka. Obecnie czechosłowacka prasa dosłownie codziennie przynosi wiadomości o aresztowaniach w związku z niezwykle rozpowszechnionym kolportowaniem ulotek z tekstami przemówień dr. Kriegela i Vodslonia wygłoszonych na majowym plenum KC, z tekstami odezw i rezolucji robotniczych organizacji związkowych, artykułami i komentarzami Pavla Tigrida⁴ a przede wszystkim ulotek wzywających do demonstracji i bojkotu komunikacji komunalnej, miejskiego handlu, lokali rozrywkowych i prasy w dniu pierwszej rocznicy okupacji — 21 sierpnia.

Na Zachodzie często spotykamy się z opinią, że ten kurs praskiego kierownictwa jest na dłuższą metę nie do utrzymania. Nieustanny spadek poparcia społeczeństwa czechosłowackiego udzielanego kierownictwu partii i państwa traktuje się jako przesłankę do twierdzeń, że praskie kierownictwo będzie zmuszone złagodzić swą politykę i poczynić pewne ustępstwa, aby w ten sposób zyskać pewne chociażby zaufanie ludności.

Jeśli wniosek taki nie jest zupełnie fałszywy to przynajmniej zbyt pochopny.

Przywódcy partyjni i prasa nie mówią przecież nic o zaufaniu

2. Pachman został aresztowany i w więzieniu czeka na proces. (przyp. tłum.).

3. Szkutina przebywa zagranicą, więc grozi mu jedynie proces zaoczny (przyp. tłum.).

4. Pavel Tigrid mieszka w Paryżu, wydaje kwartalnik *Swiedectvi*. (przyp. tłum.).

i poparciu. Team Husak-Sztrougal wyraźnie daje do zrozumienia, że nie dba o jedność narodu i że swych przyjaciół i współpracowników wybiera z „klasowego” (czytaj prosowieckiego) punktu wrodzenia. W słowniku propagandy partyjnej słowa „zaufanie” i „poparcie” pojawiają się już bardzo rzadko, natomiast „władza” i „kierownicza rola partii” to słowa, które ponownie robią karierę. Stale, nieustannie powtarza się, że walka o władzę skończyła się w lutym 1948 roku raz na zawsze i że partia nie tylko nie ma zamiaru zrzec się władzy ale nawet władzy tej nie będzie z nikim dzielić. Pluralizm polityczny ogłoszony został „ideologią antysocjalistyczną”.

Dzisiejszy okres jest więc swego rodzaju „GODZINĄ PRAWDY”. Chodzi jedynie o władzę, o jej utrzymanie.

Partia nie robi sobie żadnych iluzji. Wątpię aby ideolodzy partyjni rzeczywiście wierzyli w możliwość pozyskania młodzieży dla „pracy politycznej” skoro w roku ubiegłym wyraźnie okazało się, że młodzieży tej nie pozyskano w czasie dwudziestu lat ideologicznej kwarantanny i systematycznej indoktrynacji, prowadzonej w warunkach o wiele korzystniejszych niż dzisiejsze.

Podobnie jak wszystkie reżimy konserwatywne, tak i reżym praski szuka poparcia u pokoleń starszych. Język i sposób argumentacji *Rudeho Prava* i *Tribuny* (a obecnie także radia i telewizji) przemawia jedynie do najstarszych a równocześnie najbardziej prymitywnych i najmniej wykształconych grup członków partii. Tak zwane „Towarzystwo Przyjaźni Czechosłowacko-Sowieckiej”, które może stać się trzodem nowej partii o ile nie uda się spacyfikować opornej większości członków KPCz, jest stowarzyszeniem weteranów. Obecnie apele praskiego kierownictwa są akceptowane jedynie przez tych, których egzystencja nierozzerwalnie łączy się z przynależnością do partii, a więc przez aparatczyków, dostojników i policjantów, wreszcie — niewykwalifikowanych pracowników zajmujących wysokie stanowiska. Ludzie ci są związani nie tylko z partią ale z jej monopolem władzy. To oni w zeszłym roku czuli się najbardziej żywotnie zagrożeni przez nowy model polityczny i ekonomiczny.

Liczebność zwolenników Sztrougala (którego znaczenie i wpływ są dużo poważniejsze niż Husaka), którzy z nadzieją witają powrót do stalinizmu, bowiem wszystko mu zawdzięczają, można ocenić na 200 do 300 tysięcy osób. Razem z rodzinami daje to więc 600 do 800 tysięcy Czechów i Słowaków, co czyni 4-6 % ogółu obywateli kraju a równocześnie mniej niż ósmą część ogółu członków Komunistycznej Partii Czechosłowacji.

Widać z tego jasno, że tego rodzaju reżym może istnieć jedynie dzięki obecności obcych wojsk, stale gotowych do interwencji w jego obronie. A więc „dyplomacja czołgów” w stylu Berlina 1953, Budapesztu 1956, Pragi 1968.

Od sierpnia słowo „normalizacja” było problematyczne i enigmatyczne. Zgodnie z sowiecką interpretacją ma ono oznaczać przystosowanie sytuacji w Czechosłowacji do warunków całego bloku wschodniego. Reżymy Ulbrichta, Gomułki i Kadara w pełni

zależne są od sowieckiej siły ognia a heretykom Gomułce i Kadarowi okazano łaskę dopiero wtedy, kiedy zależność tę sobie uświadomili, a nawet podnieśli ją do rangi programu.

Tak więc dzięki powrotowi do stalinizmu i dzięki coraz większej zależności od Kremla, reżym czechosłowacki szybko zbliża się do normalizacji.

Praga, początek sierpnia 1969 r.

X. Y. Z.

(Przekład z czeskiego Alfreda Znamierowskiego)

Nowa emigracja polityczna

Upłynął rok od momentu, kiedy wojska pięciu krajów Układu Warszawskiego napadły na Czechosłowację, aby przerwać proces rozpoczęty w styczniu 1968.

Jesteśmy przekonani, że proces ten był jedyną próbą przeobrażenia systemu totalitarnego opartego na przemoc w system społeczny, budowany na zasadach demokratycznych i humanistycznych — system, w którym człowiek stałby się podmiotem wszelkiej pracy politycznej. Była to rewolucja intelektu przeciw brutalnej sile. Przeważająca większość inteligencji czeskiej i słowackiej, wierna swym najlepszym tradycjom oddała wszystkie siły w służbę tego procesu odnowy. Razem ze wszystkimi warstwami narodu przystąpiła do budowy dzieła, w którym swe nadzieje pokładały nie tylko narody Czech i Słowacji ale które także wzbudzało podziw i szacunek całego demokratycznego świata.

Dziś, w sierpniowych dniach 1969 roku, my — intelektualiści czescy i słowaccy, którzy w wyniku posierpniowego rozwoju sytuacji zdecydowaliśmy się opuścić swą ojczyznę, uważamy za swój obowiązek (tym bardziej, że naszych kolegów przemocą zmuszono do milczenia) oświadczyć, że ten pełen nadziei proces odnowy został brutalnie przerwany przez interwencję wojsk pięciu państw Układu Warszawskiego. Nadal uważamy, że okupacja Czechosłowacji przez obce wojska, rzekomo mająca być akcją w obronie socjalizmu, w rzeczywistości była, jak świadczy o tym rozwój sytuacji w czasie ostatniego roku, imperialistyczną akcją policyjną przeciw człowieczeństwu i postępowi. W ten sposób Związek Sowiecki jako żandarm Europy pozostał wierny swym starym tradycjom mocarstwowym. Faktu tego nie może zmienić ani specjalnie opracowana doktryna o ograniczonej suwerenności ani obecna polityka kierownictwa Komunistycznej Partii Czechosłowacji, której celem jest zalegalizowanie sowieckiej interwencji. Stanowisko jakie Komunistyczna Partia Czechosłowacji zajęła na moskiewskiej naradzie partii komunistycznych i robotniczych

w 1969 r. faktycznie stanowi zaprzeczenie państwowej suwerenności Czechosłowacji, a niebezpieczeństwo jej polityki polega przede wszystkim na tym, że daje ona w ręce przywódców sowieckich broń przeciwko wszystkim postępowym siłom na świecie, które potępiały i potępiają sowiecką inwazję Czechosłowacji.

Okupacja Czechosłowacji obnażyła istotę sowieckiej polityki a obecna polityka kierownictwa Komunistycznej Partii Czechosłowacji wykazuje, że KPCz jest partią całkowicie uzależnioną od Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, oraz że swe cele identyfikuje z celami partii sowieckiej. Chcemy wyraźnie stwierdzić, że te cele są nam dziś, po roku okupacji Czechosłowacji, tak samo obce jak w czasie, kiedy prowadziliśmy walkę przeciwko klice Antonina Novotnego.

My, intelektualiści czescy i słowaccy, obecnie przebywający zagranicą, oświadczamy, że nie zrezygnowaliśmy z realizacji ideałów humanizmu i demokracji ku którym dążyliśmy w Czechosłowacji do sierpnia 1968 roku. Przeciwnie, uważamy, że naszym obowiązkiem jest dopomaganie w ich realizacji także i teraz, choć w daleko trudniejszych warunkach.

Stanislav BOR — dramaturg, Joža BULIRZ — architekt, Drahomira BULIRZOVÁ — artystka, Jana BÜRGEROVÁ — artystka, Karel DIRKA — fotograf, Jirži DOSTAL — speaker, Jaroslav DUCHOŇ — lekarz, Ružena DVORZAKOVÁ — lekarka, Karel FRIEDRICH — dziennikarz, Stano GILAN — student, Petr GRYM — dziennikarz, Evžen ILLIN — kompozytor, Viliam JANOVSKÝ — reżyser, Josef JEDLICZKA — pisarz, Benzi KANDLER — grafik, Tomasz KOSTA — wydawca, Danica KOSTOVÁ — dziennikarka, Rudolf KOVACZ — architekt, Jaroslav KUCZERA — dziennikarz, Jirži KUCZERA — lekarz, Evžen LOEBL — profesor, Peter MANDZJUK — grafik, Karel MIKULASZ — filozof, Pavel MINARZIK — speaker, Zdeňka NEUMANNOVÁ — dziennikarka, Peter NOSKOVICZ — speaker, Marcela NOVOTNÁ — dziennikarka, Ladislav PAVLIK — reżyser, Pavel PECHACEK — dziennikarz, Yvona PRZENOSILOVÁ — śpiewaczka, Pavol PUTORA — architekt, Sylva SOUCZKOVA — dziennikarka, Ernest STREDEŇANSKY — reżyser, Ivan SVITAK — filozof, Václav SYROVÝ — operator, Emil SZTEFAN — dziennikarz, Tatiana TADICHOVÁ — bibliotekarka, Karol TIECHNIK — dziennikarz, Ludvik VESELY — dziennikarz, Josef VEDLICH — dziennikarz, Slava VOLNY — dziennikarz.



Wśród nowej, posierpniowej emigracji czeskiej i słowackiej zarysowuje się koncepcja zjednoczenia sił tej emigracji i wypracowania form ruchu politycznego. Młoda inteligencja zaczyna się grupować przy nowopowstałym piśmie *TEXT 69* w Monachium. Redaktorami jego są Slava Volny i Jaroslav Kuczera.

W pierwszym numerze *TEXT* 69 ukazała się deklaracja założycieli pisma, której tekst w tłumaczeniu podaliśmy powyżej.

Redakcja Kultury uważając TEXT 69 za przedłużenie tradycji Literarnich Listov, przekazuje mu nagrodę Kultury w wysokości 5.000 Franków, przyznaną w ubiegłym roku.

TEXT 69

CZECHOSŁOWACKI NIEZALEŻNY MIESIĘCZNIK

Nawiązuje do tradycji czasopism zakazanych
w Czechosłowacji.

Publikuje materiały czołowych czechosłowackich
intelektualistów, zaznajamia czytelników ze
współczesną twórczością autorów czeskich
i słowackich.

Wydaje:

„Bohemia — Czechoslovak Cultural Committee”,

8, München 22, Widenmayerstr. 38.

Prenumerata roczna: 18,00 DM (w przypadku krajów
zamorskich dopłata za przesyłkę lotniczą).

Smutna parafia

W lipcu br. wraz z kolegą socjologiem, po przekroczeniu granicy, zbliżamy się do wsi Nowa Biała. Tradycja głosi, że założył ją węgierski król Béla IV około roku 1260. Pośrodku wsi stoi murowany kościół z 1748 roku, wzniesiony na miejscu starszego — drewnianego.

Zatrzymujemy się przy jednym z mieszkańców, który ochoczo podejmuje się oprowadzić nas po wsi. Wchodzimy do kościoła, który z racji tego, że od lat nie odprawia się w nim mszy świętej, znany jest już w całej Polsce i na Słowacji. Władze kościelne odmawiają odprawiania nabożeństw, więc ludzie sami organizują służby Boże tak jak umieją. Być może jest to jedyny na całym świecie negatywny rezultat II Soboru Watykańskiego — ludzie życzyli sobie aby nabożeństwa odprawiano w ich języku — po słowacku.

Opuszczamy kościół i udajemy się do sąsiedniej wsi Krem-pachy. I tam stoi teraz podobnie smutny kościół z charakterystyczną dla spiszskiego renesansu wieżą. Wewnątrz przechowywana jest gotycka monstrancja z 1528 r. — dzieło sztuki z Levoczy.

Obie wioski — Nowa Biała i Krem-pachy są czyste, porządne, domy wyglądają okazale, a na pobliskich polach widać efekty intensywnej pracy na roli. Są słowackie szkoły, w których uczy się 150 dzieci. Ludzie są wykształceni — ich wsie od dawna były raczej swego rodzaju spiszkimi miasteczkami niż wioskami. Dlatego też obecne tragiczne położenie tych ludzi jest tak bolesne a krzywda jaka ich spotkała tak krzycząca.

Po krótkiej rozmowie z ludźmi w Krem-pachach wracamy do Nowej Białej. Przyjęli nas serdecznie, starym obyczajem.

Nie stawialiśmy pytań. Tylko — jak im się powodzi, jak żyją? Sami zaczęli na wyścigi opowiadać o kłopotach, jakie się zaczęły w roku 1964. Pamiętają dokładnie wszystkie wydarzenia, które od początku do końca są dramatyczne i niewiarogodne. Relacje z początku są nieskładne, nieraz niezrozumiałe, ale i tak

wyłania się z nich obraz najboleśniejszej strony ich życia. Od czerwca 1965 r. co niedzielę chodzą do kościoła, lecz tam przy ołtarzu i na ambonie zawsze jest cicho, miejsce pozostaje puste.

Właściwie co się stało?

Obie parafie — Nowa Biała i Krempachy należą do 23 wsi Spisza i Orawy wcielonych do 18 parafii, które decyzją Rady Pięciu z 28 lipca 1920 r., podjętą w Spa zostały przyłączone do Polski. Od roku 1925 podlegają one kościelnej jurysdykcji arcybiskupstwa krakowskiego. We wszystkich kościołach tych parafii od dawna odprawiano nabożeństwa po słowacku. Ale po ich przyłączeniu do Polski, polscy księża rozpoczęli akcję polonizacyjną. Do czasu II Soboru Watykańskiego akcja ta nie napotykała na większe trudności czy opór u wierzących. Język liturgiczny był taki sam na Słowacji co w Polsce i wszędzie — łacina.

Słowiańskie pokrewieństwo języków polskiego i słowackiego, podobieństwo narzecza po stronie polskiej i słowackiej, przez całe wieki utrzymywany konserwaryzm ludzi — oto czynniki, które sprzyjały pacyfikacji i mimo, że Słowacy nie chcieli pogodzić się z nową granicą, nie doszło do otwartych konfliktów. W takich warunkach bez przeszkód mogło rozwijać się po słowackiej stronie polonofilstwo, krzewione w narodzie przez jego przywódców — Hlinkę i Sidora, podobnie jak po polskiej stronie rozwijało się słowakofilstwo, którego głównymi rzecznikami byli krakowscy profesorowie Semkowicz, Goetel, Magiera i in.

Kuria krakowska nie dopuściła do wiosek północnego Spisza i Orawy księży słowackich. I nie zezwala na ulokowanie w nich nawet tych, którzy stąd pochodzą, pracują w parafiach polskich i znają język słowacki. Tymczasem polscy księża pracują w parafiach słowackich choć nie znają słowackiego i nie mogą w związku z tym odprawiać nabożeństw zgodnie z postanowieniami Soboru w języku ludu — po słowacku.

Ludzie nam mówią:

„W naszym kościele nigdy dotychczas nie śpiewało się po polsku, zawsze po słowacku. Bo po przyłączeniu tych ziem do Polski został w Nowej Białej słowacki ksiądz ojciec Mósza — krajan z sąsiedniego Tribsza. Został bo tu się urodził. Mieszkał w Nowej Białej ale administrował także sąsiednie Krempachy. W dobie istnienia państwa słowackiego ziemie te należały do Słowacji. Kiedy po roku 1945 z powrotem przyłączono je do Polski, księdza Mósza najpierw uwięziono a potem wygnano na Słowację. Ale słowacki śpiew w kościele pozostał zarówno w Krempachach jak i w Nowej Białej. Polski ksiądz wygłaszał kazania i modlił się po polsku, a my śpiewaliśmy po słowacku.

Z poszczególnych relacji można odtworzyć przebieg wydarzeń:

— We wrześniu 1963 do Nowej Białej przychodzi ksiądz Zdzisław Bączkiewicz.

— Na Boże Narodzenie tego roku ksiądz odprawia nabożeństwo dla dzieci — po polsku. Rada Kościelna sprzeciwia się temu ale bezskutecznie. Wówczas we wsi mieszkało tylko 10 polskich rodzin.

— 4. I. 64. Polacy odmawiają płacenia organście, bo jakoby gra jedynie dla Słowaków.

— 8. I. 64. Ksiądz Bączkiewicz zaprasza Radę Kościelną i oznajmia, że we wsi konieczna jest również polska msza święta, bo Polacy nie rozumieją po słowacku.

— 19. I. 64. Podczas porannej mszy niedzielnej ksiądz oznajmia, że o godz. 13 będzie jeszcze jedna msza św. z polskim śpiewem.

— 2. II. 64. Ksiądz odchodzi od ołtarza, bowiem Polacy nie utrzymali się w śpiewie. W kościele wybuchła bójka.

— 8. II. 64. Jako pośrednik w sporze do wioski przyjechał ks. Przybylski. Zawarto porozumienie, że dopóki spór nie zostanie rozwiązany, w kościele nie będzie się śpiewać ani po polsku ani po słowacku.

— 9. II. 64. Wbrew temu porozumieniu ks. Bączkiewicz ogłasza, że o godz. 13 odbędzie się msza św. z polskim śpiewem. W kościele ponownie dochodzi do bójki.

— 15. II. 64. Z Nowego Targu przybyła komisja złożona z przedstawicieli KP PZPR i KP MO. Kilku mieszkańców z polskiej i słowackiej strony zostało wezwanych do Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. Każdy powiedział swoje, wszystko zostało po dawnemu.

— 16. II. 64. Ksiądz wprowadził polskie śpiewy także i w tygodniu. W niedzielę zaprosił Polaków z Łopusznej.

— 1. III. 64. Wzmocniona grupa polska stała w kościele po lewej stronie, Słowacy po prawej. Śpiewano także podczas ewangelii.

— 15. III. 64. Ksiądz zamknął chór, aby do kościoła dostało się mniej Słowaków.

— 19. III. 64 (dzień Św. Józefa). Chór był zamknięty, ale mężczyźni go otworzyli. Ksiądz przerwał mszę aby usunąć ludzi z chóru.

— Wielkanoc. W poniedziałek ponownie wybuchła bójka w kościele. Dziewięciu Słowaków zatrzymała milicja a z Polaków nikogo.

— 4. V. 64. Na nabożeństwie majowym organista grał pieśni słowackie. Polacy śpiewali po polsku. Ksiądz opuścił kościół.

— W czerwcu 1964 był w Krempachach pogrzeb. W czasie obrzędów żałobnych zaintonowano słowacką pieśń. Ksiądz nie dokończył ceremonii żałobnej i odszedł. Ludzie bez księdza zanieśli trumnę do kościoła a potem sami, bez księdza pochowali zmarłego.

— 6. IX. 64. Nadszedł list od arcybiskupa. Msza o godz. 13 została zakazana a na pozostałych nie będzie się śpiewać. Zaproszonej delegacji w krakowskiej kurii powiedziano, że w oczach kurii ksiądz Bączkiewicz jest męczennikiem a Polakom dzieje się krzywda.

— Na nabożeństwa październikowe ksiądz nie przychodził, bo wierni odmawiali różaniec po słowacku. Msze niedzielne były bez śpiewów.

— 25. XI. 64. W nowej Białej był odpust. Ksiądz nie przyszedł

do kościoła. Udał się do sąsiedniej Łopusznej. Zamknął zakrystię, aby Słowacy, gdy sami będą w kościele śpiewać, nie mogli zapalić światła.

— 29. XI. 64. Ksiądz ponownie nie przyszedł do swego kościoła i nie odprawił mszy świętej.

— 13. XII. 64. Przed Bożym Narodzeniem przyjechał z Krakowa ksiądz, który odczytał list od arcybiskupa ks. Wojtyły. Zakazywano w nim śpiewów w kościele, nakazano otworzyć zakrystię i zaproszono na 22. XII. 64 r. delegację do Krakowa. Słowacy domagali się przede wszystkim odwołania księdza Bączkiewicza. Udzielono im odpowiedzi, że chodzi o świętego księdza. Arcybiskup prosił ich o utrzymanie spokoju w okresie świąt. Trudno było jednak zachować spokój bo akurat w tym czasie zaczęły nadchodzić wezwania do sądu w związku z poprzednimi bójkami w kościele. Wezwania otrzymywali jedynie Słowacy.

— 10. I. 65. Oznajmiono o kołędzie. Do Nowej Białej przyjechał sam arcybiskup Wojtyła. W krótkiej mowie potwierdził tylko swą dotychczasową decyzję — zakaz śpiewów i grania na organach w kościele aż do odwołania. W tych dniach odbyła się kołęda. Około 40 rodzin nie wpuściło ks. Bączkiewicza do domów.

— 10. IV. 65. Arcybiskup Wojtyła odwołał zakaz śpiewania. W kościele powstały niepokoje, więc Słowacy zdecydowali, że nie będą śpiewać. Na nabożeństwa majowe odprawiane po słowacku ksiądz nie przychodził. Procesja Bożego Ciała się nie odbyła.

— 22. VI. 65. Znow w kościele śpiewało się po polsku i słowacku. Ksiądz przerwał mszę świętą i wyszedł z kościoła.

— 29. VI. 65. Ksiądz Bączkiewicz przestał odprawiać mszę świętą w kościele. Co niedziela z grupą Polaków chodził do Łopusznej. W dni powszednie odprawiał mszę na farze w izbie, gdzie urządził prowizoryczną kapliczkę. W tym czasie był pogrzeb Słowaka. Gdy ludzie zaintonowali słowacką pieśń, ksiądz opuścił pogrzeb i ludzie musieli pochować zmarłego Słowaka ponownie bez księdza. Odpust w Nowej Białej odbył się bez księdza. Tak samo Boże Narodzenie.

— ROK 1966.

W każdą niedzielę chodzimy do kościoła, modlimy się bez księdza. W czerwcu miały dzieci przystąpić do pierwszej komunii. Ksiądz postanowił, że uroczystość ma się odbyć w Łopusznej.

Chrzcić dzieci musieliśmy w odległej wiosce słowackiej Dursztyn. Również tam odbywały się śluby.

10. X. 66. Delegacja mieszkańców była u arcybiskupa Wojtyły. Prosiłiśmy aby wymieniono nam księdza na takiego, który umiałby zarówno po polsku jak i po słowacku. Przedstawiliśmy nazwiska takich księży, posiadających polskie obywatelstwo.

— ROK 1967.

Do kościoła chodzimy bez księdza.

Przed Wielkanocą ksiądz nie chciał nam wydać kluczy od kościoła. Klucze te nawet w okresie największych niepokojów,

gdy odmawiał nam odprawiania nabożeństw, pozostawialiśmy w rękach księdza.

14. IX. 67. Nareszcie odszedł od nas ks. Bączkiewicz, który naruszył spokój i stał się przyczyną nienawiści, złości i krzywd. Na jego miejsce przyszedł ksiądz Stanisław Adamski. Słowakom się nawet nie przedstawił. Zaczął swą działalność dokładnie w tym miejscu, w którym przerwał ją poprzedni ksiądz.

21. IX. 67. Ksiądz wezwał do siebie Radę Kościelną z Nowej Białej i Krempachów. Oświadczył, że w każdą niedzielę będzie odprawiał dwie msze w kościele w Krempachach. Rada Kościelna wyraziła zgodę pod warunkiem, że jedna msza będzie słowacka — ze słowacką liturgią i śpiewem. Ksiądz Adamski na to się nie zgodził i nie rozpoczął swej działalności w Krempachach. Nie zaakceptował Rady Kościelnej w Nowej Białej. Pod koniec roku zaczął budowę kaplicy.

Przed Bożym Narodzeniem ministranci obchodzili wszystkie domy, pytając do kogo ksiądz ma przyjść z kolędą. 56 rodzin nie chciało księdza przyjąć.

— ROK 1968.

Ksiądz Adamski wyciągnął konsekwencje wobec rodzin, które nie przyjęły go z kolędą. Odmawia chrzczyć im dzieci.

10. II. 68. Ksiądz udzielił pierwszego ślubu w kaplicy, ale dopiero gdy młoda para uznała się za Polaków.

6. IV. 68. Ksiądz nie dokończył mszy świętej za duszę zmarłego, bowiem ludzie śpiewali i modlili się po słowacku.

Na uroczystość Bożego Ciała ksiądz pozwolił na wystawienie ołtarzy tylko przed domami rodzin uznających się za polskie. W procesji mieli uczestniczyć tylko Polacy. Było to jednak we wsi, w której mieszka olbrzymia większość Słowaków. Ci więc wzięli udział w procesji i śpiewali słowackie pieśni. Wybuchła bójka. Ksiądz torował sobie drogę monstrancją.

W październiku 1968 ksiądz Adamski miał chrzczyć dwoje dzieci. Pierwsze, z rodziny polskiej, ochrzcił lecz odmówił ochrzczenia drugiego dziecka, którego rodzice byli Słowakami. Opuścił kościół a dziecko zostało ochrzczone przez kościelnego.

Stan dzisiejszy.

Ludzie uznający się za Słowaków, śpiewający w kościele słowackie pieśni nie dostają rozgrzeszenia nawet przy spowiedzi wielkanocnej. Nie są im udzielane żadne sakramenty. Aby ochrzcić dzieci udają się na Słowację.

Rodzina Skvarkovców z Nowej Białej w końcu kwietnia ochrzciła swe dziecko w Matejovicach nad Popradem.

Jan Mazurek i Irena z domu Surma — małżeństwo z Krempachów chrzciło bliźniaki na Wielkanoc 1969 w Svicie na Słowacji.

13. VII. 69. W Velkej Lomnici nad Popradem ochrzczono trzymiesięczną córkę Anny i Jozefa Dluhich z Nowej Białej. Tego samego dnia małżeństwo Majerčákové ochrzciło swoje dziecko w Velkej Frankovej na Słowacji.

Można by jeszcze kontynuować listę tych niewiarogodnych, lecz prawdziwych faktów. Lecz po co?

I tak ordynator krakowski, kardynał Wojtyła, o tym wszystkim dobrze wie.

W obu społeczeństwach istnieją dążenia aby braterstwo polsko-czesko-słowackie kwitło właśnie na terytoriach pogranicznych, przede wszystkim w rejonie Tatr — tego wspólnego klejnotu Słowaków i Polaków.

Trudno w to uwierzyć, ale polityka kardynała Wojtyły uniemożliwiła braterskie współzycie.

Jest niedziela 13 lipca bieżącego roku. Dzwony zwołują lud do kościoła. Słychać je i w Nowej Białej i w Krempachach. Wszyscy spieszą do kościoła. Po drodze nawiązujemy rozmowę ze starszymi ludźmi. Po kilku słowach płaczą. Jeden z nich mówi: — Idziemy do kościoła ale będziemy tam bez księdza. Nasi praojcowie budowali ten kościół. I nie tylko dla siebie, ale i dla nas. Na plecach nosili kamienie, aby postawić w tym miejscu Dom Boży. A my teraz, dlatego, że chwaliliśmy Boga w naszym języku, w języku naszych ojców, i to tak bliskiego polskiemu, mamy kościół bez mszy — tak jakby bez Boga. A jeśli jutro odejdę z tego świata Kościół odmówi mi pogrzebu.

Wchodzimy do kościoła. Jest pełny. Potężnie niesie się w kościelnej nawie słowacka pieśń mszalna „O Jezusie nasz najmiłszy”. Śpiewają z pamięci. Wszystkie pieśni znają na pamięć. Śpiewają jednym głosem. Akompaniują im pełne uczucia dźwięki organów.

Ci dumni ludzie trwają w wierze. Nie odeszli od Kościoła, nie odrzucili władzy kardynała, który nie uznaje ich za swoje dzieci. Ilu ludzi i gdzie na świecie pełnym burz i niepokoju pozostało tak wiernych i tak blisko złączonych z Kościołem?

Czy pytania tego nie postawiono sobie w Krakowie?

Skończyło się „suche” nabożeństwo. Przebrzmiały ostatnie słowa różańca i litanii. Z ławek powoli podnoszą się najpierw mężczyźni, potem kobiety. Zostałem w ławce sam. Czuję chłód kościelnych murów. W uszach mam jeszcze słowa ostatniej, śpiewanej tu pieśni maryjnej — „pomóż, pomóż”. W końcu i ja wstaję. Odchodzę powoli, zamyślony i nieszcześliwy, tak jak ci przede mną...

Peter HORSKY

(Przekład ze słowackiego)

Hawana - czyli traktat o kontrabandzie

Hawana z bliska przypomina podupadłą kobietę, która kiedyś była bardzo piękna, ale teraz brak jej już środków na kosztowne

szaty i niezbędny makijaż. Bo jej piękność nie była pięknnością wiejskiej dziewczyny, ale pięknnością kobiety światowej i wytwornej, zwykłej używać najlepszych kosmetyków i doskonałej biżuterii. Wszędzie widoczne są ślady jej piękności. Oto ogromne bloki wspaniałych hoteli, ale neonom na ich fasadach czas wyszczerbił fragmenty liter. Ostrygi sprzedawane są wprost na ulicy ze starych, odrapanych lodówek. Sztuki klasyków żyją pół-życiem na afiszach — z teatrów wypiera je operetka. Samochody, których Kuba w przeliczeniu na mieszkańca posiada trzykrotnie więcej niż Polska, suną ulicami Hawany, ale z czasem coraz bardziej ubywa im świateł — początkowo każdy samochód musiał mieć dwa światła z przodu i jedno z tyłu, później tylko po jednym, aż ostatnio w ogóle jedno światło. Kubańczycy, którzy uznają tylko gaz i hamulec niszczą je szybko i z braku części zamiennych peryferie miasta zagęszczają się coraz bardziej wrakami zajeżdżonych maszyn. Z czterech programów telewizyjnych jeden powtarza się stale ze zdartych taśm z przygodami Disney'owskich zwierzątek. Przede wszystkim jednak ulica, szczególne tętno życia tego miasta, jest zwierciadłem przemian i klęsk. Nie chodzi oczywiście o uliczne dziewczęta — to zjawisko właściwe jest wszystkim portom świata, a ponadto Hawana i tak była najbardziej rozpustnym miastem obu Ameryk — ale teraz jest różnica, gdyż z wyjątkiem dziewczęta są bardziej dostępne. Trudno tu spotkać typowe dziewczyny uliczne — prawie nigdy nie pójdą z tobą za pieniądze, natomiast uczynią to za wspólnie spędzony wieczór na dansingu, za skromną pamiątkę czy nawet uśmiech. Ponadto nie ma w tym mieście dziewcząt trudniących się wyłącznie prostytutką — wszystko to są normalne dziewczyny, pracujące w biurach i fabrykach cygar, w sklepach i w straży przemysłowej. Przybysza uderza łatwość nawiązywania porozumień i stąd być może taka opinia o Hawanie. Oczywiście trudno się oprzeć ich specyficznej urodzie. Nawet umundurowane Kubanki, w drelichowych koszulach wpuszczonych w niesamowicie obcisłe spodnie i uzbrojone w różne typy broni nieomal demobilowej, mają w sobie coś magnetycznego, chociaż ogólnie biorąc kobieta-żołnierka nie jest czymś aż tak dziwnym. W Jaffie też spotyka się ładne Żydówki, służące w wojsku, ale ich dobrze odprasowany mundur bez żadnych improwizacji i krótkie pistolety automatyczne, nadają im wygląd prawie bojowy, natomiast Kubanka zawsze pozostaje kobietą. Znane jest opowiadanie o milicjantce kubańskiej, spotkanej przez dwu marynarzy, która po krótkiej rozmowie zgodziła się pójść na godzinę do hotelu z jednym z nich. Drugi przypasał jej colta i regulował w tym czasie ruch uliczny. Takie są Kubanki i nie zmieniają ich ani Hiszpanie, ani Amerykanie, ani żadna rewolucja. Nie to więc stanowi o hawańskiej degradacji. Nawet opisane powyżej braki są

także wytłumaczalne w młodym, odciętym od sąsiadów państwie. Tylko handel, pokątny handel na arteriach i rogatkach stolicy szpeci oblicze Hawany jak złośliwy rak skóry. Nieletni chłopcy, zaczepiający przybyszów o gumę do żucia i flanelowe kuszule, szatniarze i kelnerzy ekskluzywnych lokali kupujący u obcokrajowców zegarki i bieliznę kobiecą, taksówkarze i barmani zamieniający amerykańskie papierosy na kurs i drinka — to macki tego raka. Handel i przemysł istnieje oczywiście i w innych portach, podobnie jak prostytutka, ale ile wszędzie załatwiane jest to w obrębie samego portu, na statku i na łódkach gangów przemysłniczych, o tyle w Hawanie całą hańbę tych operacji bierze na siebie miasto. Bo przemysł na Kubie jest również zjawiskiem całkowicie różnym od tego samego procederu w innych częściach świata. Wszędzie uwarunkowany jest on popytem na pewne, atrakcyjne towary, trudniej dostępne na rynku, lub różnicą cen między kantonem statkową a lądem. Na Kubę część artykułów przemysłu się również z tych powodów. Odnosi się to głównie do bielizny damskiej, z której najbardziej poszukiwane są paski do podwiązek. Starym hiszpańskim zwyczajem elegancka Kubanka nie wyjdzie na ulicę bez pończoch. Ponieważ jednak pasek można dostać tylko z przydziału — jeden na dwa lata — pielęgnowanie tego rodzaju elegancji staje się niezwykle uciążliwe. Każda Kubanka oddałaby całą duszę za taki pasek, gdyż normalnie zmuszona jest używać nieestetycznych gumowych podwiązek. Na kartki wydaje się również na Kubie majtki damskie i większość artykułów żywnościowych, ale co ciekawsze za niedobory zaopatrzenia w konfekcję nikt nie ma pretensji ani do państwa ani do Fidela Castro. O ile sprawa żywności potraktowana jest na Kubie pół jawnie (pisze o niej prasa, a Castro wspomina o tym czasem w swych wystąpieniach publicznych) to co do odzieży, wytworzyło się u Kubańczyków przekonanie, że wszystkiemu winni są nowi, niewidoczni władcy Kuby — Rosjanie, którzy po przybyciu na wyspę wykupili z aptek spirytus i zaprowadzili nową modę. O spirytus nikomu nie chodzi, bo tubylcy używają zawsze rumu, którego w tym kraju jest pod dostatkiem, ale co do mody wszystkie Kubanki są przekonane, nie wiadomo dlaczego, że Rosjanki na pewno nie noszą majtek, nie mówiąc już o pończochach, i że ten sam zwyczaj Moskwa chce zaprowadzić na Kubie. Zapotrzebowanie na te brakujące artykuły jest więc uzasadnione swego rodzaju oporem przeciw nowym porządkom, a przemysł „na dziko” uzupełnia te niedobory. Ponadto istnieje jeszcze na Kubie rodzaj kontrabandy absurdalnej, której założenia, wynikające z mieszaniny zakazu i wieloletnich przyzwyczajęń nie mieszczą się w żadnych kategoriach. Jest to kontrabanda amerykańskich papierosów i gumy do żucia. W kraju uprawiającym doskonały tytoń papie-

rosy, nie mogąc być problemem gospodarczym, stały się problemem politycznym. Na luksus zaciągania się nimi mogą sobie pozwolić tylko osoby ideologicznie czyste jak łąza, takie którym ta używka nie jest już w stanie „zaszkodzić”. Ci płacą za nie astronomiczną sumę pięciu peso za paczkę, co według oficjalnego kursu równa się pięciu dolarom. Dla nich oczywiście taki luksus nie jest problemem, gdyż czystość ideologiczna znacznie ściślej niż w innych państwach naszego bloku wiąże się z dostępem do podziału dochodu narodowego a więc do pieniędzy, ale co dziwniejsze palą te magiczne papierosy również i zwykli ludzie, w skrytości wprawdzie i po cichu, na ogół w domu (zdarza się to i w lokalach ale wówczas „chesterfieldy” przepakowane są uprzednio do paczki po innych papierosach) a więc i oni muszą sobie pozwolić czasem na poważny wydatek, gdyż takie są ceny na czarnym rynku. Tu oczywiście, jak w przypadku każdej używki, nie wchodzi w grę jakieś przesłanki logiczne, tylko rodzaj narkotyzującego przyzwyczajenia. Za tę samą sumę można dostać w Hawanie kilkadziesiąt paczek papierosów „Dorados” — ustępujących wprawdzie amerykańskim, ale znacznie lepszych od naszych „MDM-ów” czy „Wrocławskich”. Oczywiście, marynarz nie dostaje takiej ceny — papierosy kupuje od niego taksówkarz, lub Murzynek na ulicy, dla którego jest to jeden ze środków „dorabiania”, płacąc dwa do trzech peso, zależnie od koniunktury. Pomimo to marynarz zarabia na tej transakcji czternastokrotnie, zważywszy, że kupuje papierosy w kantynie po trzynastu centów za paczkę, którą spieniężywszy w mieście osiąga to samo, jak gdyby pobrał dwa dolary z dodatku dewizowego. Starszy marynarz, zarabiający na linii środkowo-amerykańskiej 72 centy w dewizach musiałby pracować na to trzy dni, a młodszy steward — sześć. Dlatego nawet I-szy oficer, który dziennie otrzymuje dolara i pięć centów nigdy nie pobiera w Hawanie dewiz od ochmistrza statku; również i on nie jest w stanie uwolnić się od pokusy papierosowego przemytu. Oczywiście na takim stanowisku nie wypada wychodzić na miasto bez grosza, mając jedynie przy sobie dwie dozwolone przepisami paczki papierosów i trzy gumy do żucia, gdyż wszystko co marynarz wynosi ze statku zapisywane jest skrupulatnie przez celników do zielonej przepustki zwanej „salida” w chwili gdy przechodzi przez bramę portową. Papierosy i guma „oficjalnie” przeznaczone są do własnego użytku, ale przecież celnicy wiedzą, że w mieście w ciągu kilku godzin korzysta się z baru, czy autobusu. Ponadto marynarz wychodzący na miasto bez pieniędzy jest źle widziany przez celników, dlatego każdy — a zwłaszcza statkowa arystokracja — pobiera *pro forma* od ochmistrza jednego lub dwa peso ze swych dewiz. Wydanie tych pieniędzy jest również odnotowywane w „salidzie” gdy marynarz

wraca z miasta, a „salida” pod koniec postoju jest dokumentem do potrąceń z listy płac. Jednak każdy marynarz zanim wyda za granicą dolara, kilkakrotnie obraca go w palcach (w kraju, po odpowiednim obrocie, uzyskuje z niego 200 złotych) i nie zgodzi się nigdy na wydanie go na Kubie po tak niesprawiedliwym kursie — zawsze więc wraca do portu z tymi samymi dwoma pesami i zwraca je ochmistrzowi. Dlatego też zaraz po wyjściu z portu tę oficjalną zaliczkę marynarze chowają do tylnej kieszeni i aż do powrotu na statek zapominają o niej. Nawet pijany marynarz nie płaci nigdy rachunku pesami z tylnej kieszeni, gdyż trzeźwy celnik nigdy nie zapomni tego odnotować. Oczywiście, celnicy i wartownicy w Hawanie dziwili się przez pewien czas, że marynarze powracają na statki z całą zadeklarowaną sumą, za to w stanie wskazującym na to że byli nie tylko na spacerze, i uśmiechali się dziwnie, wiedząc że marynarze handlują. Podchmieleni marynarze również uśmiechali się wiedząc, że celnicy wiedzą. Jeden elektryk był nawet na tyle bezczelny, że wynosił ze sobą zawrotną sumę dwudziestu peso, ale też i na tyle mądry, że z tymi dwudziestoma pesami zawsze wracał na statek. To jednak już duże ryzyko — kiedyś, po kilku colibrach (marynarski skrót od „Cuba libre”) (koktajl rumu z coca-colą) zgubił te dwadzieścia peso. Nie miał nawet takiej słabej głowy, tylko pił w bardzo eleganckim barze z *air-conditioned* (zawsze lubił wyróżniać się od reszty kolegów) i kiedy wyszedł na ulicę kubańskie słońce zaprawiło go zupełnie i widocznie wtedy, niechcący opróżnił tylną kieszeń. Celnik oczywiście nie miał zupełnie współczucia i nieszczęsnemu elektrykowi „odciągnięto” jak śmietanę z mleka prawie całomiesięczną stawkę z zarobionych dewiz. Odtąd zawsze bierze jednego pesa. Tak więc w Hawanie nikt nie jest wolny od grzechu kontrabandy, która dzięki swym założeniom i nieprawdopodobnym zarobkom oburza i łamie opory najtrwalszych zasad moralnych. Ponadto kubańska kontrabanda nie wywodzi się wyłącznie z chęci zysku, ale jest pewnego rodzaju sportem — cały utarg przeznaczony jest na uciechy doczesne. Tylko w tym kraju świata, poza własną ojczyzną, polski marynarz czuje się jak lord, bawi się i używa życia; nie tylko prawie nigdy nie chodzi pieszo, ale nawet nie korzysta nigdy ze środków masowej komunikacji. Oczywiście, aby w pełni być lordem nie wystarcza omówiona wyżej kontrabanda papierosów i gumy którą uważa się w pewnym sensie za kontrabandę „legalną”, gdyż te artykuły legalnie wynosi się z portu, a tylko nielegalnie sprzedaje. Wspomniawszy o gumie do żucia, zanim przejdziemy do innych rodzajów przemytu, musimy nadmienić, że ten niezbyt wyszukany przysmak ma na Kubie mityczną wprost siłę zjednywania sympatii tubylców i ułatwiania międzyludzkich kontaktów. Jest przykładem jak niewiele potrzeba

człowiekowi do całkowitego szczęścia. Zwłaszcza kobiety i dzieci są stale w obrębie magnetycznego działania tego produktu. Na hawańskich uliczkach i placykach pełno jest różnokolorowych bobasów uganiających się za marynarzami z okrzykiem „chicklet! dame chicklet!”, a poczęstowane tym specjałem wpadają w istny szal radości. Kobiety, zwłaszcza młode, „podrywa” się w Hawanie na gumę do żucia podobnie jak w Polsce na samochód. Marynarz, który nieświadom tego przyplynie na Kubę bez odpowiedniego transportu gumy do żucia, opuści ten piękny kraj z rozczarowaniem, choćby nawet drogą kontrabandy zorganizował sobie sporą ilość kubańskiej waluty. Pieniądze na Kubie decydują tylko o tym jak kto się bawi i używa, generalnie jednak o wszystkim w niepomiarne większym stopniu decydują szczęśliwość, których znajomość jest dla przybyszów nieodzowna. Przechodząc do kontrabandy „nielegalnej” stwierdzić musimy, że służy już ona pewnemu zbytkowi. Dwu kolegów, spieniężywszy razem cztery paczki „chesterfieldów” i sześć „chickletów” dysponują sumą około 18 peso, a więc tyle ile kosztuje w „Tropikanie” kolacja na dwie osoby, plus wstęp i dojazd taksówką. Wlicza się w to jeszcze dwa „Kolibry” i symboliczny napiwek. Tu więc przebiega granica rodzajów kontrabandy. Starsi panowie, którym stanowisko na statku nie pozwala rozwinąć szerszych możliwości i którzy w lokalu chcą tylko spożyć posiłek i popatrzeć na występy tancerek, pozostają przy przemycie papierosów i gumy.

Młodzież, która będąc na Kubie w ogóle prawie nigdy nie jada na statku, a w „Tropikanie” bawi się w towarzystwie płci pięknej i z butelką „Bacardi” w lodzie, za same papierosy nie miałaby na to środków, tym bardziej, że gumę do żucia zachowuje się jak już powiedzieliśmy powyżej dla urozmaicenia i ożywienia kontaktów. Dlatego wynalazła ona w swej marynarskiej pomysłowości inne „chodliwe” na Kubie artykuły, gwarantujące stopę zysku nieporównywalną nawet ze sławnymi „Chesterfieldami”. Perfumy, ściślej woda kwiatowa „Chypre”, której butelczka nabywana jest w Kraju za siedem polskich złotych, na kubańskim rynku osiąga cenę pięciu peso w sprzedaży ulicznej. Nie znana jest jej cena po uwzględnieniu pośrednika, ale to dla marynarza i tak nie jest specjalnie ważne. Pończochy damskie i skarpety męskie, kremy i okulary przeciwsłoneczne znikają w zakamarkach hawańskich ulic szybko i dyskretnie. Za paski do podwiązek można dostać nawet amerykańskie dolary, ale na Kubie zbyt duże są pokusy dla znękanym sztormami żeglarzy, aby ktoś przemycił w celach wyłącznie zarobkowych, ponadto większość dolarów w dużych banknotach jest fałszywa, chyba jeszcze z czasów, w których miał tu wpływ słynny Lucky Luciano. Rzecz jasna — ryzyko w tym rodzaju przemytu jest niewspółmiernie

większe, a i celnicy wyczuleni są mocno na wszelkie deformacje figury. Co szósty marynarz (jak obliczył jeden z pływających statystyków) rozbierany jest na bramie do naga i ma później trudności z wytłumaczeniem w jakim celu używa kobiecej bielizny i kilku „perfum” idąc na miasto. Tego rodzaju przemyt na dłuższą metę jest więc uciążliwy i denerwujący i powoduje po pewnym czasie u marynarzy stany frustracyjne. Stają się oni, mimo możliwości finansowych mniej naturalni w zabawie, po wypiciu agresywni i często bywają dostarczani na statek przez policję. Na szczęście zazwyczaj wszystko kończy się na statku, bo kubańska policja z pełnym zaufaniem przyjmuje oświadczenia kapitana, że po powrocie marynarze zostaną przykładowo ukarani w swej również socjalistycznej ojczyźnie.

Zupełnie przypadkowo jeden z marynarzy odkrył na Kubie najbardziej efektywny sposób zarobienia pesów, przy minimalnym ryzyku. Podczas dłuższego pobytu w barze stwierdziwszy brak pieniędzy zastawił u barmana zegarek. Ponieważ rachunek był dość wysoki, a zegarek bez kamieni m-ki „Ruhla” jest najtańszym z dostępnych u nas zegarków na rękę marynarz nie zgłosił się, aby go wykupić. Później ustalono cenę i rozpoczęto przywozić na Kubę masowo te przyrządy. Od pewnego czasu w miastach portowych naszego kraju nie można już dostać zegarków „Ruhla” — marynarze kupują je spod lady, albo przez zaufaną rodzinę na Śląsku lub w Polsce centralnej.

Oczywiście w złotym okresie handlu zegarkami znikąło wprawdzie ryzyko przy wychodzeniu z portu, ale zachodziła konieczność przenoszenia pieniędzy przez bramę. Po sprzedaniu zegarka i papierosów oraz ewentualnie okularów przeciwsłonecznych zbierała się poważna suma — należało ją albo tego samego dnia stracić na mieście, albo wnieść na statek i wynieść następnego dnia. Wnoszenie pieniędzy przez bramę było ryzykowne. Niezawodna w Ameryce południowej metoda przekupywania organów władzy, na Kubie okazała się mało skuteczna. Tylko jeden celnik imieniem Manuel jedząc kiedyś obiad na statku, wyraził się, że jego zdaniem na Kubie nie powinno się rewidować marynarzy z krajów socjalistycznych. Na jego służbach rzeczywiście nie rewidowano polskich załóg i nawet marynarze zostawiali zawsze Manuelowi trochę gumy do żucia dla jego małych dzieci. Sądząc, że z innymi celnikami będzie tak samo, marynarze zaczęli również zapraszać ich na obiady. Niestety, żaden z nich nie miał natury Manuela. Najgorszy był jeden Murzyn, który zaproszony do messy szybko zorientował się o co chodzi, ale cały czas udawał głupiego i śmiał się błyskając białymi zębami. Kiedy podwójny deser, a nawet piwo żywieckie (po którym zresztą zaczęło mu się odbijać) nie potrafiły zachwiać zasad czarnoskórego celnika, kucharz — wie-

dząc, że Kuba pomimo ustroju jest krajem tradycyjnie katolickim — postawił na jedną kartę i zapytał go, czy gdyby złapał polskiego marynarza na przemyście i wsadził do więzienia nie boi się kary Bożej. Celnik odpowiedział, że jest rewolucjonistą i w Boga nie wierzy bo go nie widzi. Pozostał więc tylko Manuel, ale przy ogromnej ilości celników w Hawanie jego służby wypadały niezmiernie rzadko, więc marynarze zmuszeni byli znaleźć jakiś inny sposób bezpiecznego pozostawiania pieniędzy w mieście. Początkowo marynarskimi bankierami byli rodacy, którzy przebywali w Hawanie na rocznych kontraktach, jako specjaliści w różnych dziedzinach przemysłu młodej republiki. Kontakt nawiązano z nimi za pośrednictwem adresów otrzymanych w kraju od ich rodzin i krewnych. Ta kategoria ludzi mieszkała jednak w wytwornych hotelach, miała swoje środowisko i przy bliższych kontaktach okazywała marynarzom rodzaj pewnej pogardy, podobno z uwagi na to że przychowywane przez nich marynarskie pieniądze pochodzą z kontrabandy. Rzadko który z mieszkających w Hawanie inżynierów brał udział w marynarskich zabawach i wycieczkach do lokalów stolicy.

Jednak po pewnym czasie okazało się, że cała hawańska grupa naszych rodaków zasługuje na pogardę marynarzy. Ludzie mieszkający we wspańiałych apartamentach hoteli — w których zwykły Kubańczyk nie mieszkał nigdy ani za Amerykanów, ani za czasów Fidela Castro — z ogromnymi oknami i łazienkami wykładanymi czarno-różowymi kafelkami cały pobyt na Kubie zużywali na nieprawdopodobne w swej bezwzględności oszczędzanie. O ile marynarski przemyt wynika wyłącznie z warunków w jakich marynarz żyje, o tyle oszczędzanie Polaków „lądowych” jest czymś niepomiaralnie bardziej poniżającym, bo nie służy ani zabawie, ani turystyce, tylko wyłącznie przywiezieniu samochodu po rocznym pobycie. Otóż potrzebująca fachowców Kuba płaci polskim specjalistom częściowo w prawdziwych dolarach, a częściowo w pesach kubańskich, które jednak można wymienić w PKO po dwa pesy za jeden bon (jak we wszystkich krajach socjalistycznych jest tu kilka kursów dolara). Po rocznym pobycie można odłożyć od 1.000 do 1.200 dolarów i około połowy tej sumy w bonach. Oszczędza się więc na to cały czas, pamiętając zawsze, że jeden nieopatrnie stracony peso, to pół bonu pekaowskiego. Dlatego nikt tu się nie bawi i nie zwiedza Kuby, a Zagłębę w naturze Polaka przygłusza całkowicie Wokulski, ale nie ten prawdziwy, tylko Wokulski trzeciej wielkości, potulny, skąpy kupczyk, liczący codziennie zarobione bony. Jeżeli przypadkiem zabłądzi z kolegami do baru, każdy płaci skrupulatnie za siebie mimo, że czasem są trudności ze sprawiedliwym podzieleniem siedmiu pesów na trzech regulujących rachunek. Podczas

przedostatnich świąt Bożego Narodzenia, które zorganizowano składkowo dla wszystkich mieszkających w Hawanie Polaków, skarbnik o mało nie został pobity, bo źle zagospodarował funduszem i po przyjęciu zostały dwa półmiski sałatki. Jednak największe kłopoty mają nasi rodacy z zakupem sprzętu domowego, który jest na Kubie konieczny m.in. do przyrządzania posiłków w hotelu, gdyż obcokrajowcy oficjalnie mieszkający w Hawanie mogą po niskich cenach nabywać artykuły żywnościowe w sklepach za żółtymi firankami, niezależnymi całkowicie od zaopatrzenia rynku i racjonowania na kartki. Ale noże, widelce, filiżanki itp. trzeba już kupić w „normalnym” sklepie — a ich ceny (mając cały czas na uwadze bony PKO) przyprawiają Polaków o zawrót głowy, dlatego wielu na przykład zamiast wałka do ciasta używa butelki po rumie, co jest bardzo niewygodne, zważywszy, że butelka ma tylko jedną szyjkę.

Z tych to powodów między tak różnymi dwoma światami, pomimo wspólnego języka, kontakty szybko uległy oziębieniu, a oziębienie w takich wypadkach oznacza koniec kontaktów w ogóle. Ponadto zdarzały się wypadki że marynarz zgłosiwszy się o umówionej porze do rodziny, u której przechowywał pieniądze nie zastał niesłownych „bankierów” w hotelu i chociaż pieniądze odebrał następnego dnia było to dla człowieka dysponującego ograniczonym czasem postoju w porcie ciosem poniżej pasa.

Zerwano więc całkowicie z Polakami. Później, przez krótki okres bankierem był niezwykle sympatyczny Enrico Rodriguez, Kubańczyk, który studiował w Polsce i kraj nasz kochał o wiele więcej niż swoją rodzimą Kubę. W czasie wszystkich wakacji mieszkał na zmianę u różnych przyjaciół i podróżował po całej Polsce. W rozmowach zawsze zachwycał się niesamowicie Polską i wolnością panującą w naszej ojczyźnie. Stale powtarzał, że jeszcze ucieknie do Polski — „Jak słowo daję, że ucieknę” — mówił, bijąc się w pierś — „Przecież ja nawet do Chińczyka z którym pracuję drugi rok nie mogę się szczerze odezwać, bo nie wiem co on myśli”. Zawsze po pracy czekał niedaleko portu i był doskonałym kompanem. Normalnie dosyć spokojny, w towarzystwie marynarzy stawał się innym człowiekiem, a ponadto po powrocie z Polski nie znosił kubańskich porządków. Kiedyś o mało nie przypłacił tego życiem — wracając z libacji na trasie z „Tropicany” do portu niedaleko betonowego tunelu pod wiaduktem nasadził czapkę na oczy kubańskiemu policjantowi. Rozwścieczony policjant zaczął go gonić i wystrzelał za nim cały magazynek colta nie bacząc na uciekających również marynarzy i przejeżdżające samochody. Dopiero zbawczy tunel i „dobry charakter w nogach” uratowały mocno przestraszonych przyjaciół.

Tylko Enrico jakał się jeszcze przez godzinę. Niestety po trzech miesiącach znikł z Hawany całkowicie. Podobno złapano go na polskim statku na dwie godziny przed wypłynięciem i za próbę nielegalnego przekroczenia granicy wywieziono w interior na plantacje trzciny cukrowej. Ostatnim z marynarskich powierników był w Hawanie fryzjer Arturo, który nie tylko miał w domu rodzaj prywatnego banku, ale także kupował każdy towar. W razie jego nieobecności zastępowała go bardzo dobrodusznna i nieprawdopodobnie gruba żona, która podobnie jak Arturo miała doskonałą pamięć i nigdy nie zapisywała wpływów, a mimo to żaden marynarz nie został oszukany. W przeciwieństwie zaś do swego męża była bardziej czujna i z daleka poznawała kręcących się przed domem tajniaków. Mówiąc wtedy „mucho invigilancia” — wypuszczała marynarzy wyjściem od podwórza. Jednak i jego zamknięto, chociaż dopiero po półtorarocznym okresie *prosperity*. Nie jest to oczywiście sto procent pewne, bo mógł również wyjechać do USA, gdyż działo się to w czasie, kiedy Fidel zezwolił na dobrowolną emigrację. Zamknięcie natomiast jest o tyle prawdopodobne, że drzwi od jego domu były zabite deską, a sąsiedzi nie chcieli nic na jego temat powiedzieć, zaś sam Arturo był o wiele większym przeciwnikiem obecnego ustroju na Kubie niż Enrico, który tylko chciał zamienić jeden kraj na drugi. Arturo w zakładzie żalił się do strzyżonych przez niego marynarzy (nie zważając na podsłuch) że za Batisty był policjantem szanowanym w całym dystrykcie i miał się o wiele lepiej, a teraz przeniesiono go do gorszego mieszkania i żona utyla mu chorobliwie od złego wyżywienia po rewolucji. Od czasu zniknięcia Enrica i Artura trudniej już było znaleźć zaufanego powiernika, tym bardziej, że zaufania nie zdobywa się w ciągu kilku dni. Enrico i Arturo to wyjątki potwierdzające regułę — jednego marynarza poznali przypadkowo podczas wycieczki do ZOO, a drugiego w zakładzie fryzjerskim. Inni fryzjerzy unikali jednak dyskusji ideologicznych, które co najwyżej dawały ten skutek, że bojąc się prowokacji szybciej strzygli. Dlatego zdarzały się nawet wypadki powierzania waluty przedmiotom martwym, np. chowanie pod podkładami kolejowymi, dwa kilometry od dworca głównego. Banki takie miały jednak ten minus, że nie gwarantowały wyłączności — przy remontach torów pieniądze marynarzy-łazików znajdowały osoby zupełnie na to nie zasługujące. Dlatego konieczna była ciągła zmiana metod i środków. Trudno oczywiście opisać wszystkie marynarskie możliwości, bo ta grupa społeczna ciągle poszukuje nowych form wyrazu w kontrabandzie bez skrupułów odpompowując do prywatnych kieszeni część tego miliona dolarów, którym codziennie nasz obóz zasila noworodka rewolucji na zachodniej półkuli. Trudno również spodziewać się po marynarzu

wniosków jakieś ogólniejszej natury, bo z uwagi na swój tryb życia ociera się on tylko o fragmenty zdarzeń i każdy odwiedzany kraj zna jedynie naskórkowo, będąc czytelnikiem specyficznego *digest'u* egzystencji tubylców. Kuba jawi mu się jako eldorado doczesnych uciech i rozkoszy z których korzysta skwapliwie. Gdyby jednak pozbawiono go tego, gdyby zabrano mu piękną bajkę o morzach południowych, gdzie w mgiełce na wysepkach wyciągają doń śniade ramiona „dziewczeta snów”, zobaczyłby dziwny kraj, izolowany od sąsiadów, któremu zachciało się komunizmu i dlatego on, marynarz, musi wozić kubański cukier trzcinowy do Polski, chociaż naszego buraczanego mamy niemało i chociaż po przewiezieniu przez Atlantyk staje się on za drogi żeby go używać, musi wozić wonne cygara, których nikt nie pali, bo nie ma u nas burżuazji i lordów, i rum „Bacardi”, którego u nas nikt nie pije poza marynarzami, gdyż tylko oni w kubańskim upale nauczyli się rozkoszować urokiem koktailu „Cuba libre”. Nie zrozumiałby popularności brodatego prawnika, który często i pięknie mówi po kilka godzin bez kartki zaczynając nieodmiennie od „Quisieremos” — chcielibyśmy, i kończąc: „Venceremos” — zwyciężymy. Nie zrozumiałby, bo hasła „Partia o Muerte” i „Viva la Cuba, territorio libre de America”, przypominają mu „Niech żyje Polska Ludowa, robotniczo-chłopska” i „Pod sztandarem Frontu Jedności Narodu do dalszych zwycięstw”. Nie zrozumiałby tym bardziej, że to co powiedzieliśmy powyżej o kontrabandzie — w tej chwili jest już tylko historią. W połowie roku 1967 Fidel Castro stwierdziwszy, że jego leniwe społeczeństwo zdąża do socjalizmu zbyt wolno, rozpraszając swą energię, zamknął wszystkie bary i lokale rozrywkowe oraz rozpoczął walkę z prostytutką pojętą tak szeroko, że kontrabanda w poprzedniej formie straciła rację bytu.

SINDBAD ŻEGLARZ

Czarna lista

Jerzy Niekowski: „Zmarł w Wiesbaden”. *Współczesność*, Nr 14 z 2/15. VII. 1969.

Hamilton (pseudonim prawdziwe nazwisko Słojewski): „Za późno, generale”, *Kultura*, Warszawa, Nr 27 z 6. VII. 69.

Jerzy Wilmański: „Marek Hłasko — człowiek który nie wierzył w poranek”. *Tyg. Odgłosy*, Łódź z 6. VII. 69.

Edward Frankowskij (polski żurnalist): „Sieriebrianyj prazdnik”. *Liternaja Rossija*, Nr 29 z 18. VII. 69.

- Czesław Berenda (korespondent Polskiego Radia w Pradze). Artykuły i korespondencje o sytuacji w Czechosłowacji w rocznicę inwazji. P. Berenda był umieszczony już na „czarnej liście” w jesieni ub. roku z tych samych powodów.
- Ppłk. Ireneusz Ruszkiewicz. Korespondent *Żołnierza Wolności*. Po raz drugi na „czarnej liście” z powodu swych korespondencji.
- Marian Piechal: „Gałązka cyprysu czyli o poezji Kazimierza Wierzyńskiego”, *Poezja*, lipiec 1969. Oprócz nieinteligentnego i niesmacznego wykonania „zamówienia społecznego” niecisłość: ostatnim tomem K. Wierzyńskiego był *Sen-mara* a nie *Czarny Polonez*.
- Tadeusz Szumowski: „Rewelacje” historyczne z ostatniej wojny drukowane przeważnie w *Argumentach*.
- Ber (?): „Kraj i emigracja. O pewnej dyskusji w radio 'Wolna Europa'”. „Zagadnienia i Materiały” Nr 15 z 29. VII. 69. Wyd. Wydziału Propagandy i Agitacji KC PZPR.
- Janusz Stefanowicz: „Izraelski pożar Reichstagu”. *Kierunki* z 31. VIII. 69.
- Ryszard Wojno: „Komentarz” (o kampanii wrześniowej). Radio Warszawa I z 31. VIII. 69.
- Andrzej Albrecht: Też komentarz o kampanii wrześniowej, tym razem w Radio Warszawa II z 1. IX. 69.
- Leszek Gabriel: *Imperialistyczna dywersja*. Wyd. Iskry, Warszawa, w serii „Wszechnica Społeczno-polityczna ZMS”. Nakład 45.000 egz.

Popierajcie dywersję !

Prasa krajowa w osobie p. Sulewskiego, etatowego specjalisty zajmującego się naszą działalnością, pochowała ZESZYTY HISTORYCZNE ogłaszając nasze bankructwo. Nastąpiło to właśnie w momencie kiedy dzięki wzrostowi prenumerat możemy pismo nie tylko utrzymać, ale myślimy o jego przekształceniu na kwartalnik. Zamieszczając (w dużym skrócie) wypowiedź p. Sulewskiego liczymy, że zachęci ona Czytelników, by pomogli nam w realizacji naszego projektu.

REDAKCJA

ŻAŁOSNY KONIEC DYWERSYJNEGO WYDAWNICTWA

Zabrakło im prenumeratorów i prawdopodobnie będą musieli zawiesić wydawnictwo. Redakcja „Zeszytów Historycznych” paryskiej „Kultury” przyznaje to sama, stwierdzając z nie ukrywanym smutkiem w numerze piętnastym z 1969 r. (nota „Do czytelników”)... Krótko mówiąc, emigracja nie chce kupować historycznych wytworów, pochodzących z ośrodka paryskiej „Kultury” w Maisons-Laffitte pod Paryżem. Dotyczy to zarówno samych „Zeszytów” jak i publikacji książkowych wydawanych tam przez Józefa Mackiewicza, Tadeusza Katelbacha, Jerzego Monda i innych renegatów własnego kraju, do których doszłusował ostatnio ze swoją książką Julian Kulski, z łaski hitlerowskich okupantów komisaryczny burmistrz Warszawy. Kryzys

„Zeszytów Historycznych” paryskiej „Kultury”, konsekwentnie walczących „o zjednoczenie Europy”... wokół NRF — można było obserwować od dawna. I tu właśnie cisną się pod pióro uwagi i dygresje wyjaśniające równocześnie przyczyny tego kryzysu, który musi być głęboki, jeżeli zagroził zlikwidowaniem wydawnictwa, z jakiego paryska „Kultura” była zawsze bardzo dumna.



...Poświęcają natomiast „Zeszyty Historyczne” wiele miejsca „budowaniu mostów” między polską i niemiecką historiografią”...

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach „Zeszyty Historyczne” paryskiej „Kultury” nie mogą liczyć na prenumeratorów w środowisku polskiej emigracji na Zachodzie. Podnoszą się tam zwłaszcza wśród b. kombatanów, głosy ostrej krytyki, atakującej tę dywersyjną imprezę, jako wydawnictwo, nie mające nic wspólnego z losami i dziejami Polaków.

„Zeszyty Historyczne” starają się pomijać problematykę ruchu oporu i na darmo można by szukać na ich stronicach odbicia partyzanckiej epopei AK czy BCh.

...Skompromitowane swoim filogermanizmem „Zeszyty Historyczne” paryskiej „Kultury” są potępiane i ignorowane przez ogół emigracji polskiej. Nie chcą też łożyć na ich utrzymanie mocodawcy „Kultury” p. Giedroycia z różnych amerykańskich instytucji dó spraw wojny psychologicznej, gdyż przekonali się, że „Zeszyty Historyczne” na nikogo nie oddziałują. Takie są przyczyny zasadniczego kryzysu dywersyjnego wydawnictwa, które zawiodło się również na swoich przyjaciółach z NRF.

Wojciech SULEWSKI

Dziennik Ludowy z 19-20 lipca 1969, Nr 171. Warszawa.

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

**Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.**

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Problemy słowiańskie w Kanadzie

W czerwcu br. odbyły się dwie konferencje poświęcone zagadnieniom słowiańskim. Obie obradowały w Toronto, ściślej na dalekim przedmieściu, w gmachu York University. Część uczestników brała udział w obu konferencjach.

Pierwsza — doroczna konferencja Zrzeszenia Kanadyjskich Sławistów — obradowała od 12 do 14 czerwca włącznie. Skupia ona głównie — jeśli nie wyłącznie — pracowników naukowych zajmujących się problemami słowiańskimi w najszerszym tego słowa znaczeniu: a więc specjalistów z wszystkich dziedzin. Niemal wszyscy członkowie *Canadian Association of Slavists* pracują na kanadyjskich uniwersytetach. Oficjalną publikacją był rocznik, który dzięki staraniom i wysiłkom jego kilkuletniego redaktora prof. Adama Bromkego i przewodniczącego Zrzeszenia, przekształcony został w dwóch etapach na kwartalnik.

Ze sprawozdania ustępującego Przewodniczącego wynikało, że organizacja rozwija się, gdyż uczelnie rozbudowały studia sławistyczne. W związku z tym *Canadian Slavonic Papers* — obecnie kwartalnik pod redakcją prof. P. E. Urena (Carleton University — Ottawa) ma oczywiście więcej współpracowników i szerszy zasięg. Wobec likwidacji periodyku sławistycznego wydawanego przez prof. T. Domaradzkiego *Etudes Slaves et Est-Européennes* ukazuje się tylko jedno naukowe czasopismo poświęcone zagadnieniom słowiańskim a mianowicie *Canadian Slavonic Papers*.

Posiedzenia organizacyjne poświęcone były zarówno sprawom wewnętrznym jak i dydaktycznym, dokonano wyboru nowego przewodniczącego w osobie prof. E. Heiera z Uniwersytetu Waterloo, Rosjanina — wykładowcy literatury rosyjskiej, władającego zresztą wcale dobrze językiem polskim. Wice przewodniczącym został Polak-rusycysta, dr Kazimierz Pahmehl, profesor Uniwersytetu York. Oficjalnym delegatem Zrzeszenia na VII Międzynarodowy Kongres Sławistów, który odbędzie się w Warszawie, zos-

stał dr Zbigniew Folejewski, profesor Uniwersytetu Brytyjskiej Kolumbii (Vancouver).

Wszystkie referaty, z wyjątkiem dyskusji okrągłego stołu, miały charakter ściśle akademicki. Pewne odchylenie wniosłaby niewątpliwie p. B. M. Kasińska z Uniwersytetu Alberta, która miała mówić na temat rewolty młodzieży polskiej w 1956 r. i 1968 r. Niestety nie przybyła jednak na konferencję.

Dyskusja okrągłego stołu poświęcona była Czechosłowacji. Wzięli w niej udział profesorowie: A. Bromke, B. Korda, G. Fisher i A. Ressos. Odbiegała ona daleko od czysto naukowej analizy, aczkolwiek dyskutanci starali się o zachowanie dystansu wobec całego problemu, co jednak nie mogło się udać. Była to bowiem aktualna sprawa polityczna, do której każdy z mówców był politycznie nastawiony. Zarówno analiza wypadków jak i ich ocena, oraz horoskopy były różne, w niektórych punktach nawet bardzo odmienne. Najbardziej wnikliwe naświetlenie dał prof. Bromke, który też był najbardziej powściągliwy w kreśleniu obrazu dalszego rozwoju sytuacji, ale nie ukrywał swego optymizmu. Jednym z wykładowców był filolog z Warszawy, docent tamtejszego uniwersytetu, dr M. Szymczak, który spędził rok akademicki na Uniwersytecie Alberta. Mówił o niektórych problemach morfologicznych w językach słowiańskich.

Tradycyjnym zwyczajem kulminacyjnym punktem konferencji jest przemówienie wygłoszone podczas bankietu. Na mówcę zaproszono prof. Michela Lesage'a, dyrektora centrum slawistycznego w Paryżu. Specjalnością jego jest problematyka ZSSR, głównie zresztą sprawy polityczne, ale — jak wynikało z jego przemówienia — zna równie dobrze problematykę słowiańską, doskonale orientował się m.in. w sprawach polskich. Zaznajomił zebranych z francuskimi ośrodkami badawczymi i dydaktycznymi poświęconymi slawistyce. Wskazał iż chociaż istnieje dość dawna tradycja badań nad innymi krajami i narodami słowiańskimi, to jednak problematyka ZSSR góruje nad wszystkimi. Dotyczy to zarówno strony politycznej jak i społecznej, literackiej i lingwistycznej.

Z ubolewaniem stwierdził, że niemal cała slawistyka skupia się w Paryżu. Scharakteryzował poszczególne instytuty badawcze, periodyki oraz publikacje książkowe, kilku najwybitniejszych slawistów itp. Wyraził przekonanie, że slawistyka w Kanadzie, szczególnie na wyższych uczelniach, jest znacznie lepiej postawiona aniżeli we Francji. Mówił o związkach francuskich instytutów i poszczególnych uczonych z ośrodkami badawczymi w Polsce, nie szczędząc słów uznania uczonemu polskiemu, pracującym stale w Paryżu. Przemówienie wygłoszone ze swadą, pełne miłych słów pod adresem gospodarzy, przyjęte zostało oczywiście serdecznie. Ale chyba istotnym efektem tej wizyty jest nawiązanie kontaktów ze slawistami we Francji, co znajdzie wyraz zarówno w wymianie pracowników naukowych jak i materiałów.

Następna konferencja, która obradowała od 15 do 17 czerwca

włącznie była trzecią kolejną „o problemach kanadyjskich Słowian”.

Przypominamy, że pierwsza konferencja na ten temat odbyła się w Banff w 1965 r. z inicjatywy grupy profesorów ukraińskiego pochodzenia z Uniwersytetu Alberta. Uzyskali oni poparcie szeregu slawistów, władz prowincji, władz federalnych. W wyniku narad postanowiono wyłonić stały komitet i zwoływać konferencje co dwa lata. Powstał *Inter-University Committee on Canadian Slavs* organizujący te spotkania. Do komitetu tego wchodzią poszczególni slawiści, przedstawiciele większości uniwersytetów kanadyjskich.

Aczkolwiek akademicy są organizatorami i głównymi działaczami tej organizacji, to jednak spotkania nie mają charakteru naukowego. Niektóre referaty mogą służyć jako przykład pracy naukowej, ale większość jest na pograniczu publicystyki, niezbyt ścisłej informacji a nawet doniesień ni to istotnych ni to nawet ciekawych. Trzecia kolejna konferencja — jak wolno przypuszczać — przekonała ostatecznie organizatorów iż zachowanie jej jako „National Conference on Canadian Slavs” jest niewskazane. Następną więc będzie już spotkaniem dla przedyskutowania „problemów grup etnicznych”. Zmiana nazwy ma znacznie poważniejsze znaczenie aniżeli to się może wydawać.

A więc utworzenie drugiego ciała akademickiego zajmującego się zagadnieniami słowiańskimi — ale jednocześnie w zwężonym i rozszerzonym zakresie — nie dało oczekiwanych rezultatów. Organizatorom chodziło zapewne o wywołanie większego zainteresowania problematyką Słowian kanadyjskich nie tylko wśród naukowców ale i działaczy społecznych. Zakładano iż powstanie platforma współpracy nie tylko między naukowcami ale i innymi przedstawicielami grup słowiańskich. W konsekwencji takiego rozwoju grupy słowiańskie mogłyby solidarnie występować z pewnymi projektami i postulatami, mogłyby podejmować wspólnie pewne akcje zarówno na polu badawczym jak i na innych. Kontakty między pracownikami naukowymi i działaczami społecznymi ułtwiłyby oczywiście wzajemne porozumienie, pozwoliłyby niechybnie na usunięcie wielu nieporozumień.

Nadzieje organizatorów zostały tylko w skromnym zakresie spełnione. Dalszą pracę postanowiono więc kontynuować — i chyba słusznie — w szerszym gronie. Przypuszczalnie zmniejszy się udział naukowców-slawistów a zwiększy się ilość działaczy społecznych różnych grup etnicznych. Na trzech dotychczasowych konferencjach na czoło wybijali się referenci pochodzenia ukraińskiego i problemów ukraińskich, co jest uzasadnione liczebnością tej grupy w mozaice kanadyjskiej.

Referentami polskiej grupy etnicznej na ostatniej konferencji byli: dr Wiktor Szryński, profesor psychiatrii Uniwersytetu Ottawy, inż. J. Grodecki, wiceprezes Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej, mgr R. Kogler, ekonomista w ontaryjskim Ministerstwie Skarbu, prof. J. L. Perkowski z Uniwersytetu Texas, dr Iwona Grabowska, profesor Uniwersytetu York, mgr

T. Krukowski, wykładowca Uniwersytetu Ottawa. Tematyka ich referatów była bardzo szeroka. Prof. Szyryński mówił o psychologicznych aspektach integracji grup etnicznych, p. Grodecki przedstawił obraz szkolnictwa polonijnego, deklarując jednocześnie pełne poparcie Polonii dla ustawy o dwóch oficjalnych językach. P. Kogler nakreślił, posługując się danymi statystycznymi, obraz demograficzny Polonii Kanadyjskiej. Referat p. Grabowskiej dotyczył problemów lingwistycznych a p. Krukowskiego literackich. Wywody prof. Perkowskiego o kanadyjskich Kaszubach były wysoce powierzchowne.

„Gwoździem” konferencji był referat dra Bohdana Bociurkiwa, profesora nauk politycznych Uniwersytetu Alberta, który z bieżącym rokiem akademickim przeszedł do Uniwersytetu Carleton w Ottawie.

Dr Bociurkiw przedstawił wynik badań przeprowadzonych wraz — względnie przy pomocy — z p. S. Pobihushchy w lutym 1968 r. wśród studentów pochodzenia ukraińskiego na Uniwersytecie Alberta. Zaznajomił zebranych jedynie z najbardziej zasadniczymi aspektami swojej pracy. Ma ona się bowiem ukazać w całości z końcem br. i wówczas na pewno stanie się przedmiotem analiz i dyskusji.

Szczegółowa ankieta miała na celu ustalenie związków oraz nastawienia młodzieży akademickiej pochodzenia ukraińskiego do swojej grupy etnicznej. Obok tego prof. Bociurkiw badał nastawienie tej młodzieży do różnych problemów kanadyjskich oraz międzynarodowych i porównywał je z nastawieniem młodzieży nie-ukraińskiego pochodzenia.

Niesposób streszczać wywodów referenta ani tym bardziej przedrukowywać niezwykle wymownych obliczeń i tablic. Musimy się obecnie ograniczyć wyłącznie do bardzo zwięzłego przedstawienia niektórych punktów tej pracy. Prof. Bociurkiw stwierdza, że jedynie dzięki powojennemu przyływowi imigrantów powstrzymany został proces dezintegracji społeczności ukraińskiej w tym kraju. Jego zdaniem wraz z wymieraniem starszej generacji — a więc imigrantów okresu przedwojennego — kurczy się zarówno rola kościołów ukraińskich jak i organizacji społecznych. Proces odchodzenia od ukraińskości inteligencji drugiego i trzeciego pokolenia jest w stałym rozwoju. Dane z ankiety dotyczą niemal wyłącznie tak zwanej starej emigracji, to jest dzieci urodzonych w Kanadzie i z rodziców w większości urodzonych już też w Kanadzie, ale wątpliwe jest czy proces ten będzie inaczej przebiegał w drugim i trzecim pokoleniu powojennych imigrantów.

Otóż ponad 93 % respondentów oraz większość rodziców urodziła się w Kanadzie; z ich odpowiedzi bezspornie wynika iż świadomie pragną zatracić nawet religijne znamiona ukraińskiego pochodzenia. A więc obok wyraźnego braku więzi religijnej występuje przechodzenie z kościoła prawosławnego do protestanckiego (United Church) a z greko-katolickiego do rzymsko-katolickiego. Podkreślamy, że chodzi o młodzież z prowincji Alberta,

w której istnieje stosunkowo wiele skupisk ukraińskich i gdzie tworzą — obok Manitoby — najliczniejszą grupę etniczną. Młódzież ta pochodzi ze środowisk rolniczych i robotniczych, ze wsi i małych miasteczek. Rozpatrzenie tych danych na tym tle staje się jeszcze bardziej zastanawiające.

Ale idźmy dalej! Zaledwie 10 % respondentów używało w domu rodzicielskim wyłącznie języka ukraińskiego, 90 % ani nie abonowało ani nie przeczytało w ciągu roku ani jednego czasopisma lub książki ukraińskiej. Ponad połowa respondentów nawet nie spojrzała na publikację w języku ukraińskim.

Respondenci nie interesowali się w ogóle problematyką ukraińską, ani tą szeroką ani zwężoną to jest zagadnieniami grupy ukraińskiej w Kanadzie. Ponad 52 % stwierdziło w odpowiedziach iż są Kanadyjczykami podczas gdy 41 % określiło się jako „ukraińscy Kanadyjczycy” względnie „kanadyjscy Ukraińcy” a tylko 4 % jako Ukraińcy.

Do wyników tej ankiety łącznie z wnioskami prof. Bociurkiwa powrócimy po publikacji jego pracy. Obecnie ograniczymy się do stwierdzenia, że wywołała ona wśród uczestników konferencji wręcz piorunujące wrażenie. Podważyła niejedno pobożne życzenie i ciche nadzieje. Co prawda przedstawiciele innych grup etnicznych zapewniali ale niezbyt przekonująco, że „u nas inaczej”, ale wszyscy zasmucili się wynikiem ankiety i wolno przypuszczać iż po ogłoszeniu znajdzie się ona na warsztacie działaczy wszystkich grup etnicznych. Szukać się będzie zapewne środków zaradczych dla powstrzymania procesu wyobcowania młodej inteligencji z własnych grup.

Burzę polityczną wywołał natomiast prof. Gagnon z Montrealu, rzecznik separatystów zgrupowanych w Partii Quebecois. Ze zdumiewającą jasnością i prostotą informował zebranych o nastawieniu separatystów do grup etnicznych. No cóż? Powiedział iż powinny całkowicie zlać się, w pełni zasymilować się. Nie ma miejsca na jakieś mniejszości. Bardzo szpetnie obeszlę się z nim słuchacze, atakując każdą jego tezę, każdą wypowiedź, wykazując mu zarówno brak znajomości problematyki etnicznej, nastawienia tych grup do aktualnych problemów Quebecu. Mamy poważne wątpliwości czy referat ten był potrzebny. Jeśli organizatorzy uznali za celowe przedstawienie stanowiska słowiańskich grup wobec Quebecu — nie tylko ruchu separatystycznego — to znacznie rozsądniej byłoby przygotować odpowiedni referat czy też uchwalić w ramach ogólnej dyskusji odpowiednią rezolucję. Nie nastroczałoby to żadnych trudności gdyż różni mówcy bezpośrednio lub pośrednio ustosunkowywali się do problemu dwujęzyczności i dwukulturowości, do aspiracji i postulatów Quebecu. Niektóre referaty wygłoszono w języku francuskim, a niektórzy prelegenci przemawiali równie dobrze po angielsku jak i po francusku, co chyba również świadczyło o nastawieniu grup słowiańskich do francuskiej.

Obie konferencje miały dodatnie i ujemne strony, zarówno organizacyjnie jak i tematycznie. Pierwsza siłą faktu była pod

każdym względem bardziej składowa, jednolita, druga natomiast miała sporą ilość wręcz emocjonujących momentów. Ale chyba najważniejsze jest to iż pozwoliły one na spotkanie wielu dzięsiatków osób i omówienie na zebraniach oraz poza nimi szeregu aktualnych problemów.

Drugi tom publikacji *Slavs in Canada* omówimy oddzielnie.

Benedykt HEYDENKORN

Chlestakow w Warszawie

„Ja z nikim się nie liczę! Wszystkim mówię: 'Ja siebie znam! Ja sam!' Ja jestem wszędzie, wszędzie! Co dzień jeżdżę do cesarskiego pałacu... Jutro będę mianowany feldmarsz...” Nie przemilcza też nasz bohater swoich zasług literackich: „Tak, i w gazetach umieszczam. Jestem poza tym autorem wielu dzieł: *Wesele Figara*, *Robert Diabeł*, *Norma*... Nawet tytułów nie pamiętam... Bo dziś piszę raczej od niechcenia, przypadkowo...”.

Jak wiadomo, Chlestakowowi udało się umknąć w porę i uniknąć zdemaskowania. Uciekł do Ameryki i pod nazwiskiem Antoniego Gronowicza zaczął ogłaszać powieści, sztuki, biografie, a także i w gazetach umieszczać. Jedną z jego książek *Modjeska. Her life and loves* zdobyła nawet pewną notoryczność. Tak wulgarnie, z takim tanim sensacjonalizmem eksplorowała życie erotyczne Modrzejewskiej, że Zygmunt Nowakowski aż dwukrotnie rozdzierał nad nią szaty. Drugi jego artykuł nosił tytuł „Paszkwil”. W kraju rozprawił się z książką teatrologa J. Szczublewski. Określił ją jako „tani romans”.

Zdawałoby się, że wiemy z kim mamy do czynienia. Ale nie. Okazuje się, że wystarczyło Gronowiczowi złożyć kilka pisarskich dygów pod adresem reżymu, aby mógł do kraju przyjechać w glorii wielkiego pisarza. Fetuje go się tam, honoruje, wywiadów udziela. Mimo upływu lat nie opuszcza naszego Chlestakowa dawna werwa. I nadal zbyt skromności nie grzeszy. Oto co czytamy na temat jego studiów w przedwojennej Polsce: „Gronowicz, będąc uczniem VII klasy gimnazjum (w owym czasie przedostatniej klasy) zdał na I rok studiów uniwersyteckich. Z tego też powodu zaraz po maturze był już studentem III roku studiów”. Czyta się to przecierając oczy. Przecież żyją jeszcze w Polsce ludzie, którzy pamiętają, że w przedwojennej Polsce nie zdawało się „na I rok studiów uniwersyteckich”, ale że do wstąpienia na uniwersytet niezbędna była matura. Z danych biograficznych, jakich Gronowicz dostarczył *Słownikowi współczesnych pisarzy polskich*, wynikałoby, że skończył uniwersytet ze stopniem

magistra. Teraz już i doktoratu sobie nie pożałował. *A la bon-heur!*

Na krótko przed wojną Gronowicz znalazł się w Ameryce jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej. Żeby zaś nikt nie wyciągnął jakichś kompromitujących wniosków z takich fa-worów Polski sanacyjnej, Gronowicz nie omieszką wytłumaczyć, że był w dobrym towarzystwie: „Przed nim stypendystami tego Funduszu byli: Wanda Wasilewska i Leon Kruczkowski”. Wiadomo, dyrektor Funduszu, Stanisław Michalski, specjalnymi wzglę-dami darzył „żydokomunę”.

Z tym stypendium wyszły zresztą awantury arabskie. Ledwie znalazł się w Nowym Jorku, kiedy mu je cofnięto. Byłby w opa-łach, gdyby na szczęście nie zainteresował się nim — Prezydent Roosevelt. Chlestackow co dzień jeździł do pałacu cesarskiego. Gronowicz: „Wizyta w Białym Domu, dokąd został zaproszony przez Roosevelta — otworzyła przed nim wszystkie drzwi. Stał się nagle modny, mile widziany. Gdyby jednak poszedł wówczas po linii najmniejszego oporu — skończyłby na karierze *playboy'a*”. Ale on wybrał trudniejszą drogę. I został feldmarszałkiem lite-ratury.

Mniejsza o Gronowicza. Czego jak czego, ale fantazji mu nie brak. I to mimo wszystko nastraja czytelnika pobłażliwie wobec niego. Żenującą jednak jest rzeczą, iż tego rodzaju banialuki mo-gą się pojawiać w prasie warszawskiej. *Rewizor* Gogola jest ko-medią groteskową. Gogol poszedł w nim na przerysowywanie, karykaturę, szarżę. Ale i szarża nie może stracić zupełnie związku z rzeczywistością. Dlatego to Gogol pozwolił swojemu Chlestacko-wowi tak rozpędzić się w błędzie nie w jakiejś, powiedzmy, Tule, czy nawet w Konotopie, ale w zabitej od świata dziurze, której na żadnej mapie się nie doszukać. A teraz takie koszałki opałki drukuje się w tygodniku warszawskim. I to w tygodniku, które-go nazwa, zdawałoby się, powinna do czegoś zobowiązywać. Na-zywa się on bowiem *Kultura*. I to nie w numerze z datą 1 kwiet-nia, ale z dnia 24 sierpnia br. Jakżeż oni zakompleksieni muszą być wobec Zachodu, że nawet takiego Chlestackowa z Nowego Jorku potrafili wziąć na serio.

ph.



To zresztą nie pierwszy wypadek: przed laty, także w Kraju, fetowano Chlestackowa — dla odmiany z Paryża. Był nim p. Du-rocher-Kamiński. Wówczas rolę warszawskiej „Kultury” odegrało krakowskie „Życie Literackie”. (Red.).

Lepsze zabawy

Chcę zwrócić uwagę czytelników *Kultury* na książkę o dużej aktualności. Są to „Notatki kontrrewolucjonisty czyli katz” (bo jak inaczej przetłumaczyć *la gueule de bois*?) Piotra Rawicza*, mające za przedmiot rewoltę studencką w Paryżu. Humorystyczne aspekty tej niby-rewolucji, na które autor jest szczególnie wrażliwy, nie przeszkadzają mu widzieć, że mamy tu do czynienia z rodzajem leja bez dna: im więcej o tym się myśli, tym dalej w głąb przesuwają się przyczyny, aż do zakwestionowania społeczeństwa ludzkiego w ogóle.

Zastanawiające, że przybysze ze wschodniej części Europy, czy opuścili swoje kraje pochodzenia na stałe czy na krótko, do rewolty studenckiej w krajach zachodnich odnoszą się na ogół dość niechętnie, i to niezależnie od swoich politycznych przekonań. Dlaczego tak się dzieje, wyjaśnia może tytuł innej książki Rawicza: *Le Sang du Ciel*. Pamięć „krwawiącego nieba” nie usposabia entuzjastycznie do igrzań z dźwigniami społecznego mechanizmu. Zapewne myślę się ci, co mówią o jednym buncie młodzieży, tym samym, mimo różnicy ustrojów, we Francji, w Anglii, w Polsce, w Czechosłowacji, w Ameryce. Gesty i słowa mogą ludzić pozornym podobieństwem jeżeli pomija się funkcję jaką spełniają. Ruchy młodzieży w krajach zachodnich mają u podłoża niewyznaną tęsknotę totalitarną. Natomiast doświadczenie terroru, w jego odmianach sprzed i po 1945 r., odbiera za Elbą totalnym rozwiązaniom atrakcyjność.

Zresztą rewolta studentów na Zachodzie jest czymś swoistym, nowym i w swojej nowości dotychczas nienazwanym, analogie są na ogół mylące. Rawicz, doskonale tego świadomy, stara się nazywać, wprowadzając kosmopolityczny gąszcz ludzki Quartier Latin, notując rozmowy, sprzeczne opinie — przy czym najciekawsze nie są opinie Francuzów rodowitych, ale Rosjan, Pola-

* Piotr Rawicz. *Bloc-notes d'un contre-révolutionnaire ou la gueule de bois*. Paris, Gallimard, 1969.

ków, Węgrów, Izraelczyków, a kto wie czy nie trafia w samo sedno bardzo stara dama rosyjska, która przeżyła wiele rewolucji, łącznie z Powstaniem Warszawskim, kiedy powiada, że nigdy w życiu tyle się nie śmiała co tej paryskiej wiosny. Bo rebelia studencka była obnażeniem, przede wszystkim chaosu w ludzkich głowach: kiedy pęka codzienna rutyna, okazuje się, że nie wiedząc o tym żyliśmy wśród mnóstwa maskujących się wariatów.

Berkeley, światowa stolica studenckiej rebelii. Jakiś czas temu odwiedził Berkeley profesor z Bułgarii, podróżujący w ramach „wymiany kulturalnej”. Chodził zdumiony, olśniony, przerażony, nic nie rozumiejący, wśród brodatych młodzieńców o gołych torsach, o fryzurach Papuasów, o twarzach malowanych we wzory, bosych dziewcząt w mini-mini albo w powłóczystych koszulach aż do pięt, krościastych blondynów z jednym kosmykiem końskiego ogona na ogolonej czaszce, ubranych w żółte szaty buddyjskich mnichów, wśród psów, studenckich dzieci, brudasów grających na fujarce, Murzynów spędzających cały dzień na biciu w bębny (utrzymują ich białe dziewczątka). Po paru dniach takich przechadzek oświadczył: „*Da, tiepier ponimaju. Eto postojannyj karnawał*”. Niewykluczone, że „bezustanny karnawał” jest formułą sięgającą głębiej niż się to wydaje. Przyzwyczailiśmy się traktować ludzkie słowa jako wyraz „poglądów”, ludzkie akcje jako „mające coś na celu”. A gdyby w drugiej połowie dwudziestego wieku zaczynał się nowy okres, kiedy słowa, doktryny, działania zmieniają się w akcesoria teatralnego widowiska? Przecie w filmie „*La Chinoise*” (poprzedzającym o parę lat awantury sorbońskie) dla młodych francuskich maoistów teatr i rewolucja są nie do odróżnienia. Zabawa musi być podniecająca, a nie ma prawdziwie podniecającej zabawy bez *violence*. Nie wiem, czy bułgarski profesor widział kudłatych rewolucjonistów wsiadających do swojego Porsche, albo czy wie, że dla meksykańskiego chłopca dziko zarośnięci amerykańscy *hippies* to „bogaci *gringos* przebrani za żebraków”. Może przesadzam, ale rebelia paryska bez zdobycia władzy (jakikolwiek były przeszkody w polityce francuskich partii) nabiera symbolicznego wyglądu. Trud rządzenia, gospodarowania, nieuniknionego wyboru pomiędzy decyzją lepszą i gorszą, to zupełnie nieinteresujące. Tylko Rewolucja — ale pod warunkiem, że kto inny rządzi i dostarcza w swojej osobie obiektu dla nienawiści. To dziwaczne „na niby” oznacza być może chęć zdomowienia się w niedojrzałości. Kiedyś, kiedy Europę nękały ruchy faszystowskie posługujące się przede wszystkim młodzieżą, pisano wiele o pajdokracji, o rządach niedorostków. Kult wódzów miał dla tej młodzieży znaczenie wyzwalające: wyzwalał od dorosłości, bo wódz brał odpowiedzialność. Teraz natomiast ratuje od dorosłości Ustrój, bo nie trzeba być za kimś czy za czymś, wystarczy być przeciw.

Książka Rawicza nie zajmuje się samym przebiegiem wydarzeń, tylko wszystkim co wychodziło na powierzchnię wskutek wywrotowego *happening*. Noty, wyznania, nawet zapisy snów, składają się na inteligentny, zwięzły, stylistycznie bardzo nowo-

czesny, raport o umysłowości ludzi z drugiej połowy stulecia. Lekkość pióra, trochę cyniczna, jest raczej łudząca, bo autor jest bardzo trzeźwy, bardzo dorosły a mimo to wcale nie cyniczny.

Czesław MIŁOSZ

Na marginesie książki Wygodzkiego

Z wielkim zainteresowaniem, a właściwie jednym tchem, przeczytałam książkę S. Wygodzkiego „Zatrzymany do Wyjaśnienia” (Instytut Literacki, Paryż, 1968). Jest to powieść napisana w formie pamiętnika starego komunisty, który przebywał 6 lat w śledztwie w okresie stalinowskim. Lektura ta obudziła we mnie wiele wspomnień z pobytu w 1949 roku w więzieniu mokotowskim. Warto powrócić do dyskusji nad tą książką, tym bardziej, że doczekała się ona wydania w tłumaczeniu niemieckim w wydawnictwie Piper Verlag a tłumaczenia na inne języki są w drodze, podczas gdy wymiana zdań nad nią jeszcze jest daleka od wszechstronnego omówienia w środowisku polskim. Przeczytałam z uwagą krytykę Romana Palestra w „Na Antenie” (*Wiadomości* nr 1200/1201, 30 marzec - 6 kwiecień 1969 r.). Recenzent stawia autorowi zarzut, że przez cały ciąg powieści słyszymy wyłącznie o komunistach, jakby w Polsce nie było innych więźniów jak tylko członkowie partii. Ta krytyka oparta jest na nieporozumieniu, a właściwie na nieznanomości stosunków w więzieniach w Polsce. Więźniowie komuniści byli absolutnie odgradzeni od innych więźniów i prawie nigdy nie mogli się z nimi stykać. Na Mokotowie np. pawilon 10 i 11 mieścił więźniów PSL, b. członków Delegatury Rządu, AK, rzekomych sabotażystów gospodarczych i innych. Komunistów tam nie było. Byli oni wyłącznie w nowowypbudowanym pawilonie, który w naszym więźniarskim języku nazywał się „gmachem dla elity”.

Pewnego dnia zabrano więźniarkę z naszej celi na kilkugodzinne śledztwo. Po powrocie wykrzyknęła jako wielką nowinę: „Byłam w gmachu dla elity, moc dywanów na korytarzach, by przyciszać odgłosy kroków, pokoje do badań elegancko urządzone z dwoma telefonami. Żądano ode mnie zeznań dotyczących Żółkiewskiego na okoliczność Legionu Młodych w Wilnie, gdy podczas rozłamu na lewicę i sanację on nie poszedł za lewicą”. Oczywiście więźniarka ta wiła się jak piskorz na śledztwie, bo była jakaś solidarność przyzwoitych więźniów, by nie składać zeznań oskarżających innych. Ponieważ niedawno przysłałam z wol-

ności, udzieliłam w celi informacji, że tenże Żółkiewski jest przewodniczącym Komisji Kultury i Oświaty w Sejmie, redaktorem łódzkiego czasopisma literackiego *Kuźnica*. Zbierają tylko na wszelki wypadek materiały obciążające.

Następne wiadomości o gmachu dla elity przyniosłam sama powracając ze szpitala więziennego. W trakcie mego tam pobytu wniesiono do celi szpitalnej dziewczynę ze Związku Młodzieży Polskiej z wysoką gorączką, z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego. W godzinę potem zabrano ją na operację. W międzyczasie jednak dowiedziałyśmy się wielu szczegółów o gmachu dla elity. Urządzenia wewnętrzne zapobiegały przede wszystkim możliwości popełnienia samobójstwa. Szyby od wewnątrz osiatkowane, by ich nie zbić i szkłem nie przeciąć sobie żył. Nie było też kaloryferów, tylko ogrzewana podłoga, bo na jedenastce zdarzyło się kiedyś, że więźniarka próbowała popełnić samobójstwo uderzając skronią o kaloryfer. Zamiast sedesów, które traktowałyśmy jak wielki skarb, gmach dla elity miał staromodne kible, być może dlatego, że po opróżnieniu rur można się było porozumiewać z górą i dołem. Powracam jednak do ZMP-ówki, która tych informacji udzieliła. W pół godziny po jej przybyciu, wobec ciężkiego stanu zdrowia, które nie dawało gwarancji przeżycia operacji, przybył do niej śledczy i wydebilił jeszcze podpisanie protokołu, by w razie jej śmierci mieć korzystny dla śledztwa dokument. Po przyniesieniu jej z sali operacyjnej spędziła tylko u nas 2 do 3 dni a potem wzięto ją do izby chorych gmachu dla elity. Może zetknęła się tam z bohaterem książki Wygodzkiego, jeśli on już w tym okresie skończył pisać życiorysy w podwarszawskiej willi.

W szpitalu więziennym poznałam jeszcze jedną osobę z gmachu dla elity. Miała ona inteligentny i szlachetny wyraz twarzy, żydowskie rysy, chora umysłowo, ale jej choroba była wyraźnym wynikiem śledztwa domagającego się samooskarżenia. Współczułyśmy jej chorobie, bo nam z punktu oświadczyła, że my jesteśmy niewinne, tylko siedzimy przez nią w więzieniu. Była ciągle milcząca a milczenie to przerywała jedynie przemawiając do wizji, które spostrzegała w oknie. Raz wydawało jej się, że widzi towarzysza Minca i zaczęła go przepraszać, że on znalazł się w więzieniu mokotowskim wyłącznie z jej winy, bo tylko ona jedna jest winna. Innego dnia takie same przemówienie wygłosiła do tow. Bieruta. Szczytem wszystkiego był wieczór, w którym ujrzała tow. Stalina i zaczęła się kajać, że on przez nią jest zamknięty w więzieniu mokotowskim. Wieczór zakończył się tragicznie. Po zgaszeniu światła więźniarka ta powiesiła się na ręczniku na poręczy łóżka, bo krzywda którą wyrządziła w jej mniemaniu tow. Stalinowi była dla niej nie do zniesienia. Obudziło nas rżenie, zaczęliśmy walić pięściami w drzwi. Nadszedł najpierw dozorca, potem wezwana psychiatra doktor Szemberg, która miała do tej więźniarki jakiś specjalnie tkliwy stosunek, jakby wraz z nią przeżywała jej cierpienia. Więźniarkę odratowano.

W przeciwieństwie do Romana Palestra, który zarzuca auto-

rowi, że nie pisze o więźniach nie komunistach, ja przeciwnie miałabym wątpliwość, czy autor słusznie wprowadził do izby chorych budynku dla elity byłego starostę sanacyjnego, administratora jakiegoś majątku, ludzi z Delegatury Rządu Londyńskiego, AK-owców, katolików itp. Na obronę autora trzeba powiedzieć, że wspomina o tym tylko marginesowo. Wydaje mi się, że jest to fantazja literacka mająca autorowi posłużyć do wykazania, jaki był stosunek bohatera książki do ludzi wrogich partii.

Książka Wygodzkiego nasunęła mi jeszcze inne wspomnienia. Jest to analiza psychiczna człowieka, który mimo szykan i niesprawiedliwego uwięzienia, chce pozostać sobą, człowiekiem wierzącym swoim komunistycznym przekonaniom. Była również w naszej celi członkini AK, która miała jeszcze sprzed wojny lewicowe poglądy. Zgodnie ze swoimi zapatrywaniami przywitała z entuzjazmem ustrój komunistyczny w Polsce. Pragnęła nawet wstąpić do partii, ale zamiast spełnienia tych marzeń dostała się do więzienia mokotowskiego. Gdy zostałam przydzielona do tej celi, obchodziła trzecią rocznicę swego śledztwa pod zarzutem, że wywiad AK współpracował z Niemcami. Zwierzyła mi się ze swoich poglądów a ja radziłam jej żeby pozostała sobą, bo idee jakie człowiek reprezentuje, są jego osobistą, wewnętrzną własnością i nie mogą być zniekształcone przez dozorców czy śledczych. Była zdumiona, że usłyszała to od działaczki PSL, która siedziała za walkę z terrorem komunistycznym w Polsce. Ta właśnie więźniarka przeżywała śledztwo ciężiej niż inne jej koleżanki w celi, bo czuła się skrzywdzona. Mówiła na śledztwie prawdę i tylko prawdę wierząc, że w ten sposób wyjaśni się, że AK nie współpracowało z Niemcami. Miała złudzenia, że władzom śledczym zależy na wykryciu prawdy a nie na potępieniu niepodległościowych grup polskich według z góry postawionego wniosku. Nie łatwo było z nią dyskutować nie odbierając jej jedynej prawdy, z którą w jej mniemaniu łatwiej było przetrwać więzienie. Skutek był taki, że więźniarka ta miała śledztwo dłuższe niż którakolwiek z nas i bodaj dopiero po pięciu latach wyszła na wolność korzystając z lepszych powiewów, jakie nastąpiły po śmierci Stalina, pewnie w tym samym okresie jak Szpakowaty Wygodzkiego.

Książka Wygodzkiego nasuwa również rozmaite refleksje związane z pisanem życiorysów, które miały być drogą do szukania motywów oskarżenia. Te setki stron życiorysów były również udziałem wielu innych więźniów, Komuniści znajdowali się w okresie pisania w podwarszawskich willach, dobrze odżywiani, doskonale odizolowani mając papier i pióro do dyspozycji. Inni więźniowie jedli wówczas kit zamiast chleba, który przez pierwsze trzy miesiące zawsze wywoływał wzdęcia, spali na betonie na sienniczku, w którym zamiast słomy były resztki sieczonej, pod kocami, które z reguły były przyczyną drobnych czyraków na całym ciele. Wzywani na śledztwo byli obowiązani dyktować do protokołu szczegółowy życiorys, mając przy tym do pomocy śledczego ze złośliwymi pytaniami. Potem te życiorysy były uzu-

pełniane bądź przez konfrontacje, bądź w trakcie śledztwa innych więźniów. Nakaz dyktowania szczegółowego życiorysu uwzględniającego wszystkie kontakty z ludźmi dostałam również i ja, lecz odmówiłam jego wykonania. Dotyczyło to także wszelkich zeznań.

Inna jeszcze sprawa zwróciła moją uwagę w książce Wygodzkiego. Gdy po kilku latach śledztwa bohater tej książki dostał do wiadomości nakaz aresztowania, zląkł się, że dał swój podpis. Wydało mu się, że w ten sposób jakoby przyznał się do winy. Co najmniej dziwne mi się wydaje, że wieloletni konspirator-komunista który już z niejednego więzienia jadł chleb, nie wiedział o zasadniczym przywileju więźnia, że ma prawo zażądać pokazania mu sankcji prokuratorskiej. Przy pierwszym moim zetknięciu ze śledczym sama zażądałam nakazu aresztowania. Przyjęto to kpinami ale w trzy miesiące potem dostałam ów nakaz. Pozwoliło mi to wyjaśnić motyw oskarżenia a mianowicie próbę obalenia siłą ustroju Rzeczypospolitej Ludowej. Znajomość podstawy aresztowania umocniła moją pozycję odmówienia wszelkich zeznań i oświadczenia, że będę czekać na udowodnienie mi tej bredni, gdyż moja walka z komunizmem była walką jawną z terrorem, zawsze tylko środkami zgodnymi z obowiązującym prawem. Tego rodzaju postawa, pozwoliła mi na stosunkowo szybkie opuszczenie więzienia, po jedenastu miesiącach pobytu, pod pozorem, jak mi powiedział śledczy, że mnie więzienie nie wychowuje. Zdaję sobie sprawę, że zachowanie tej postawy było dla mnie dużo łatwiejsze niż dla członka partii, który był gotów wyświetlać prawdę ufając naiwnie, że władzom śledczym właśnie na tym zależy.

Swoje zwolnienie bez zastosowania silniejszych represji zawdzięczam w dużej mierze zręcznym manipulacjom lekarzy. Nie mam wątpliwości, że jako specjaliści przychodzący z miasta do więzienia, na pewno musieli oni być członkami partii a ich rysy i nazwiska świadczyły, że są żydowskiego pochodzenia. Miałam możliwość obserwowania tych lekarzy nie tylko w celi więziennej ale przede wszystkim w szpitalu w ich wielokrotnych kontaktach z więźniami. To że dbali oni o zdrowie powierzonych im pacjentów jest normalną rzeczą, ale chcę podkreślić, że w wielu wypadkach podtrzymywali ich moralnie, co miało szczególne znaczenie dla więźniów przebywających w samotnych celach. Łatwo mogli ci więźniowie utracić całkowitą wiarę w człowieka stykając się wyłącznie ze śledczymi. Jestem zdumiona, że S. Wygodzki, który z takim talentem umie wyszukiwać dobre cechy w ludziach, w swojej książce opisał tylko jednego lekarza-potwora i bardzo chwiejną lekarkę. Może tak było na izbie chorych w budynku dla elity. Chcę jednak oddać sprawiedliwość lekarzom więziennym, którzy niejednokrotnie przetrzymywali więźnia politycznego dłużej w szpitalu, by mu dać lepsze warunki niż w celi więziennej. Jedyne wypadki które znam, wykrywania przez nich symulacji choroby, dotyczyły wyłącznie kryminalistów. Żeby nie być gołosłowną w tej obronie lekarzy więziennych, chcę przytoczyć choć jeden ze znanych mi przykładów. Młodą 18-letnią dziewczyn-

nę w naszej celi śledczy wzywał co noc na kwadrans i to około północy, by wykorzystując okoliczność, że miała wypryski na twarzy, wmawiać w nią chorobę weneryczną. Krzyczał ordynarnie: „masz francuza”. Dziewczyna ta dopiero od współtowarzyszek celi dowiedziała się, co znaczą te słowa i ich sens. Więźniarkę postawiono pewnego dnia przed oblicze wenerologa w obecności śledczego a lekarz ten zapisał jej spirytus salicylowy i nieco pudru. Uspokoił ją absolutnie. Można to nazwać gestem jakiejś pięknej kurtuazji, gdyż dał jej w tamtych warunkach środki do zabiegów kosmetycznych. Tryumfalny powrót od lekarza tej więźniarki spowodował, że inne towarzyszek celi z punktu były zakochane w tym lekarzu, chociaż mało jest prawdopodobne, by którakolwiek z nich kiedyś go w życiu jeszcze spotkała. Nie znam nazwiska tego lekarza ale po dwudziestu latach, które upłynęły od tego czasu, chcę chociaż tą drogą wyrazić mu swoje głębokie uznanie.

Powieść S. Wygodzkiego jest fantazją literacką, w której, jak autor sam przyznaje w dopisku na końcu książki, w kilku wypadkach posługiwał się fragmentami autentycznych wspomnień i listów. Ja próbuję konfrontować tę fantazję z rzeczywistością. Myślę, że Władysław Gomułka lub Zenon Kliszko mogliby bardziej ściśle tę konfrontację przeprowadzić, bo byli więzieni w podobnych warunkach jak Szpakowaty Wygodzkiego.

S. Wygodzki walczy w swojej książce o humanizm w ruchu komunistycznym wkładając w usta Arona Szklarza takie słowa: „Ja tłumaczę, że komunista to taki człowiek, który nie robi świństw” i w takim stanowisku jest analogia do komunistów czeskich i słowackich.

Palester zarzuca autorowi, że widział tylko cierpienia przyjaciół komunistów a nie przychodzi mu nawet do głowy współczuć cierpieniu całego narodu. Czyżby krytyk nie zauważył w książce „Zatrzymany do Wyjaśnienia” relacji o masówce głodnych robotników w Bydgoszczy, delegacji drwali, którą bohater tej książki prowadzi do Ministerstwa Aprowizacji i wielu innych podobnych momentów? Przecież te masy robotnicze to nie członkowie partii — zwyczajnie — polscy robotnicy.

Wygodzki jest Polakiem, o czym nie tylko sam oświadczył publicznie po opuszczeniu Polski ale odczytać to można z kart omawianej przeze mnie książki. Chcę tu chociażby przytoczyć dyskusję, w której Wukop przeciwstawia się twierdzeniu innego komunisty, że nie należało walczyć w 1920 roku o Niepodległość Polski. Dla mnie to stwierdzenie jest miarą polskości Wygodzkiego-komunisty ale tego Palester w swojej krytyce nie zauważył. Książka była pisana 12 lat temu, kiedy jeszcze nie wyganiano Żydów z Polski i wtedy jej główny bohater próbuje namówić Arona Szklarza do pozostania mówiąc: „To wasz kraj, tu wasza ojczyzna”. Trzeba było dopiero moczarskiej akcji antysemitkiej, żeby Stanisław Wygodzki podzielił sam los Arona Szklarza.

Nie wiem jak S. Wygodzki zachował się w okresie stalinowskim, bo nie był to łatwy czas dla renomowanego komunisty.

Świadczą za nim jego książki o głęboko humanistycznej i zawsze propolskiej postawie. Zacytuję choćby zbiór nowel „Człowiek z Wózkim”, w którym bohaterami są Polacy, ukrywający podczas wojny Żydów z narażeniem swego życia. Tylko jako dalsze tło występują „szmalcownicy”, którzy zagrażali zarówno Polakom chowającym Żydów jak i samym ukrywającym się.

Życiorys napisany przez Palestra chce uzupełnić wzmianką o tragicznej drodze Wygodzkiego wraz z żoną i 4-letnim dzieckiem w zamkniętym wagonie do Oświęcimia, gdzie dojechał już tylko sam a szczęśliwy los zdarzył, że uniknął komory gazowej. Jeśli nawet Wygodzki popełnił jakieś błędy, o których mi nie wiadomo, niech go sędzi ten, kto miał cięższe przeżycia niż on. W każdym razie nie ma prawa osądzać go Mieczysław Moczar.

Przyszłą Polskę chciałabym widzieć demokratyczną. Jestem przekonana, że w wolnych wyborach wśród reprezentantów narodu znajdują się również komuniści zarówno polskiego jak i żydowskiego pochodzenia. Jeśli dożyję tych czasów i danym mi będzie zasiąść z nimi do wspólnego stołu, razem będziemy radzić nad losami naszej wspólnej ojczyzny.

Hanna CHORAŻYNA

Powieść o zaginionym świecie

Kryzys, jaki przechodzi ludzkość w skali dotąd niespotykanej, nie mógł nie odbić się na literaturze. To, że powieść czasów obecnych w dużej mierze wprowadza — nieraz może w dawkach zbyt silnych — element wstrząsu i grozy, jest w wielkiej mierze echem przeżywanych czasów. A przecież potworność otaczającej nas, albo mogącej nas oczekiwać rzeczywistości rodzi czasem potrzebę lektury zgoła innej niż ta, jaką obecnie bywamy karmieni — lektury, która dawałaby pewne wytechnienie moralne.

Lektura książki Józefa Pawlikowskiego pt. „Petersburskie narzeczeństwo”* daje takie wytechnienie.

Pozornie może się to wydawać dziwne, skoro powieść ta zarówno ze względu na swoje tło wojenno-rewolucyjne — tłem tym jest Rosja w czasach pierwszej wojny światowej i w początkach rządów bolszewickich — jak i ze względu na swój temat, którym są losy polskiej kolonii studenckiej w Petersburgu, nie tylko nie stroni, ale nawet stronić nie może od akcentów silnych i wstrząsających.

Wy tłumaczenia należy szukać — jak sądzę — w dwóch czynnikach.

Pierwszym jest trafne wycucie autora, umiającego zachować umiar, słuszenie podkreślony przez Zygmunta Rusinka w jego pięknej przedmowie do książki. Powieść Pawlikowskiego jest jednym jeszcze dowodem, że można pisać o rzeczach drażliwych i pisać mocno, niekoniecznie jednak uciekając

* Józef Pawlikowski. *Petersburskie narzeczeństwo*. Toronto, „Głos Polski”, 1968. (Z przedmową Zygmunta Rusinka). Str. 217. Fotografia autora.

się do skrajnie naturalistycznych opisów czy wręcz do podręcznika anatomii. Mamy też w książce obrazy dające pojęcie o grozie rewolucji — np. o sprawiedliwości sądu ludowego wyrażającej się w pochopnym uśmierceniu chłopca rzekomo winnego kradzieży, którego niewinność zaraz potem wychodzi na jaw, i w kolejnym uśmierceniu kobiety, która niesłusznie uważała się za okradzioną i rzuciła na owego chłopca podejrzenie. (Podobnemu wypadkowi poświęcił niegdyś Eugeniusz Małaczewski, w książce „Koń na wzgórzu”, opowiadanie „Państwo ponurej anegdoty”). Ale obrazy te nie zamieniają powieści Pawlikowskiego w jakieś patologiczne grzebanie się w okropnościach.

Drugim czynnikiem jest okres dziejowy, w jakim rozgrywa się akcja: okres pierwszej wojny światowej. Wszystko to, co gnębi świat dzisiejszy, w czasach tych było dopiero w zalążku. W akcji powieści zaznaczają się już zachodzące przemiany, ale jeszcze istnieje *ancien régime*’u, świat dawnych pojęć. Czytelnik, który może niejednokrotnie pamiętać te czasy, nie bez pewnego sentymentu czyta o takiej młodzieży, jaką opisuje „Petersburskie narzeczeństwo”, czy też o takim przedstawicielu starszej generacji, jakim jest odtworzony w powieści z niezmierną plastyką oryginał Ledóchowski, pod którym to nazwiskiem kryje się późniejszy twórca katolickiego uniwersytetu lubelskiego Karol Jaroszyński. (Wiele zresztą nazwisk użytych w powieści to kryptonimy, pod którymi kryją się prawdziwe postacie). Młodzież opisana przez Pawlikowskiego może się nam, przyzwyczajonym do dzisiejszej literatury, wydać, bez względu na burzliwość swych przygód, prawie niewiarygodną. Tymczasem jest ona taką jaką młodzież była zawsze, a od tej jaką odzwierciedlają dzisiejsze powieści, różni się tym, że jest moralnie zdrowsza, że zachowała jakiś podkład etyczny i patriotyzm, jakieś zainteresowania ogólniejsze. Że zaś taka była, jest w pełni wiarygodne. Opisany bowiem przez autora element to głównie studenci polscy, wysyłani przez rodziców na studia do Petersburga. Byli to zaś prawie zawsze ludzie, którzy wynieśli z domu pewną kulturę.

Największą zaletą książki Pawlikowskiego, obok żywości opowiadania utrzymującej uwagę czytelnika w ciągłym napięciu, jest to, iż w książce tej wyczuwamy prawdę. Trafne uchwycenie życia środowiska nadaje powieści bez wątplenia również wartość dokumentu historycznego.

„Petersburskie narzeczeństwo” jest osnutym na tle dawnych wspomnień autora debiutem pisarskim. I jest to debiut zachęcający.

Jan MORELOWSKI

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie.

Filozofia

73. GRODZIŃSKI, Eugeniusz: *Język, metajęzyk, rzeczywistość*. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 175 (1). (Instytut Filozofii i Socjologii PAN).

Praca z dziedziny epistemologii i filozofii języka. Zadaniem jej jest zbadanie — na pewnym odcinku — wewnętrznej logiki języka naturalnego.

74. LEM, Stanisław: *Filozofia przypadku*. Literatura w świetle empirii. Kraków (1969), Wydawnictwo Literackie, s. 608 (2).

(Prolegomena do wstępu do teorii literatury („empirycznej teorii literatury”), ujęte w rozdziały: „Kreacja dzieła”, „Semantyka i pragmatyka”, „Informacjonistyka i logika”, „Cybernetyka stosowana”, „Los społeczny, czy znaczenie dzieła”, „Nowoczesność, czyli przypadek”, „Modele dzieła”, „Strukturalizm i ewolucjonizm”, „Wycieczka w semiologię”, „Wprowadzenie w metakrytykę: teoria kultury”). Autor usiłuje przenieść na teren teorii literatury metody nauk empirycznych, wierząc iż rozjaśni w ten sposób „ciemne i antynomiczne problemy literaturoznawstwa”.

75. TUCZYŃSKI, Jan: *Schopenhauer a Młoda Polska*. Gdańsk, 1969, Wydawnictwo Morskie, s. 261 (1).

Rozprawa habilitacyjna, opracowana pod kierunkiem prof. K. Wyki. Analizuje wpływ i echa systemu Schopenhauera, a zwłaszcza jego filozofii pesymizmu na czołowych pisarzy okresu Młodej Polski: Przybyszewskiego, Irykowskiego, Ant. Langego, Nowaczyńskiego i in.

Socjologia. Nauki polityczne. Ekonomia. Prawo. Wychowanie

76. ORTHWEIN, Kazimierz: *Przemiany kulturalne i społeczne w podwarszawskim osiedlu Skolimów-Konstancin*. Wrocław, 1969, Zakł. Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo PAN, s. 215, ilustr., plany (Instytut Filozofii i Socjologii PAN, Zakład Badań nad Kulturą Masową). (Streszczenia w jęz. rosyjskim i angielskim).

Autor opracowania analizuje zmiany wywołane w znanym warszawskim osiedlu wypoczynkowym na skutek uprzemysłowienia okolicy i przemieszczenia resztek dawnych mieszkańców w napływowym elementem robotniczym (głównie pracownikami papierni). Wnioski opierają się na wynikach 200 odpowiedzi na kwestionariusze dotyczące procesu ewolucji poglądów i upodobań artystycznych ludności i warunków mieszkaniowych.

77. WIELOWIEYSKI, Andrzej: *Przed trzecim przyspieszeniem*. Szkice do zagadnień rozwoju społecznego. (Kraków, 1968, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK), s. 423 (1). (Biblioteka „Więzi”, t. 24).

Rozważania historiozoficzne na temat rozpoczynającej się obecnie „epoki trzeciego niezwykłego przyspieszenia rozwoju w bliżej nam znanych dziejach człowieka”.

78. KUSZYK, Władysław: *Walki klasowe na wsi polskiej, 1918-1919*. Materiały źródłowe. (Warszawa, 1968), Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 548 (2).

Materiały archiwalne, pamiętnikarskie i przedruki artykułów prasowych.

79. LANDAU, Zbigniew i TOMASZEWSKI, Jerzy: *Anonimowi władcy*. Z dziejów kapitału obcego w Polsce (1918-1939). Warszawa (1968), Wiedza Powszechna, s. 219 (1), ilustr. (Biblioteka Wiedzy Historycznej. Historia Polski).

Tendencyjnie dobrane przykłady z działalności kapitałów zagranicznych w życiu gospodarczym międzywojennej Polski. Pod ostrzałem autorów znalazł się Artur Benis, Alfred Falter, Ivar Kreuger, Henry Ulen, William Averell Harriman, Kronenbergowie i Toeplitzowie, Bank Handlowy w Warszawie, British Overseas Bank itd.

80. KAMIŃSKI, Aleksander: *Polskie związki młodzieży (1831-1848)*. Warszawa, 1968, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 287 (1).

Autor ogarnął badaniami trzy zabory i Rzeczpospolitą Krakowską, Śląsk Cieszyński, ziemie litewsko-ruskie i Rosję, Wiedeń — nie obejmuje Emigracji.

Językoznawstwo

81. STANISŁAWSKI, Jan: *Wielki słownik polsko-angielski*. Red. nauk. Wiktor Jassem. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo „Wiedza Powszechna”, s. XVI, 1584.

Słownik obejmuje 180.000 wyrazów i zwrotów z zakresu języka polskiego XIX i XX w. Na szczególne podkreślenie zasługuje szerokie uwzględnienie terminologii naukowej. W roku 1964 ukazała się część pierwsza Słownika (angielsko-polska) — rywalizuje z powodzeniem ze Słownikiem Fundacji Kościuszkowskiej, górując nad nim większą ilością odpowiedników i zwrotów.

Sztuki plastyczne. Muzyka. Teatr

82. PRZYWECKA-SAMECKA, Maria: *Drukarnictwo muzyczne w Polsce do końca XVIII wieku*. (Kraków, 1969), Polskie Wydawnictwo Muzyczne, s. 263 (1), ilus., bibliog.

Historia polskiego drukarstwa muzycznego od najwcześniejszego zabytku („Missale Wratislaviense”) aż po „Pieśń na dzień 3. Maia” — piękny miedzioryt Grölla z roku 1792.

Literatura piękna (poezja, powieść, dramat, esej)

83. HARASYMOWICZ, Jerzy: *Zielony majerz*. (Warszawa, 1969), Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 57 (1), na obwolucie fotografia autora.

Trzy cykle wierszy („Chmurkolistny”, „Musica antiqua” i „Marznie”), oscylujących wokół doszczętnie już przez poetę wyeksploatowanej tematyki cerkiewnej i botanicznej. Zawsze jednak dobre i dające do myślenia wiersze (zwłaszcza „Trójca zimowa”):

... I wierzą puszczę że kiedyś
Pan gromu wróci na trony

Jak jodła jest cerkiew cała
W czerwonych północy ptakach
Słychać tylko huczy w lasach
Wielki bęben Roku Chana

Brzóz kropidłem po trzykroć poświęcana
Niech będzie duszy wszelka swoboda
Jeszcze w śniegu istnienia tołub
Już porasta zielona jemiota...

Neologizm „chmurkolistny” zalatuje Krasińskim, czego się oczywiście na minus autora nie zapisuje.

84. STACHURA, Edward: *Przystępuję do Ciebie*. (Warszawa), 1968, Czytelnik, s. 48.

Tom wierszy napisanych w latach 1960-5 — jako cykl, w którym każdy utwór rozpoczyna się od słów „Przystępuję do Ciebie”, dając całości formę niejako litanii. Wiersze bardzo zaszyfrowane, pisane językiem wymyślnym, nasyconym po Czechowiczowsku elementami gwarowymi, oryginalnym. Język właśnie decyduje w dużym stopniu o wartości tomu i skłania że wracamy do lektury.

85. TABORSKI, Bolesław: *Głos milczenia*. Kraków (1969), Wydawnictwo Literackie, s. 70 (4).

Tomik wierszy własnych i przekładów poety z dawnej grupy „Kontynentów”, mieszkającego w Londynie, publikującego w Kraju. Kilka bardzo dobrych wierszy (np. „Nieszczęście”, „Kościuszkę”).

86. WOROSZYLSKI, Wiktor: *Przygoda w Babilonie*. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 62.

Na tomik składa się poemat autobiograficzny „Przygoda w Babilonie” (1965), cykl wierszy własnych pt. „Wariacje” („Wielkie spadanie z konia”, „Dmucanie w kaszę”, „... Wierzę Są którzy skaczą w ogień”, „Barbarzyński najemnik w mieście”, „O miasto w którym jestem jak wytrzymać tę tęsknotę za tobą”) — oraz przekłady wierszy Ajgiego i Wozniesińskiego. Stłumione, urywkowe przypominanie nam i sobie poety, który tak swą sytuację ujmuje:

*Wysiadłem tedy na stacji Babilon (Już dawno
nie pisywałem wierszy Wstydliva ta umiejtność
wyciekła ze mnie któregoś dnia Rytm
który jest początkiem wszystkiego i który
od początku pulsował we mnie urwał się naraz
jakby świerszcze zamilkły zabrane z dzieciństwa
Cisza nastąpiła)*

Po czym sen „na kształt szpaleru”:

*„To nie musi być szpaler chłoszczący Może
być wiwatujący usłużny lub odwrócony plecami”.*

Wiersze formalnie złe, dobre? — nie to jest najważniejsze.

87. DĄBROWSKA, Maria: *Domowe progi*. Wstęp i przygotowanie tekstu: Ewa Korzeniewska. Warszawa, 1969, Czytelnik, s. 273 (3).

Wznowienie powieści, będącej pierwszym rzutem „Nocy i dni”, znanej dotąd tylko z odcinków opublikowanych w „Kobiecie Współczesnej” w roku 1928-9. Bohaterami powieści są Barbara i Bogumił Niechcicowie w nieco innej wersji ich losów.

88. DOBRACZYŃSKI, Jan: *Spalone mosty*. (Warszawa), 1969, Instytut Wydawniczy PAX, s. 275 (1).

Akcja powieści osadzona jest (jak „Nostromo” Conrada) w fikcyjnej republice południowoamerykańskiej. Jest jednak według oświadczenia autora „powieścią o czymś co się jednak dzieje naprawdę w chwili obecnej, w świecie, który jest także naszym światem.

89. KRZYSZTOŃ, Jerzy *Panna radosna*. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 123 (1).

Dwie nowele: „Panna radosna” (dłuższa) i „Oby dniem wskrzeszenia był”. Pierwsza, o akcji osadzonej w Edynburgu, z marynarzem w roli głównego bohatera, pisana była pod niewątpliwym wpływem uważnego wczty-

wania się w utwory Conrada: przejęła od nich klimat i postać chmurnego starucha. W pokazywanym już dorobku pisarskim Krzysztonia nie jest to pozycja najlepsza.

90. PUTRAMENT, Jerzy: *Bołdyn. Powieść*. Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, s. 464 (2).

Bohaterem powieści dziejącej się w okresie „walk wyzwoleniczych narodu polskiego podczas okupacji” jest gen. Bołdyn. Autor określa powieść jako „studium psychiki ludzkiej poddanej wielkim przeciążeniom — władzą — odpowiedzialnością”.

91. IŁŁAKOWICZÓWNA, Kazimiera: *Rzeczy sceniczne*. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 290.

Na tom składają się cztery utwory sceniczne: „Baniałuka o chuliganie albo Każdy niech dzisiaj rozstrzyga: Chuligan czy nie chuligan” (pisane z myślą o teatrze lalek), — „Kto wie, czyje będzie na wierzchu”, farsa z akcją osadzoną w Polsce współczesnej; „Ziemia rozdarta”, dramat historyczny z dziejów Śląska na przełomie XIII i XIV w. oraz „W wigilię cudu” o królewiczu Kazimierzu.

Monografie historyczno-literackie. Biografie pisarzy

92. WITKOWSKA, Alina: *Kazimierz Brodziński*. (Warszawa, 1968), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 361, ilustr. (W serii „Ludzie Żywi”, t. 14).

Trudno o wymowniejszy przykład życiorysu ukształtowanego przez epokę, nasuwającą z kolei zastanawiające analogie z naszą współczesnością. Prowincjusz, przetrzucony ze szkoły w Tarnowie do napoleońskiej artylerii, dzieciuch karmiony na biwakach kaszą okraszoną gromnicą (— smakowała mu, wspomina z goryczą, w dniu śmierci brata poległego nad Berezyną), samouk wyniesiony przez swoistą koniunkturę na katedrę uniwersytecką w Warszawie, faworyt młodych (dlatego wzywany do uspakajania manifestantów), wreszcie *contre cœur* uczestnik Powstania Listopadowego i — „emigrant wewnętrzny” w zniewolonym Kraju, w przerwach między wojnami piszący... sielanki, okazał się właściwym bohaterem tomu w serii „Ludzi Żywych”. Książka bardzo dobrze napisana, kondensująca rozległą znajomość epoki w zwartych i wymownych obrazach.

93. FISZMAN, Samuel i SIEROCKA, Krystyna red.: *O wzajemnych powiązaniach literackich polsko-rosyjskich*. Tom poświęcony VI Międzynarodowemu Kongresowi Sławistów w Pradze. Wrocław, 1969, Zakł. Narodowy im. Ossolińskich — Wyd. PAN, s. 301 (1). (Instytut Badań Literackich i Zakł. Słowianoznawstwa PAN).

Referaty zjazdowe dotyczące Mickiewicza, Tołstoja, Gogola i innych. Nowszej literaturze poświęcone szkice: M. Rawińskiego o Brunonie Jasińskim, Edw. Balcerzana: „Jasiński a Majakowski” i Wł. Piotrowskiego; „S. Jesienin w literaturze polskiej okresu międzywojennego”.

94. FARON, Bolesław: *Zbigniew Uniłowski*. Kraków, 1969, Polska Akademia Nauk, Oddział w Krakowie, s. 24 (2), bibliog. (w serii „Nauka dla Wszystkich”, nr. 81).

Popularny, ale bardzo sumiennie opracowany zarys życia i twórczości autora „Wspólnego pokoju” i „Dwudziestu lat życia” zmarłego w 28-ym roku życia „na drodze do pełnego artystycznego rozwoju”. Gruzlik, zdający sobie jasno sprawę z postępów choroby, pisał na kilka lat przed śmiercią do swego odkrywcy i przyjaciela Karola Szymanowskiego: „Mnie się zdaje, że gdy człowiek (młody zwłaszcza) ma w krótkim czasie umrzeć, to podczas

choroby „dożywa” intensywnie to, co miałyby przeżyć do czasu śmierci w normalnym czasie. Silny ekstrakt intelektualny”. Nasuwa się określenie: pre-Hłasko.

95. ROCZNIK KOMISJI HISTORYCZNO-LITERACKIEJ. VII. Wrocław, 1969, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, s. 154 (2). Polska Akademia Nauk, Oddział w Krakowie.

Na tom składają się rozprawy: A. Urbańskiej o „Polsce i Polakach w „Listach oficera rosyjskiego „Fiodora Glinki (1805-1815)”, Danuty Matlak o Mich. Grabowskim i, najciekawsza, Mariana Tatary o Lechoniui („Od poezji wieszczej do stereotypu”). Autor dochodzi do wniosku, iż Lechoń mylnie jest oceniany jako kontynuator czy naśladowca Słowackiego. Intencją jego było położenie kresu poezji wieszczej i bunt przeciw stereotypom narodowym. Druga Wojna Światowa zwróciła go do nich na nowo i to w sposób drastyczny. Nie zawsze oznaczało to „obniżenie lotu”. Tatara uważa „Jana Kazimierza” za „jeden z najlepszych liryków polskich”.

Tom zawiera ponadto ciekawe studium A. Drzewickiej z teorii tłumaczenia.

96. BIAŁEK, Józef Zbigniew: *Poglądy krytycznoliterackie Karola Wiktora Zawodzińskiego*. Wrocław, 1969, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, s. 123 (1). PAN-Oddział w Krakowie, Prace Kom. Historyczno-literackiej, Nr 21. (Streszczenie w języku francuskim).

„Nadworny herold poetów na włościach Mieczysława Grydzewskiego” w okresie stalinowskim ponieważ współ z Borowym, doczekał się obszernej monografii dra Białka, autora książki o Ludwiku Frydem. Białek uważa, iż „w dziejach myśli krytycznej XX wieku Zawodziński zajmuje niewątpliwie ważną pozycję, aczkolwiek jego inspirująca rola jest dzisiaj prawie znikoma”. Sądzi, iż przeceniał grupę Skamandra i jej satelitów, czyni to jednak w sposób rzeczowy i „apologetyczny”. Określenie „wróg Nr 1” awangardy błędnie w świetle wywodów Białka — na plan pierwszy wysuwają się zasługi Zawodzińskiego jako czujnego obserwatora i krytyka międzywojennej produkcji poetyckiej, z której wyłowić potrafił niejednego autentycznego twórcę.

Biografie. Pamiętniki. Reportaże z podróży

97. STABIŃSKA, Jadwiga: *Królowa Jadwiga*. (Kraków), 1969, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, s. 146 (2), bibliog. (W serii: Ludzie i czasy, t. 5).

Autorka, zakonnica Benedyktynka, podjęła trudne zadanie skreślenia biografii Królowej w oparciu o rzetelną wiedzę historyczną, dobrą znajomość epoki, wykształcenie teologiczne i niepośledni talent pisarski. Wydanie książki wiąże się ze staraniami o beatyfikację Królowej podjętymi oficjalnie przez kard. Adama Stefana Sapiechę w r. 1950. Autorka, wierna prawdzie dziejowej, podchodzi odważnie do spraw trudnych lub spornych w życiorysie Królowej: unieważnienia „sponsaliów pro futuro” z Wilhelmem Habsburgiem, dramatycznej sceny wyrąbywania furty wawelskiej, stosunku do Krzyżaków czy wreszcie tzw. procesu Gniewosza. Autorka sprostała trudnościom, interpretując rzeczowo przekazy historyczne i ostrożnie oceniając ich wartość.

98. CHAŁUBIŃSKA, Aniela: *Ignacy Domeyko i jego wkład do geografii Polski*. Studium z historii geografii. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 227 (3), ilustr., bibliog. (W serii „Parerga Geographica”). (Streszczenie w języku francuskim).

Ignacy Domeyko znany jest przede wszystkim jako badacz Chile i organizator tamtejszego szkolnictwa wyższego. Okazuje się że pozostawił ponadto cenne prace z zakresu geografii Polski w postaci map hydrograficznych, geologicznych i gospodarczych ziem polskich oraz rozprawy naukowej będącej niejako komentarzem do tych map. Autorka odnotowuje starannie Mickiewicziana w biografii i pracach Domeyki.

99. SZENIC, Stanisław: *Franciszek Liszt*. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 561 (3), ilustr. (w serii „Ludzie Żywi” t. 17).

Novum opracowanej przez Szenica biografii Liszta stanowią liczne polonica, dotyczące przede wszystkim *liaison* Mistrza z Karoliną z Iwanowskich księżną Sayn-Wittgenstein. Szenic podszedł z anty-Boyowskim umiarem do historii smakowitego romansu, nasuwającego (poza zdecydowanie różnym finałem) liczne analogie z panią Hańską i Balzakiem. (Refleksja: Ile dały literaturze i sztuce piękny bogate i utytułowane dziedziczki kresowe, owe Eweliny, „Dydysze”, Karoliny, Maryle!).

100. KOLIŃSKA, Krystyna: *Tajemnice na sprzedaż*. (Warszawa), 1968, Iskry, s. 264 (2), ilustr.

Seria 14 „historii, które napisało życie”, omawiających sensacje biograficzne wielkich lub głośnych postaci: Sienkiewicza, Galiny Benisławskiej (która popełniła samobójstwo na grobie Jesienina), Wład. Kołakowskiego (jednego z „Dziesięciu z Pawiaka”), Ryochu Stanisława Umedy (zakochałego w Polsce Japończyka), Victora Lebrun’a (z „Jasnej Polany pod Marsylią”), Stanisławy Przybyszewskiej i tragicznej miłości Maksymiliana Gumpłowicza do Marii Konopnickiej, występującej w tym kontekście w roli „femme fatale”.

101. KRZYWOBŁOCKA, Bożena: *Biografie nietypowe*. (Warszawa), 1969, Książka i Wiedza, s. 266 (4), ilustr. (port.), bibliog.

(M.in. życiorysy Tadeusza Bobrowskiego, Kazimiery Bujwidowej, Jana Wacława Machajskiego, Jana Gorzechowskiego i Feliksa Dzierżyńskiego. Dobre ilustracje, pożyteczne zestawienia bibliograficzne).

102. KUBACKI, Wacław: *Malwy na Kaukazie*. (Warszawa), 1969, Czytelnik, s. 421 (1).

Reportaże z podróży po Gruzji, Armenii, Azerbajdżanie i Dagestanie odbytych przez autora w r. 1964 i 1966. Autor omawia interesująco dawne polskie opisy Kaukazu (Tadeusza Łady Zabłockiego, Leona Janiszewskiego, Wład. Strzelnickiego i in.).

Dzieje Polski

103. GRZYBOWSKI, Konstanty: *Rzeczy odległe a bliskie*. Rozmyślenia o historii Polski. (Warszawa), 1969, Książka i Wiedza, s. 291 (1).

Anty-Jasienica. Na obwołucie rodzaj imprimatur Gomutki. („Nam, pokoleniu budowniczych Polski socjalistycznej” etc. etc.).

104. PACHOŃSKI, Jan Zbigniew: *Legiony polskie. Prawda i legenda, 1794-1807*. T. I.: Działalność niepodległościowa i początki Legionów, 1794-7. (Warszawa, 1968), Ministerstwo Obrony Narodowej, s. 543 (1), ilustr., mapy, wykresy. (Wojсковy Instytut Historyczny, Zakład Historii Dawnego Wojska Polskiego).

Autor, historyk krakowski, zgromadził materiały do historii Legionów w latach 1930-ych i przy opracowaniu wydanego obecnie t. I wyżył

notatki i odpisy z zagubionych w czasie II Wojny Światowej słynnych „Tek Dąbrowskiego”. Rzeczą dojrzałą, przemyślaną i niezmiernie sumiennie opracowaną. Wydanie jej poprzedziła tegoż autora „Wojna francusko-neapolitańska 1798-9 i udział w niej Legionów Polskich” ogłoszona w dwu tomach w latach 1947-8.

105. HEMMERLING, Zygmunt: *Posłowie polscy w parlamencie Rzeszy Niemieckiej i Sejmie Pruskim, 1907-1914*. (Warszawa, 1968), Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 289 (3), bibliog. (Zakład Historii Ruchu Ludowego przy NK ŻSL).

Autor omawia polski ruch wyborczy w Rzeszy Niemieckiej jako legalną formę organizacji politycznej społeczeństwa polskiego, historię kampanii wyborczych oraz skład i działalność Kół Polskich w sejmie i parlamencie.

Historia najnowsza (II wojna światowa)

106. BARTOSZEWSKI, Władysław: *Palmiry*. Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, s. 107 (4), ilustr. (w serii „Biblioteka Pamięci Pokoleń” wydawanej przez Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa).

Na cmentarzu-mauzoleum w Palmirach na skraju puszczy Kampinoskiej spoczywają zwłoki 2.204 ofiar egzekucji hitlerowskich. Tu właśnie pochowani są: marsz. Maciej Rataj, Mieczysław Niedziałkowski, Jan Potoski, Janusz Kusociński i wielu innych. Opracowanie Bartoszewskiego przynosi w rozdziale końcowym listy ofiar oparte na protokołach PCK z okresu powojennych ekshumacji i dokumentacji konspiracyjnej oraz własnych poszukiwań autora.

107. CZAJKOWSKI-DĘBCZYŃSKI, Zbigniew: *Dziennik powstańca*. Kraków (1969), Wydawnictwo Literackie, s. 161 (3).

Autentyczne i zasługujące na ogłoszenie zapiski dowódcy drużyny w plutonie „Parasol”, towarzysza broni Krzysztofa Baczyńskiego i jedynego żyjącego świadka pogrzebu Poety. Dziennik rozpoczęty 26 lipca doprowadzony jest do 2 września. Autor liczył wówczas 18 lat.

108. PONAD LUDZKĄ MIARĘ, Wspomnienia operowanych z Ravensbrück. (Red. Helena Klimek). Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, s. 429 (3), ilustr.

(Wspomnienia 20 operowanych doświadczalnie więźniarek poprzedzone wstępem Wandy Kiedrzyńskiej).

Nadane nowe wydawnicze

PANO (Nicholas C.). *The People's Republic of Albania*. Str. 185 i 5 nłb. Seria: Integration and Community Building in Eastern Europe. (Wyd. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Md., 1968 oraz IBEG, Ltd., Londyn, cena w opr. 72/-, w brosz. 28/-).

KOSYK (W.). *Violation des droits de l'homme en Ukraine et en U.R.S.S.* Str. 159 i 1 nłb. z indeksem nazwisk i nazw geograficznych. (Wyd. Editions de l'Est Européen, 1969, Paryż, cena 15 F.).

- GARLIŃSKI (Józef). *Poland Soe and the Allies*. Przekład z polskiego Paula Stevensona. Str. 248 z dodatkami, źródłami i indeksem. (Wyd. George Allen und Unwin, Ltd., Londyn 1969, cena 35/-).
- DRACH, KOROTYCH, KOSTENKO, SYMONENKO. *Four Ukrainian Poets*. Przekład Marthy Bohaczewskiej-Chomiak i Danyły S. Struka w językach ukraińskim i angielskim. Str. 83 i 3 nlb. (Wyd. i zaopatrzył przedmową George S. N. Luckyj. Quixote, wiosna 1969).
- KORNÉ (Michaï). *Créativité*. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Editions du Temps Présent, Paryż, 1969).
- JACKSON (D. Bruce). *Castro, The Kremlin and Communism in Latin America*. Nr 9 Studies in International Affairs. Str. 162 i 4 nlb. (Wyd. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Md. 1969, cena dol. 2,45).
- RÓŻEWICZ (Tadeusz). *Faces of Anxiety*. Przekład Adama Czerniawskiego. Poetry Europe Series No 12. Str. 64. (Wyd. Rapp & Whiting, Londyn, Lipiec 1969, cena w opr. 25/-, w brosz. 16/-).
- KORBOŃSKI (Andrzej). *The Warsaw Pact*. Str. 73. (International Conciliation wyd. przez Carnegie Endowment for International Peace, maj, 1969, Taplinger Publishing Co., Inc., New York, cena 0,60 cent.).
- KRZYŻANIAK (Marian). *The Burden of a Differential Tax on Profits in a Neoclassical World*. Str. 447-477. (Nadbitka z tomu XXIII (No4, 1968) z kwartalnika Międzynarodowego „Public Finance”, Haga).
- BROMKE (Adam). *Czechoslovakia and the World*: 1968. Str. 581-591. (Nadbitka z „Canadian Slavonic Papers, No 4, 1968).
- BROMKE (Adam). *Aftermath of Czechoslovakia*. Str. 23-30. (Nadbitka z „Canadian Slavonic Papers, No 1, 1969).
- Yivo Annual of Jewish Social Science*. Vol. XIV. Str. 288. (Wyd. YIVO Institute for Jewish Research, New York, 1969).
- ŘIMKUS (Vytautas). *Lietuviu Sukilimas Vilniuje 1941 M.* (Rewolucja litewska w Wilnie w 1941). Str. 48. (Wyd. Londyn, 1969).
- XXV *Anniversario della battaglia di Montecassino, 1944-1969*. Program uroczystości w dniach 13-27 sierpnia 1969.
- KUROŃ (J.) i MODZELEWSKI (K.). *Otevreny dopis strane*. Str. 64. Powielacz. (Wyd. na prawach rękopisu Praski Zw. Studentów, czerwiec, 1968).
- PONEDIŁOK (Mykoła). *Zorepad*. Powieść. Str. 471 i 5 nlb.. (Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, Ont. 1969).
- MARCZENKO (Anatolij). *Moi pokazania*. Str. 144 i 4 nlb. Powielacz. (Wyd. Pall Mall Press, Londyn, 1969, cena 63/-).
- FILIPPOW (Borys). *Wieter Swiezejet*. Stichi i proza. Str. 48. (Wyd. Possev Verlag, Frankfurt, 1969).
- FILIPOVIC (Kornel). *Vrt gospodina Niekca*. Str. 109 i 3 nlb. Przekład Petara Vujicića, ilustracje Duszana Ristića. (Wyd. Izdavački zavod „Jugoslavija”, Belgrad).
- Historiska Och Litteraturhistoriska Studier*. Zeszyt 44. Str. 280. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors, 1969).
- FRENZKE (Dietrich) i USCHAKOW (Alexander). *Der Ussuri-Konflikt und das kommunistische Paktsystem*. Str. 300-310. (Odbitka z „Aussenpolitik No 5/69).
- SUKIENNICKA (Halina). *Wilno*. Teka grafik. (Wyd. Polska YMCA i Studium Malarstwa Sztalugowego Społeczności Akademickiej U.S.B. w Londynie, Lipiec 1969).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-8-69

Zakończył się w Kamieniu Pomorskim V Festiwal muzyki organowej i kameralnej. ■ Polska Akademia Nauk zapowiada stworzenie zakładu naukowego badającego historię Polonii i współczesne zagadnienia polonijne zaś Komisja Badań nad pamiętnikarstwem PAN ogłasza w porozumieniu z Towarzystwem Łączności z Polonią Zagraniczną konkurs na pamiętniki Polaków na świecie. ■ Po odkryciu przez krakowskich archeologów stanowiska łowców mamutów sprzed 20.000 lat, inna grupa naukowców odkryła w okolicach Łomnic osadę z epoki kamiennej, starszą od Biskupina o ok. 11.000 lat. Osada znajdowała się na pograniczu wyżyny miechowskiej i jury krakowsko-częstochowskiej.

17-8-69

W Seminarium Misyjnym Księży Werbistów w Pieniężnie odbyło się pożegnanie księży udających się na misje. 2 księży werbistów jedzie do Indonezji, 3 do Australii, 1 do Argentyny i 1 do Ghany.

21-8-69

W Sopocie, w Operze Leśnej, rozpoczął się IX Międzynarodowy Festiwal Piosenki.

23-8-69

Zmarł w Warszawie Eugeniusz Jerzy Płomiński, literat.

25-8-69

Zmarł w wieku 82 lat biskup Falkowski, ordynariusz łomżyński.

1-9-69

We Wrocławiu otwarto ogólnopolską spartakiadę młodzieży. Ma to być manifestacja na rzecz światowego pokoju. ■ W tym roku Polska otrzymała 406 nowych kapłanów, w tym 256 diecezjalnych i 150 zakonnych. ■ Po ukończeniu Studium Duszpasterstwa Emigracyjnego przy Seminarium Zagranicznym w Poznaniu, trzech księży ze Zgromadzenia Chrystusowego wyjechało do pracy duszpasterskiej wśród Polonii australijskiej, a tym samym liczba ich w Australii wzrosła do dziesięciu. Pracują oni przy parafiach australijskich w większych skupiskach polonijnych w Nowej Połudnowej Walii, w charakterze kapelanów dla Polaków. Prowadzą duszpasterstwo w 23 ośrodkach i obejmują stałą opieką około 15 tys. Polaków. ■ Z dniem 1 września br. w Puszczykowie koło Poznania grupa 10 księży chrystusowców udających się do pracy duszpasterskiej wśród Polonii zagranicznej, rozpocznie półroczne studia duszpasterstwa emigracyjnego. W programie: nauka języków, wykłady z zakresu dziejów Polonii, geografii, historii i kultury krajów przeznaczenia oraz duszpasterstwa emigracyjnego. Po ukończeniu studium księża wyjadą do Francji, Brazylii, Australii i Stanów Zjednoczonych. ■ Teatr-Laboratorium Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu wyjeżdża na miesiąc czasu do Wielkiej Brytanii a później na dwumiesięczne występy do USA. ■ W Dolinie Mickiewiczowskiej w Kownie stanie pomnik poety, wykonany przez rzeźbiarza Saneli. ■ W Gdańsku rozpoczął się XII Zjazd Pisarzy

Ziem Północnych i Zachodnich. W zjeździe uczestniczyć będą delegacje pisarzy z krajów socjalistycznych.

3-9-69

Zmarł Ho Chi Minh — prezydent Północnego Wietnamu.

4-9-69

W Bydgoszczy otwarto Festiwal muzyki dawnej krajów Europy Środkowej i Wschodniej. ■ W Jabłonnie pod Warszawą rozpoczęło się Międzynarodowe Spotkanie dziennikarzy i publicystów z państw antyhitlerowskiej koalicji z okresu ostatniej wojny. ■ Jury ogólnopolskiego konkursu literackiego o laur J. Czechowicza postanowiło nie przyznawać pierwszych nagród. Drugą nagrodę w dziale poezji otrzymał W. Kazanecki z Białegostoku, a w dziale prozy Zb. Strzałkowski z Lublina.

6-9-69

W Polsce rozpoczął się nowy rok szkolny. Do nauki przystąpiło ponad 7,5 mil. dzieci i młodzieży. ■ Ponad 50 tys. absolwentów różnych typów szkół nie znalazło zatrudnienia. ■ *Tygodnik Kulturalny* rozpoczął druk pamiętników b. ambasadora w Berlinie, Alfreda Wysockiego. ■ Obroty handlowe Rumunii z krajami zachodnimi wzrosły do 38,4 % w 1967. Jest to wzrost czterokrotny w porównaniu z 1960 r. ■ Polskie wyroby *non iron* (bluzki i koszule) powodują podrażnienie skóry. Katowickie Zakłady Przemysłu Tłuszczowego opracowały „mazidło” mające temu przeciwdziałać. *Życie Gospodarcze* skąd czerpiemy tę wiadomość przypuszcza, że tym „mazidłem” należy się smarować przed włożeniem bielizny. ■ W Polsce brak łańcuchów, co specjalnie odczuwa wieś gdzie są one niezbędne w gospodarstwie. Nie ma również szpilek nierdzewnych które trzeba importować, gdyż nie produkuje się ich w PRL. ■ W Zakopanem nastąpiło otwarcie „Jesieni tatrzańskiej” a w jej ramach II Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich. W Festiwalu biorą udział zespoły z 21 krajów. ■ W Polsce jest zarejestrowanych 3.588.467 telewizorów z czego na miasta przypada 2.700 tys. Największa ilość telewizorów jest w województwie katowickim (600 tys.), najmniejsza w Białostockiem (80 tys.).

7-9-69

W 1970 r. w PRL przewiduje się oddanie do użytku 347 tys. izb mieszkalnych — czyli o 5 tys. mniej niż w roku bież. ■ Papież mianował ks. prof. dr. Juliana Wojtkowskiego biskupem sufraganiem w Olsztynie.

8-9-69

W Poznaniu rozpoczął się XXI Zjazd fizyków polskich. W zjeździe biorą udział przedstawiciele Niemiec Wsch., Węgier i Bułgarii. ■ W Wilnie otwarto wystawę literatury polskiej. 40 wydawnictw prezentuje na wystawie 1.200 egz. książek.

9-9-69

Na prawie dziesięć tys. polskich wyrobów jedynie 174 — czyli niecałe 2 % ma prawo używać znaku Q (jakość na poziomie światowym). ■ Gomułka zapowiedział poprawę opłacalności produkcji żywności drogą podwyżki cen

skupu. ■ Do Berlina zach. przybyła grupa polskich ekspertów przemysłowych celem zbadania możliwości współpracy z przemysłem zachodnioniemieckim. ■ W Związku Sowieckim powstał Instytut Łączności ze społeczeństwem Niemiec Zachodnich. ■ Ukazał się w Warszawie pierwszy numer magazynu *Perspektywy*, który powstał na miejsce zlikwidowanego *Świata*. ■ W Belgradzie skonfiskowano numer pisma *Književne Noviny* za artykuł potępiający zeszłoroczną okupację Czechosłowacji. ■ Do Polski przybyła 30-osobowa wycieczka członkiní Związku Polek w USA, pod przewodnictwem prezki Związku Anieli Łagodzińskiej, która jest jednocześnie wiceprezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej. P. Łagodzińska przybywa do Polski po raz ósmy. ■ W Lublinie rozpoczął się X Zjazd historyków polskich. W obradach bierze udział 1.000 osób; będzie wygłoszonych ponad 70 referatów.

15-9-69

W Hrochuw Tynie w Czechosłowacji uruchomiono jedną z największych cukrowni w Europie, dzieło polskich budowniczych i projektantów. Będzie ona przerabiać 4.000 ton buraków cukrowych na dobę. Druga, podobna cukrownia o identycznej wydajności wznoszona jest przez polskie ekipy w miejscowości Hrusovany na Morawach. ■ Sytuacja gospodarcza w Polsce bardzo się w ostatnim czasie pogorszyła. Katastrofalnie wypadły zbiory rzepaku jak również ziemniaków, siana i koniczyny. Odbije się to niekorzystnie na hodowli trzody i bydła oraz na produkcji mleka i przetworów mlecznych. Wzrosło niepokojąco napięcie w sytuacji rynkowo-pieniężnej oraz sytuacji płatniczej handlu zagranicznego. ■ Tegoroczna susza spowodowała, że ceny warzyw w Polsce wzrosły o 22 % w porównaniu z rokiem ub. Ceny owoców wzrosły o 28 %. Tendencja zwyżkowa się pogłębia. ■ Ks. Prof. Józef Pastuszka obchodził jubileusz 50-lecia kapłaństwa i 48 lecie pracy profesorskiej. W br. przechodzi w KUL'u na emeryturę. ■ Przybył nagle do Ostrawy Wł. Gomułka — na zaproszenie G. Husaka. Prasa światowa informuje, że Husak zasięgał rad Gomułki w związku z przygotowywanymi czystkami i represjami w Czechosłowacji.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-8-69

W Detroit (USA) odbył się trzydniowy zjazd Ukraińców zwołany przez Organizację Odrodzenia Ukrainy w USA i Ukraińską Narodową Federację w Kanadzie. ■ Dr Włodzimierz M. Drzewieniecki prof. historii i dyr. programu studiów wschodnioeuropejskich w State University College w Buffalo został mianowany dziekanem wydziału historii tej uczelni. ■ Zmarł w Vilach dr Ladislav Feierbend, b. minister Republiki Czechosłowackiej (przed wojną) wybitny działacz emigracyjny. ■ W Santa Fe (USA) na dorocznym festiwalu odbyła się premiera opery K. Pendereckiego „Diabły z Loudun”.

20-8-69

Zmarł w Kanadzie, w wieku lat 80, prof. R. Schneider, znany artysta-plastyk, członek T-wa Przyjaciół paryskiej *Kultury*.

23-8-69

W Trewirze zmarł w wieku 67 lat ks. J. Styp-Rekowski, Prezes Związku Polaków w Niemczech. ■ Irak, Sudan, Syria i Egipt zerwały stosunki

z Rumunią na znak protestu przeciwko podniesieniu poselstwa rumuńskiego w Izraelu do rangi ambasady.

24-8-69

J. Sehnert polonista z Uniwersytetu w Bloomington (USA) ofiarował Polsce pomnik Mikołaja Reja, który ma stanąć w Nagłowicach w 400-letnią rocznicę śmierci. Odsłonięcie ma nastąpić we wrześniu br. ■ W roku 1970 areał zasiewów pszenicy w USA ulegnie redukcji o 12 %. Farmerzy otrzymają subwencje państwowe za pozostawienie ziemi odłogiem. ■ W Rzymie zakończyła się nadzwyczajna kapituła gen. księży Salwatorianów, poświęcon rewizji konstytucji zakonnej. Zakon został założony w Rzymie w 1881 r. przez Franciszka Jordana. Dziś liczy 1.450 zakonników rozproszonych po świecie, głównie na terenach misyjnych. Sekretarzem zakonu został ks. Wojciech Olszówka z Polski. ■ Według informacji Pentagonu ok. 125 okrętów sowieckich znajduje się na różnych morzach i oceanach. Największa flota jest skoncentrowana na morzu Śródziemnym (ok. 65 okrętów), na Atlantyku jest 40, na Pacyfiku 15 i ok. 10 na Oceanie Indyjskim. Wśród tych okrętów jest ok. 35 łodzi podwodnych.

27-8-69

Wojskowy samolot Bundeswehry, Starfighter, rozbił się w Westfalii. Pilot zginął. Jest to 98-y samolot tej marki, który ulega katastrofie. Jak dotąd poniosło śmierć 52 pilotów tych samolotów. ■ W styczniu 1970 r. Théâtre National Populaire w Paryżu wystawi w Salle Gemier w Paryżu *Operetkę* W. Gombrowicza.

28-8-69

W Liceum polskim w Les Ageux w roku 1968/69 liczba uczniów wynosiła 39: z USA — 6, z Niemiec — 11, z Belgii — 4, z Holandii — 1, z Francji — 17 — wśród tych ostatnich 8 przybyłych niedawno z PRL. Zespół profesorów liczył 13 osób łącznie z dyrektorem. 2 uczniów dostało świadectwa maturalne a promocje bez zastrzeżeń — 14. Budżet ogólny (budżet internatu jest traktowany osobno) zamykał się sumą 108.262,83 F. po stronie wydatków. Na dochód składały się: opłaty rodziców — 24.750 F. i ofiary — 83.480 F. ■ Zmarł w Kanadzie w wieku 80 lat Ilia Sapiha, znany ukraiński działacz, publicysta i wydawca tygodn. *Ukraina i Swit*.

29-8-69

Samolot linii amerykańskiej TWA został przez terrorystów palestyńskich przymusowo skierowany do Damaszku. Jest to 85 wypadek piractwa powietrznego od początku 1968 r. ■ Zmarł w Waszyngtonie w wieku lat 64 znany dziennikarz b. prezes Syndykatu Dziennikarzy RP w USA, Zygmunt Lityński. ■ W Australii ukazała się praca wykazująca różnice między głównymi grupami imigranckimi a Australijczykami jeśli idzie o ilość wypadków 5-ciu zasadniczych rodzajów chorób psychicznych w Nowej Południowej Walii. Wyniki te pokrywają się z badaniami przeprowadzonymi w Wiktarii przez dr Krupińskiego i dr Stollera (*Tygodnik Polski*, Melbourne): „Wypadki schizofrenii i obłąkania są znacznie częstsze u imigrantów, z wyjątkiem tych z Wielkiej Brytanii i Grecji. Polacy stoją tu na pierwszym miejscu, mając ogólnie 3,88 wypadków na 1.000 (mężczyźni 3,66, kobiety 4,10), przed Węgrami (3,48), i Jugosłowianami (3,32), a Brytyjczycy, łącznie z Irlandczykami, na ostatnim (0,71), po Australijczykach (0,73) i Grekach (0,88).

W wypadkach schorzeń psychicznych na podłożu alkoholizmu daje się zauważyć znaczną przewagę mężczyzn urodzonych w W. Brytanii (mężczyźni 1,84, kobiety 0,36), Nowej Zelandii (mężczyźni 3,36, kobiety 0,52) i w Polsce (mężczyźni 4,11, kobiety 0,40) nad Australijczykami (mężczyźni 1,38, kobiety 0,39). Wypadki depresji psychicznej są najczęstsze u kobiet z W. Brytanii (0,83) i u mężczyzn z Holandii (0,50). (U Polaków: kobiety 0,66, mężczyźni 0,18, a u Australijczyków: kobiety 0,42, mężczyźni 0,15). Neurozy i zaburzenia psycho-somatyczne zdarzają się najczęściej u Jugosłowian (kobiety 2,01, mężczyźni 0,91), oraz u mężczyzn urodzonych w Nowej Zelandii: 0,88 (kobiety 1,34) i w Niemczech: 0,72 (kobiety 0,58) i u kobiet urodzonych na Węgrzech: 1,85 (mężczyźni 0,51). (U Polaków stosunek ten wynosi: kobiety 1,20, mężczyźni 0,18, a u Australijczyków: kobiety 0,85, mężczyźni 0,33). Wreszcie tzw. *personality disorders* są wyższe w porównaniu z Australijczykami (0,43) tylko u Nowozelandczyków (1,16). (U Polaków: kobiety 0,53, mężczyźni 0,36). ■ Ks. Kardynał Wojtyła przybył na wizytację polskich ośrodków emigracyjnych do Montrealu, gdzie zabawi do 16 września, a potem uda się do Stanów Zjednoczonych.

1-9-69

Rada Naczelna Organizacji Polskich w Australii zawiesiła Związek Polski w Newcastle do czasu kiedy 3 osoby odpowiedzialne za broszurę pt. *Avenue of the righteous* (o której pisaliśmy w nurze wrześniowym *Kultury*) nie zostaną usunięte z zarządu a broszurka nie zostanie zdezuuowana.

7-9-69

Granada Television w programie „All our yesterday” nadała półgodzinną audycję poświęconą Powstaniu Warszawskiemu. Doradcą polskim był p. K. Rowiński. ■ Londyński *Observer*, w korespondencji Neala Aschersona z Warszawy, pisze m.in.: „W krótkiej kampanii wrześniowej z roku 1939, przedstawianej często jako daremna szarża kawalerii przeciw czołgom, Polacy zadali Niemcom niezmiernie ciężkie straty. Straty Niemców w kampanii polskiej równie były stratom poniesionym przez nich łącznie w kampaniach francuskiej, norweskiej, greckiej, kretańskiej i wszędzie indziej aż do najazdu Rosji. Była to ostatnia usługa, jaką Polacy oddali Europie zanim zostali pokonani”.

9-9-69

W Watykanie ogłoszono moto proprio pt. *Pastoralis migrantium cura*. Dokument ten jest zmianą konstytucji apostolskiej *exul familia* (1952) dotyczącej emigrantów, ich życia duchowego, kulturalnego oraz języka. Jest to duże pogorszenie dla emigrantów, którzy praktycznie zostali podporządkowani ordynariuszom krajów osiedlenia. Do tej sprawy powrócimy w przyszłości; chcemy doczekać się wyjaśnień ze strony polskiego episkopatu, tym więcej, że o przygotowywanych już od dłuższego czasu zmianach opinia emigracji polskiej nie była informowana.

11-9-69

W artykule zatytułowanym *Włoch który „odkrył” Polskę* mediolański *Corriere della Sera* domaga się upamiętnienia dwuchsetnej rocznicy urodzin Sebastiana Ciampi, uczonego opata z Pistoii pod Florencją. Ciampi spędził wiele lat w Polsce (w okresie 1817-1822 i potem w 1830), „uważał naród polski za swój”, utrzymywał stosunki z Krasieńskim, Chopinem, księciem

Czartoryskim i generałem Zamoyskim, i opracował monumentalną *Bibliografię krytyczną dawnych wzajemnych związków politycznych kościelnych naukowych literackich artystycznych Włoch z Rosją z Polską i z innymi krajami północnymi*, która w trzech wielkich tomach ukazała się w Florencji w latach 1834-1842.

12-9-69

W Londynie rozpoczął się Światowy XI Zjazd Delegatów Kół b. Żołnierzy Armii Krajowej. W roku bieżącym przypada 30 rocznica założenia podstaw Polski Podziemnej i 25 rocznica Powstania Warszawskiego.

13-9-69

W Mentonie (Francja) rozpoczął się XXXXI Kongres Pen Clubu. Biorą w nim udział przedstawiciele 40 krajów. Temat obrad uzgodniony z UNESCO: „Literatura w wieku rozrywki”. Na miejsce ustępującego Artura Millera prezesem został wybrany znany poeta francuski, Pierre Emmanuel. P. Emmanuel jest przewodniczącym *Association pour la Liberté de la Culture*.

15-9-69

M. Poniatowski w swym przemówieniu w parlamencie francuskim stwierdził, że według opinii ekspertów w r. 1985 w Stanach Zjednoczonych wystarczy zatrudnienie 2 % ludności aktywnej, by zapewnić całość produkcji przemysłowej i rolniczej. ■ W Czerwcu br. weszło w życie rozporządzenie The Foreign Compensation (Union of Soviet Socialist Republics) Order 1969. Według tego rozporządzenia każdy, kto był obywatelem brytyjskim w dniu wejścia w życie rozporządzenia tj. 16 czerwca 1969, może wnieść podanie o odszkodowanie za mienie nieruchome i ruchome lub inne należności utracone wskutek wyłączenia lub konfiskaty. Ale według art. 13 rozporządzenia, aby uzyskać odszkodowanie trzeba udowodnić, że mienie w czasie utraty było własnością brytyjską (British property), to znaczy że było własnością lub w posiadaniu obywatela brytyjskiego. Jeżeli idzie o mienie na terytoriach polskich przyłączonych do Sowietów, to wymagane jest by było British property przed 16 sierpnia 1945. Od posiadaczy papierów wartościowych (External Bonds) wymagane jest by byli obywatelami brytyjskimi w dniu 23 listopada 1959. Każdy posiadacz papierów państwowych (State Notes) może wystąpić o odszkodowanie, jeżeli przedstawi posiadane papiery do ostemplowania. Bliższe informacje można otrzymać w Foreign Compensation Commission, Alexandra House, Kingsway, London, W.C.2. Podanie do komisji należy złożyć do 31 grudnia 1969 na formularzu, który można otrzymać od komisji. ■ W wyborach prowincjonalnych w Manitobie uzyskali mandaty: ks. senior Donald Malinowski, proboszcz Polskiego Katolickiego Kościoła Narodowego w Winnipegu, powojenny emigrant, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w czasie ostatniej wojny oraz Józef Borowski, górnik, urodzony w Kanadzie, działacz Związku Zawodowego Stalowców, który w rządzie Nowej Partii Demokratycznej został ministrem transportu. Ks. Malinowski jest również członkiem NPD. ■ Zmarł w Londynie Józef Olechnowicz, znany wydawca emigracyjny, dyrektor księgarni i wydawnictwa „Orbis”. ■ W Monachium zakończył się Nadzwyczajny Sobór Ukraińskiej Autokefalfnej Prawosławnej Cerkwi. Sobór obrał nowego metropolitę i głowę UAPC w osobie arcybiskupa Mstysława Skrypnyka ze Stanów Zjednoczonych. ■ Zmarł w Sao Paulo w wieku 73 lat, Jerzy Pomian-Piątkowski, w czasie wojny z-ca attaché wojsk. Poselstwa R.P. w Atenach, przedstawiciel Kultury na Brazylię.

Komunikaty

TOWARZYSTWO PRZYJACIOŁ PARYSKIEJ „KULTURY” W MELBOURNE

Istniejące od niecałego roku Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej *Kultury* w Melbourne ma na swym koncie kilka wartościowych imprez, które mogą posłużyć nie tyle za wzór, co za pomoc w opracowywaniu planów działalności innym podobnym kołom, jakie na szczęście powstają w innych ośrodkach.

W Melbourne od kilkunastu lat owocnie pracuje Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne, którego comiesięczne zebrania są zawsze bardzo ożywione, mają dobry poziom i cieszą się niemalejącą frekwencją. Dlatego też pracę naszą trzeba było planować inaczej, aby uniknąć szkodliwego dublowania.

W listopadzie ub.r. urządziliśmy w Domu Polskim „Lampkę wina z Henrykiem Szeryngiem”, Okolicznościowy wierszyk pióra Andrzeja Chciuka oraz występy miejscowych artystów Danuty Wołczko (śpiew) i Tadeusza Leżonia (monolog) dały oprawę i nastrój.

W kwietniu br. znowu w Domu Polskim urządziliśmy „Wieczór ku czci Kazimierza Wierzyńskiego”. Referat i komentarz wiążący poszczególne deklamacje wybranych utworów Poety (razem 29 wierszy) wygłosił Andrzej Chciuk. Deklamatorami byli: pp. Maria Spielrein, Barbara Schenkel, Janina Dobrostańska, Daniela Antas, Liliana Rydzynska, Tadeusz Leżoń i Tomasz Ostrowski. Ponadto młody pianista polski R. Turewicz odegrał Marsza żałobnego Etiudę Rewolucyjną Chopina. Portret Zmarłego wykonał artysta-malarz Władysław Dutkiewicz z Adelajdy. Frekwencja ponad 130 osób, przez trzy bite godziny publiczność słuchała recytacji i prosiła o nowe.

Jako innowację na tym terenie wprowadzono wieczory dyskusyjne na określone z góry tematy. Odbyły się takie dwa wieczory, w czerwcu i sierpniu i za każdym razem frekwencja wynosiła ok. 90 osób. Naprzód *panel „ekspertów”* wygłasza swe opinie, a potem publiczność bierze udział w dyskusji lub stawia pytania poszczególnym członkom *panel'u*. Pierwszym tematem była sztuka Hochhutha „Żołnierze”, wystawiona dopiero co przez miejscowy teatr australijski. W *panel'u* pod przewodnictwem red. Romana Gronowskiego brali udział lotnik z Anglii kpt. Meysztowicz, konstruktor lotniczy inż. Millicer, adwokat Czachorowski i pisarz Chciuk. Każdy wypowiadał swą opinię o sztuce ze swego zawodowego punktu widzenia. Duża frekwencja jak na powszedni dzień i istotne zainteresowanie obecnych było dla organizatorów zaskoczeniem.

Drugim tematem dyskusyjnym była sprawa buntów młodzieżowych. Czy mają podłoże ideowe czy nie. Pod przewodnictwem Tadeusza Leżonia przeciw tezie występowali Maryla Fiedler, nauczycielka i Andrzej Gawroński nauczyciel gimnazjalny i dziennikarz, oraz dwoje młodych studentów gimnazjalny i uniwersytecki: Jola Zelicka i Tadeusz Zagórski. Za tezę występowali red. Tomasz Ostrowski i Andrzej Chciuk, oraz uczeń gimnazjalny Piotr Zarnowiecki, i student uniwersytetu z lewicy socjalistycznej Tadeusz Stolarek.

W planach mamy wieczór ku czci Hłaski i Gombrowicza, dalsze dyskusje i bal Przyjaciół *Kultury*, wieczór z pianistą Andrzejem Wąsowskim podczas jego tu pobytu, oraz występy teatru australijskiego dla Polaków wyłącznie z dwiema sztukami Mrożka. Planujemy dyskusję na temat linii i

ciekawszych artykułów *Kultury*, w przekonaniu iż podnotowanie dyskusji pomoże redakcji w zrozumieniu reakcji i potrzeb terenu.

W międzyczasie przesłano Redakcji *Kultury* z imprez i zbiorów w pieniądzu około 550 dolarów amerykańskich oraz ponad 20 prenumerat rocznych *Kultury*. Założycielami koła, które nie jest formalną organizacją, a gronem przyjaciół, byli: pp. dr Maria Łuk-Kozika — prezeska, Stanisław Kozika, Roman Gronowski (który na łamach swego *Tygodnika Polskiego* zawsze propaguje i ogłasza naszą działalność) Tomasz Ostrowski, dr Charles Walker, Tadeusz Leżoń, Krystyna Millicer, Andrzej Gawroński i inicjator pomysłu Andrzej Chciuk.



PRACA O GEN. TOKARZEWSKIM

Komitet Obywatelski Uczczenia Pamięci Generała Broni Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza przystępuje do opracowania książki, której celem jest utrwalenie pamięci o Generale i przekazanie Jego postaci do historii.

Niestety Generał nie pozostawił po sobie w gotowej formie żadnych pamiętników, które mogłyby być oddane do druku i dlatego Komitet musi uzupełnić i skompletować materiał, obejmujący zarówno życiorys Generała jak i całą Jego pracę dla sprawy polskiej.

W związku z tym, Komitet zwraca się do wszystkich osób dobrej woli, które znając Generała, są w stanie przyczynić się do rozszerzenia treści przygotowywanej książki. Pożądane są wszelkie materiały i relacje własne, dotyczące życiorysu, charakterystyki, działalności, czy wspomnień o wspólnych przeżyciach.

W książce będą wymienione nazwiska wszystkich osób, które przez swój udział zechcą dopomóc do jej powstania i wzbogacenia jej treści.

Komitet prosi o przysyłanie materiałów pod adresem sekretarza Komitetu Redakcyjnego: Z. Galewska, 98, Sharp's Lane, Ruislip, Middx. (W. Brytania).



NAGRODA LITERACKA IM. ANNY GODLEWSKIEJ

Doroczna NAGRODA LITERACKA im. ANNY GODLEWSKIEJ została na rok 1970 przyznana Marianowi HEMAROWI.

Nagrodę w wysokości 2.500 franków szwajcarskich ufundował syn Julian Godlewski.

Jury stanowili: Jerzy Stempowski, przewodniczący, Juliusz Sakowski, Stanisław Vincenz, Kazimierz F. Vincenz, sekretarz i Wiesław Wohnout.

Zebranie jury, zorganizowane jak zwykle przez Kiermasz Książki Polskiej w Szwajcarii, odbyło się w tym roku w Bernie.

Listy do Redakcji

Buenos Aires, 28 sierpnia 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 618 *Kuriera Polskiego* (wychodzącym w Buenos Aires) ukazał się kolejny atak p. J. Popławskiego na paryską *Kulturę*. Tym razem motywem ataku stało się sprawozdanie p. M. Lurczyńskiego z podróży jego do Polski.

O cóż tam konkretnie w tej sprawie chodzi? Oto p. M. Lurczyński widział w Polsce (zaraz po przejeździe granicy niemieckiej) wyboiste, źle utrzymane drogi i niedostatecznie rozbudowane punkty obsługi samochodów. Widział szwendających się po ulicach pijaków i widział ludzi, których zachowanie dalekie było od grzeczności. Nie podobał mu się sposób odbudowy Gdańska, a ogólne wyniósł z Polski wrażenia ujemne. I to wszystko ogłosił w *Kulturze*.

Nie on pierwszy i nie ostatni. Ostatecznie ludzie mają oczy do patrzenia i uszy do słuchania i z tych organów przeważnie czynią właściwy użytek. Na temat stosunków w Polsce pisali dużo Flemming, Hłasko, Lubelski, Boniecka i cała plejada pisarzy o głośnych nazwiskach. Ale nie tylko. Przez ręce moje przeszły setki książek wydanych w kraju i liczne pisma krajowe, których o złośliwą tendencję posądzać nie można. I tam właśnie spotykamy całkowite potwierdzenie spostrzeżeń Lurczyńskiego z wyjątkiem może jego uwag o Gdańsku.

Ale rewelacje te (które wcale rewelacjami nie są) bardzo się nie podobają p. Popławskiemu, bowiem on wyniósł z Polski wrażenia jak najlepsze pod każdym względem — superlatywy dotyczące wszystkich dziedzin życia polskiego w kraju.

Pytanie zasadnicze: czy panu Popławskiemu wolno opowiadać rajske historyjki jako polską rzeczywistość?

Jestem zdania, że wolno. To jego święte prawo.

A czy p. Lurczyńskiemu i innym wolno pisać rzeczy całkowicie sprzeczne z poglądami p. Popławskiego?

Jestem zdania, że wolno również, skoro nie żyjemy w którymś z krajów tzw. „demokracji ludowej”. O cóż więc chodzi?

Chodzi o to, że p. Popławski wywiózł z Polski zbyt „demokratyczne” poglądy na istotę wolności słowa. Pewne „demokratyczne” metody stosowane w kraju zachwycają p. Popławskiego i chciałby je stosować i tutaj, na emigracji. I wziąć „za pysk”, znenawidzoną paryską *Kulturę* i zgnieść rozmaitych Flemingów i Lurczyńskich. Dlatego właśnie stwierdzenie ujemnych objawów polskiego życia w kraju nazywa „oczernianiem narodu polskiego”. Bo p. Popławski utożsamia reżym komunistyczny w Polsce z polskim narodem. Nasuwa się tutaj jeszcze jedno zasadnicze pytanie: dlaczego jeśli tam tak dobrze i pięknie w tej komunistycznej Polsce, dlaczego p. Popławski do niej nie wraca?

I jeszcze jeden aspekt tej sprawy: oto p. Popławski na podstawie dowolnie wybranych fragmentów zdań — jak to uczynił kiedyś w związku z książką Jacewicza (Miranda) — sugeruje swoim oponentom ich rzekomo filoniemieckie sympatie. Praktyki takie są najzupełniej sprzeczne z dobrymi obyczajami pisarskimi.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i poważania,

Czesław CIECHOŃSKI

Hollywood, 31 sierpnia 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od pewnego czasu wśród Amerykanów modne stały się tzw. *polish jokes*. Niewybredne te dowcipy polegają na przedstawianiu Polaków jako kompletnych matolek, którzy nie wiedzą z której strony odkorkować butelkę, konstruują rewolwery strzelające właścicielowi w głowę itp.

Nasi koledzy Amerykanie w biurach bardzo często wygłaszają te dowcipy, zupełnie nie krępując się obecnością Polaków. Jest to denerwujące i nieraz zastanawiałam się jaka powinna być nasza reakcja. Doszłam do wniosku, że na te dowcipy trzeba mieć odpowiedź niebywałą, po której dowcipnisiom odeszłaby na nie ochota. Chodzę więc i myślę, ale nie fenomenalnego wymyślić nie mogę.

Może ktoś z naszych zdolnych literatów lub publicystów wymyśli to dla mnie?

Z poważaniem,

Krystyna EICHLER



Haan, Rhld, 8 września 1969 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z niesłabnącym zainteresowaniem czytuję stale Wasze poczytne pismo, lecz tylko z profesji „Przegląd Niemiecki”. Nie jestem tutaj odosobiony w opinii — a to nie tylko wśród Niemców — że obiektywność danego „Przeglądu” pozostawia wiele do życzenia. Insynuacje ostatniego „Przeglądu” o ewentualnej przyszłej koalicji demokratycznej CDU/CSU z neofaszystowską NPD, są nie tylko złośliwe, lecz pozbawione wszelkiej rzetelności dziennikarskiej. Śmiało ryzykuję twierdzenie, że nawet korespondent warszawski nie odważyłby się do podobnej prognozy, gdyż musiałby się liczyć z ośmieszeniem samego siebie. Bajki p. Kozłowskiego pochodzą wobec tego z beczki skrajnej lewicy NRF i nie są godne korespondenta tak poważnego pisma, jakim jest *Kultura*.

Łączę wyrazy szacunku,

mgr Joachim Georg GÖRLICH



Londyn, 15 sierpnia 1969.

Szanowny Panie Redaktorze.

Piszę ten list, gdyż nie zdążyłem, po wielu oporach i wahaniach, wyrazić opinii o pisarstwie Witolda Gombrowicza jeszcze za jego, samotnego, jak wydaje się, życia.

Doczekał się uznania i sławy, która przyszła późno, ale była w pełni zasłużona. Na fenomen Gombrowicza złożyło się wiele trudnych niekiedy do określenia talentów: głęboka inteligencja, swoboda formy, ostry zmysł obserwacji a zarazem metaforyczny prawie zapis świata; ale również prawdziwy w swej bezradności humanizm; poetyckie spojrzenie jakże szczere i czyste. Niedoskonałość literatury była głęboko przez Gombrowicza odczuwana, stąd wątplenie prawie w to co nazywamy np. poezją. Chęć stworzenia jakiejś doskonalszej inności. Wspaniała, niezrozumiana najczęściej autoironia. Prawda ludzka i prawda artystyczna.

Już nigdy nie rozpocznę lektury *Kultury* od „Dziennika” Gombrowicza. Zawsze powracać będę jednak do jego dzieł oddychając ich klimatem, dumny, że tak wielka inteligencja pozostała wierna samej sobie.

Niedawna nagonka na chorego już zapewne autora w której prostak sprzymierzał się z erudytą niechaj pozostanie miarą nieporozumienia, które nami rządzi.

Z poważaniem,

Zdzisław MAREK

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę uprzejmie o zamieszczenie poniższych uwag dotyczących recenzji mojej bibliografii *Polish American Serial Publications, 1842-1966; An Annotated Bibliography* zamieszczonej w *Kulturze*, nr 4 z 1969 roku na stronach 142-147. Zgadzam się, że są błędy i niedociągnięcia w mojej bibliografii; osobiste obserwacje dziesiątek znakomitych bibliografii wyleczyły mnie ze złudzenia, że moja bibliografia jest wyjątkiem. Nie mogę jednak zgodzić się z zarzucaniem błędów tam gdzie ich nie ma.

Nie mogę dopatrzeć się związku pomiędzy opuszczeniem znaków diakrytycznych w mojej bibliografii i jej zaliczeniem do grupy katalogów. Te dwie dane nie pozostają w żadnym takim związku, jakiego dopatruje się p. Kowalik. Dodam, że *The National Union Catalog* wprowadza znaki diakrytyczne dla polskich tytułów, ale nikt nie uważa go za bibliografię.

P. Kowalik zarzuca mi opuszczanie podtytułów czasopism i widzi w tym źródło nieporozumień w utożsamianiu pisma. Krótko powiem, że utożsamianie pisma w większości wypadków wymaga większej ilości elementów niż sam tytuł: miejsce wydania pisma, częstotliwość jego wydawania, lata wydawania pisma, itd. są tymi elementami; dla mnie pisma *Polska* (Kujbyszew) i *Polska* (Ludwigsburg) to zupełnie różne pisma, bo element miejsca wydawania pisma wskazuje na to; dalsze elementy, jak numeracja pisma utwierdzają bibliografa, że ma do czynienia z dwoma pismami.

Omawiając opis Inter-Catholic Press Agency, Inc. [Press releases. Wersja Polska], p. Kowalik zauważa, że ten biuletyn nie należy do druków ciągłych. Pozwolę sobie nadmienić, że tytuł w mojej bibliografii jest ujęty w nawias kwadratowy, co wskazuje na charakter przyjętego tytułu, i wysunąć zapytanie jakby p. Kowalik opisał ten biuletyn; czy uważałby, że każdy numer jest oddzielną monografią?

P. Kowalik, pisząc o *ACPCC Bulletin*, jest zgorszony, że nie wyliczyłem wszystkich miejsc wydania tego biuletynu. Dla wyjaśnienia tej sprawy pozwolę sobie przytoczyć pewną zasadę, która zezwala na opis dany przeze mnie: „*A Conventional note beginning with the phrase 'Imprint varies' is generally used unless there has been but one change of place and publisher*”. Ponieważ tylko miejsce wydawania zmieniało się, określenie zostało odpowiednio zwężone w moim opisie.

Recenzent zarzuca mi powierzchowne potraktowanie pism z okresu lat 1940 — w porównaniu z pismami z okresu poprzedzającego. Celem wyrobienia sobie opinii o tym traktowaniu można by porównać opisy zawarte w mojej bibliografii z opisami podanymi przez p. Kowalika, który pisał specjalnie o okresie po roku 1940 w swym „Czasopiśmiennictwo”, w drugim tomie zbiorowej pracy *Literatura Polska na Obczyźnie 1940-1960*, na stronach 528-532. Sprawę oceny pozostawiam Czytelnikowi.

P. Kowalik uważa, że moja lista bibliografii i studiów jest niekompletna. Oczywiście, że jest niekompletna i nawet nie zamierzałem podać kompletnej listy. Włączyłem do mego spisu te bibliografie i studia, które zawierały informacje nie zawarte w innych źródłach. Myli się, że miałem zamiar podać

tak zwaną bibliografię „zalecającą”. Ilość informacji nieznanych z innych źródeł była czynnikiem decydującym. Właśnie z tego względu wspaniała praca Iwickiego i artykuł Fiebiga zostały włączone, choć są to źródła stojące na przeciwległych sobie biegunach.

Nie będę wdawał się w dyskusję o tak zwanym rozszczepianiu pism, gdyż liczne zasady określają jak te sprawy należy rozwiązywać. Ilość tych zasad i ich obszerność nie pozwalają mi na ich dosłowne przytoczenie. Pragnę jednak dodać, że w pewnych warunkach rozwiązanie pewnego problemu jest sprawą wyboru pomiędzy dwoma możliwymi opisami. Ale jakkolwiek bibliograf rozwiązałby dany problem, jeśli powiązał opisy wzajemnymi odnośnikami, czytelnik będzie poinformowany o związku danych pism.

Celem recenzji jest poinformowanie czytelnika o nowej książce, podkreślenie osiągnięć i wytknięcie błędów. Wolno to robić recenzentowi, przyjmując swój punkt widzenia, ale budowanie piramidy chaosu pojęć i podejmowanie omawiania danej pracy z takiej pozycji jest raczej bardzo rzadko spotykane.

Łączę wyrazy poważania,

Jan WEPSIĘĆ

OD REDAKCJI

Zawiadamiamy naszych prenumeratorów, że abonament *Kultury* na rok 1970 zostaje podwyższony we Francji do sumy F. 60 (półroczny F. 32; cena egz. pojedynczego — F. 6; cena egz. podwójnego F. 9). Prenumerata zagraniczna pozostaje bez zmiany: \$ USA 12; \$ can. 13 — *lub równowartość*. Prosimy o odnawianie prenumerat na r. 1970 już po nowej cenie.

Przed kilku miesiącami przeszliśmy na maszynowe adresowanie kopert przy ekspedycji *Kultury*. Usprawniło to naszą pracę, ale znacznie podwyższyło koszty w związku z bardzo częstymi zmianami adresów, które wymagają zmiany płytki. W związku z tym *usilnie prosimy* o nadsyłanie nam międzynarodowego kuponu pocztowego przy każdej zmianie adresu.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e Trimestre 1969.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczebutek, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		145 szyl. a	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debleka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping C*, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossietynski, 1403 N* Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Kenopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book C* 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Farnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12 00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L	7.000 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56**

NOWOŚCI

BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France



Józef MACKIEWICZ

Tom 173
Str. 560
35 F (\$ 8,00)

NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ (Powieść)

● Wielki fresk przedstawiający rzeczywistość Północnych Ziem Rzeczypospolitej Polskiej w czasie ostatniej wojny. (Czerwiec, 1969).

Andrzej BUSZA



Tom 174
Str. 64
7 F (\$ 1,75)

ZNAKI WODNE (Poezje)

● Poetycki debiut książkowy jednego z członków byłej grupy *Kontynenty*. Powściągliwy w tonie, Busza dąży do maksymalnej krystalizacji myśli i obrazu oraz czystości dykcji. Autor wykłada obecnie anglistykę na Uniwersytecie Brytyjskiej Kolumbii w Vancouver (Lipiec, 1969).



Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

UPIORY REWOLUCJI

(Eseje)

● Bierdiajew o „ duchach rewolucji rosyjskiej”, Dostojewskij, Iwanow-Razumnik, Dudincew, Pasternak, Sołogub, przygody Kafki w Rosji i w Czechosłowacji, Siniawskij i Daniel, Erenburg, Trocki o literaturze, Mandelstam, Bułgakov, Płatonow, Sołżenicyn, Marczenko: obraz męczeństwa i buntu inteligencji rosyjskiej w dziełach jej literackich przedstawicieli, odtworzony przez autora *Innego Świata* w myśl założenia że „losy Europy Środkowo-Wschodniej zależą niemal wyłącznie od zmian i przeobrażeń w samej Rosji”.

Tom 175

Str. 176
15 F (\$ 3,75)

ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 16-ty)

● Zawiera m.in. prace: Z. S. Siemaszki: *Powstanie Warszawskie — Kontakty z ZSSR i PKWN.* — A. Ciencialy: *Polityka brytyjska wobec odrodzenia Polski 1914-1918.* — J. Łukasiewicza: *Wspomnienia z roku 1939* w opracowaniu Wacława Jędrzejewicza. — G. K. Żukowa: *O powstaniu Warszawskim i Polsce.* — J. K. Zawodnego: *Raport d-cy plutonu A.K. z Powstania Warszawskiego.* — T. Nowackiego: *O Polsce, Francji i wojnie.* — *Lista awansów oficerskich, dokonanych przez prez. A. Zaleskiego od 1954 do połowy 1969 r. oraz szereg innych opracowań.* (Sierpień, 1969).

Tom 176

Str. 240
17,50 F (\$ 4,00)



Czesław MIŁOSZ

WIDZENIA NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO

● Bardzo osobista książka-esej o przyrodzie wybrzeży Pacyfiku, o wyobraźni religijnej człowieka współczesnego, o *sex* i *violence*, o neo-maniejskich skłonnościach cywilizacji i o tęsknotach do politycznego terroru. Książka zawiera m.in. polemikę z ideami Herberta Marcuse. (Wrzesień, 1969).

Tom 177

Str. 176
18,50 F (\$ 4,00)

Czesław MIŁOSZ

MIASTO BEZ IMIENIA

(Poezje)

● Nowy tom wierszy Miłosza, w którym najwyraźniej widać szczególne, właściwe tylko temu poecie, połączenie krajobrazów Kalifornii i rodzinnej Litwy, życia teraźniejszością i życia przeszłością, Ameryki lat 1960-tych i Wilna zarówno 1930 jak 1820 roku. (Październik, 1969).

Tom 178

Str. 72
9 F (\$ 2,00)

Paulina PREISS

BIUROKRACJA TOTALNA

● Analizując tragiczne skutki, jakie sprowadza na społeczeństwo każda totalna biurokracja autorka kreśli głęboki i trafny obraz klasy rządzącej w Polsce. Książkę tę można śmiało zestawzić z głośną *Nową klasą* Dżilasa, z tym że jest ona o wiele bardziej aktualna gdyż uwzględnia przemiany jakie nastąpiły pomiędzy latami 1956-1969. (Październik, 1969).

Tom 179

Str. 208
18,50 (\$ 4,00)

Henryk GRYNBERG

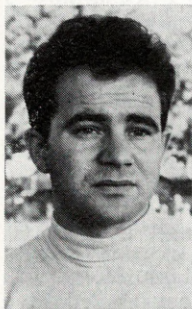
ZWYCIĘSTWO

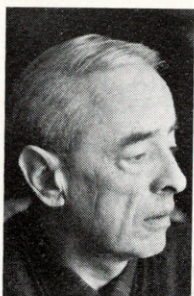
● Na talent Grynberga zwróciła uwagę jego *Wojna żydowska*, nowela o ukrywaniu się Żydów pod okupacją niemiecką, drukowana w swoim czasie w *Twórczości*. *Zwycięstwo* jest kontynuacją *Wojny żydowskiej*, wstrząsającą i doskonale napisaną opowieścią o losach tych, którzy ocaleli z rzezi hitlerowskiej i usiłują wrócić do normalnego życia w PRL. (Styczeń, 1969).

Zamieszczamy — tytułem sprostowania — po raz drugi książkę Henryka Grynberga. Tym razem z właściwą fotografią autora. Nie znając autora osobiście, na skutek niezrozumiałego zbiegu okoliczności, zamieściliśmy w poprzednim katalogu podobiznę zupełnie innego p. Grynberga, który z naszym autorem nie ma nic wspólnego. (R e d a k c j a).

Tom 166

Str. 96
9 F (\$ 2,25)





SUBSKRYPCJA NA „DZIEŁA ZEBRANE” WITOLDA GOMBROWICZA

● Wydawnictwo zawierać będzie wstępy i fachowo opracowane odnośniki, indeksy tematyczne i nazwiska (jeśli idzie o *Korespondencję* i *Dzienniki*). Obliczone jest na 3 lata. Całość obejmie 12 tomów:

1. *Ferdydurke*
2. *Trans-Atlantyk*
3. *Pornografia*
4. *Kosmos*
5. *Teatr* (Iwona księżniczka Burgunda, Ślub, Operetka)
6. *Opowiadania i nowele*
- 7-10. *Dzienniki*
11. *Artykuły i eseje*
12. *Korespondencja*.

Poszczególne tomy nie zawsze będą się ukazywały w podanej kolejności.

W latach 1969/1970 ukazą się co najmniej 4 tomy „Dzieł”: *Ferdydurke*, *Trans-Atlantyk*, *Pornografia* i *Kosmos*. Cena każdego tomu będzie dla subkrybentów o 30 % niższa od ceny sprzedażnej poszczególnych książek.

Prosimy Czytelników o nadsyłanie na nasz adres zamówień na „Dzieła Zebrane” wraz z zaliczką w kwocie:

F. 100,00, lub \$ USA 20,00; \$ can. 22,00; £. 8.00.00.

Pod koniec 1970 r., tj. po wydaniu pierwszych 4 książek i ustaleniu na nie ceny sprzedażnej, rozliczymy się z subskrybentami z sum otrzymanych i poprosimy o dalszą zaliczkę.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 173 — JÓZEF MACKIEWICZ

NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ

P o w i e ś ć

Wielki fresk przedstawiający rzeczywistość Ziemi Północnych R.P.
w czasie ostatniej wojny

Str. 560.

Cena F. 35 (dol. 8,00)



TOM 174 — ANDRZEJ BUSZA

ZNAKI WODNE

P o e z j e

Str. 64.

Cena egz. F. 7,00 (dol. 1,75)



TOM 175 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

UPIORY REWOLUCJI

E s e j e

Str. 176

Cena egz. F. 15,00 (dol. 3,75)



TOM 176 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZESNASTY

zawiera m.in.

Z. S. Siemaszko: *Powstanie Warszawskie — Kontakty z ZSSR i PKWN.* — A. Cienciała: *Polityka brytyjska wobec odrodzenia Polski 1914-1918.* — J. Łukasiewicz: *Wspomnienia z roku 1939.* — G. K. Żukow: *O Powstaniu Warszawskim i Polsce.* — *Lista awansów oficerskich, dokonanych przez prez. A. Zaleskiego od 1954 do połowy 1969 r. oraz szereg innych opracowań i zwykłe Działy.*

Str. 240.

Cena F. 17,50 (dol. 4,00)

Cena 5,00 F